

oprac. T. CH. 198
poreczek. T. 2000
zł.

110121

FUNDACJA GENERAL ELŻBIETY ZAWACKIEJ
Archiwum i Muzeum Wojska Polskiego Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek
87-100 Toruń, ul. Podmurna 93, tel. 048 56 65 22 186
e-mail: fapak@wp.pl, www.zawacka.pl

++
Maria Karwat
Toruń

leja napisała
z brata:
Andrzeja Zylicza

poza Pom.
Warszawa PZ
++
Zylicz Anna
zam. Holly
ps. "Katrin"
Mk: 720/1694 Pom

**SPIS ZAWARTOŚCI
TECZKI**

Zylicy, Anna

J: K-720/1694 Pom.

poza Pom. Warszawa 3X (AK)

I./1. Relacja *k. 33 s. 1-64*

I./2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące relatora —

I./3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące relatora —

II. Materiały uzupełniające relację —

III./1. Materiały dotyczące rodziny relatora *k. 46 s. 1-49*

III./2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III./3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III./4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 —

III./5. Inne ... —

IV. Korespondencja

1) rodzina A. Zylicy k. 1 s. 1

.....

.....

V. Nazwiskowe karty informacyjne *k. 3*

VI Fotografie *dszał ikonografii*

1/1. Relacja - Żylica Anna sam. Floty

1. ; Słownikowiuss dla Archiwum Pomorskiego
Armii Krajowej w Toruniu - autor Andrzej
Żylica - data wpływu 9.03.1998, mpis
kserekop. k. 3 s. 1-5

2. Fragmenty wspomnień A. Żylicz
str. 30-83, kserekop. mpisu k. 30 s. 6-64



1 Wpłynęło dnia 9.03.98

L.dz. 396 / A. Pocz. / 98

T-K 720 / 1624
1/1/1

KWESTIONARIUSZ DLA ARCHIWUM POMORSKIEGO ARMII KRAJOWEJ
W TORUNIU

I. D a n e o s o b o w e

1. ŻYLICZ ANNA zamężna HOŁŁY (małżeństwo 1947)
2. Ur. 29-12-1925, GÓRA k/Wejherowa, pow. Morski, zm. 03-03-1996 Vancouver, Kanada
3. Barbara z Cichowskich i Ignacy Żyliczowie, ojciec rolnik

II. D a n e ś r o d o w i s k o w e

1. - Matura eksternistyczna (bez języka obcego) przed tajną komisją egzaminacyjną w Lublinie, 1943 r. (świadczenia wydawane w 1944 r. przez Państwową Komisję Weryfikacyjną Kuratorium w Lublinie)
 - Matura 1946, Alessano (Włochy), polska szkoła dla żołnierzy II Korpusu WP
 - Szkoła Hodowli Drobiu "Julin" w Chyliczkach (k/Warszawy)
 - University of British Columbia, psychologia, stopień Bachelor of Arts, lata 70-te
 - University of Alberta, Edmonton, socjologia, stopień Master, druga połowa lat 70-tych
 - Carleton University, Ottawa ; administracja w zakładach opieki długoterwałej, dyplom druga połowa lat 70-tych
2. Uczennica
 3. Nie miała przygotowania do obrony kraju

III. U d z i a ł w k a m p a n i i 1 9 3 9 r.

Nie brała udziału

IV. K r ó t k i ż y c i o r y s o k u p a c y j n y

- 08-1939 - 09-1943, Dąbie pow. Krasnystaw, Lublin, Łysolaje pow. Lublin; z rodziną, nauka w domu
- 09-1943 - 07-1944 Julin i Chyliczki k/Warszawy, internat Szkoły Hodowli Drobiu
- 07-1944 - 09-10-1944, Warszawa, udział w Powstaniu
- 09-10-1944 - 10-04-1945, Obozy jeńców wojennych: Ożarów, Muelberg, Zeithain, Molsdorf, Blankenheim

V. D z i a ł a l n o ś ć o k u p a c y j n a

1. Anna Żylicz wprowadzona do konspiracji w grupie ok. 10 koleżanek w Szkole Hodowli Drobiu w Chyliczkach przez instruktorkę (nauczycielkę) Ewę Potemkowską. W końcu lutego lub na początku marca 1944 r. Dziewczęta włączono do oddziału specjalnego tzw. Pomocy żołnierzom (PŻ), podlegającego wówczas bezpośrednio BIP Oddz. VI KG AK.

1/1/2

Nazwiska niektórych dziewcząt z tej grupy:

vv
vv

Borkowska Lilka, Witkowska Roma i Zacharewicz Hanka -
z Warszawy; Szymborska Teresa z Ustanowa k/Piaseczna,
Płoska Krystyna z Kieleckiego

Nazwiska innych nauczycielek (instruktorek hodowli) należących
wcześniej do AK:

✓ Kępińska Maria, Nagay Maria (kierowniczka szkoły), Hulewicz
✓ Teresa.

Pseudonim Anny Żylicz : "Katrina"

2. Przysięgę A.Ż. złożyła po krótkim szkoleniu (front się
zbliżał). "W chyliczkowskiej klasie zostałyśmy żołnierzami AK
składając wojskową przysięgę przed ważną figurą z Warszawy
(niestety zapomniałam, jak się ta osoba nazywała ...i daty
składania przysięgi) - chyba w połowie marca 1944 roku". Cytat
ten i następne oraz opisy większości faktów pochodzą ze
wspomnień Anny (Żylicz) Hołły - "Katriny" - spisanych w latach
90-tych dla rodziny. Maszynopis tych wspomnień zawiera także
kopie różnych dokumentów, których wykaz podano w załączniku .

3. Po skończeniu 8-miesięcznego kursu hodowli drobiu
dziewczęta miały się rozjechać do domów i skontaktować
z komórkami PŻ AK dla uzyskania odpowiednich przydziałów. A.Ż.
miała wrócić w Krasnostawskie i tam służyć w PŻ. Kiedy chciała
wyjeżdżać koło 20 lipca 1944, okazało się, że pociągi
pasażerskie do Lublina już nie kursują. Została więc w Warszawie
na Żoliborzu przy ul. Podstarościch u przyjaciół matki, państwa
R. i H. Dreszerów. Tam 31 lipca otrzymała wezwanie , żeby jak
najprędzej stawić się na ul. Kruczej w mieszkaniu Lilki
Borkowskiej ps. "Karina" (koleżanki z Chyliczek).

Dotarła na Kruczą 1 sierpnia rano. Zameldowała się
komendantce i dołączyła do grupy. Tego samego dnia z Kruczej
w małych grupach dziewczęta przeszły na ul. Świętokrzyską, by
tam przenosić pakunki (z żywnością i bronią) z jednej kamienicy
do paru sąsiednich. Koło godz 15 wszystkie kobiety i dziewczęta
(około 12) zgromadzone przy ul. Szpitalnej w domu Wedla,
w mieszkaniu prywatnym na jednym z wyższych pięter. W tej
dzielnicy skoncentrował się batalion "Kiliński". Pierwsze
strzały padły i rozpoczęły się walki koło godz 16 (godzinę przed
planowanym terminem).

2 sierpnia wieczorem odkomenderowano PŻ na Plac Napoleona
do budynku Poczty Głównej, już zdobytej przez powstańców.
Przydzielono zajęcia w świetlicy i jadłodajni. Kobiety z PŻ
roznosiły posiłki także na stanowiska żołnierzy. Świetlicę
i jadłodajnię urządzono najpierw na piętrze, a po zbombardowaniu
części gmachu - w jego piwnicach. WSK gotuje, a PŻ-ki szorują
garnki i sprzątają. A.Ż. jest "zwykłą przewodniczką" wykonującą
zadania zlecone.

Bezpośrednia komendantka ps. "Helena" (Zofia Prażmowska) ✓

-3-

11/13

Komendantki główne: "Ina" (Maria Roerichowa)
"Zofka" (Hanna Wentlandtowa)
"Teresa" (Wanda Ivanka z.d.Prażmowska)
Dowódca batalionu: rtm. "Leliwa"

Inne osoby w komórcie PŻ: "Honoratka" (Hanna Pisarczyk prawdopodobnie wysiedlona z Pomorza), "Florcja" (Wika Szyszkowska), trochę później Teresa Hulewicz, znana z Chyliczek.

W albumie Wł.Jewsiewickiego pt."Powstanie Warszawskie 1944 - okiem polskiej kamery" (Wyd. Interpress, Warszawa 1989) na zdjęciu str. 225 stoją: "Honoratka" druga na prawo od ołtarza z obandażowanym kolaniem, a "Katrina" z włosami w koronie pierwsza na lewo od ołtarza.

Od początku poza rozdawaniem posiłków i sprzątaniem tzw. gospody do PŻ-tek należą jako ważne sprawy - zajęcia kulturalno-oświatowe (informacyjne) i "utrzymywanie dobrego ducha pomiędzy żołnierzami wysyłanymi na pierwszą linię walki". Planuje się i organizuje wieczory artystyczne także z udziałem prawdziwych aktorów.

Kiedyś był dodatkowy kurs dla PŻ-tek: przygotowywanie do pracy tuż za frontem, który będzie się przesuwiał na zachód po uwolnieniu Warszawy! "Już wyobrażałam sobie, jak posuwamy się w stronę Pomorza, jak dochodzimy do Gdyni, Wejherowa... już widziałam się w Górze".

Inny obowiązek PŻ-ek - przygotowywanie świetlicy do odprawiania mszy św. w niedziele. Czasem przenoszenie jakiegoś polecenia do innej placówki PŻ. Na terenie Śródmieścia Północnego było takich placówek kilka.

"Umundurowanie" - wełniane ciemno-szare kuloty (spódnica - spodnie), szare berety, opaska biało-czerwona na ramieniu, emblemat PŻ na bluzie czy kurtce.

Koło 20 sierpnia dochodzi rozkaz dla "Katriny" i niektórych koleżanek - nowy przydział do placówki PŻ przy ul. Moniuszki 11. Niezwłoczne opuszczenie Poczty Głównej. Teresa Hulewicz i "Honoratka" zostają w gmachu poczty. Przeniesienie "Katriny" z "Kilińskiego" do oddziału "Koszty" (Kompania Sztabowa Obszaru Warszawskiego AK).

Dowódca "Koszty": kpt. "Kmita" (Stefan Mich), później rtm."Nowina", a jego zastępca por."Miś" (Janusz Zawodny). Komendantka PŻ - prawdopodobnie Ewa Potemkowska (znana z Chyliczek). Znowu organizowanie wieczorów muzycznych i w ogóle artystycznych.

Koło 23 sierpnia "Katrina" otrzymuje legitymację AK. Na Moniuszki 11 - gaszenie pożaru. Donoszenie stąd żywności żołnierzom z "Koszty".

Przeprowadzanie i przenoszenie rannych z "Koszty" przez Al.Jerozolimskie do szpitali w Śródmieściu Południowym. Zdobywanie dla nich żywności, przygotowywanie posiłków (w mieszkaniu Lilki Borkowskiej) i donoszenie ich do tych szpitali.

18 września oglądanie zrzutów z samolotów alianckich.

4-

3/1/4

Najbliższej nocy powrót do Śródmieścia Północnego na kwatery "Koszty" przy ulicach Moniuszki i Sienkiewicza. Tu gospoda ani świetlica już nie istnieją. Roznoszenie prasy powstańczej (głównie "Biuletynu Informacyjnego"), trudności w zdobywaniu wody i żywności. Nowa komendantka "Isia".

23 września - awans do stopnia młodszej komendantki - podporucznika wpisany "Katrinnie" do jej legitymacji. Walki wygasają. Krążą wiadomości o rozmowach kapitulacyjnych. Prawdopodobnie już 2 października dociera wiadomość (przebieg) o kapitulacji, która oficjalnie została podpisana tej nocy.

Po kapitulacji niektóre PŻ-ki, wśród nich "Katrina", zostają przydzielone do Kompanii Sanitarnej Obwodu I, "żeby zwiększyć szanse pozostania w kraju".

4 października "Katrina" już na nowej placówce. Przez kilka dni ewakuowanie szpitali, przenoszenie chorych do wyznaczonych punktów, skąd mają być przewiezieni do Pruszkowa (cywile).

9 października 1944, po 63 dniach, wymarsz z Warszawy do Ożarowa, a stamtąd po dołączeniu do ostatniej kompanii batalionu "Kiliński" - do niewoli. Jazda bydłocymi wagonami. Po tygodniu zatrzymanie się w obozie jenieckim Stalag IV B Muelberg. "Katrina" otrzymuje numer 298438. Po paru dniach przejście jeńców do pobliskiego obozu w Zeithain, filii stalagu IV B.

W styczniu 1945 przewiezienie do Oflagu IX C w Moßdorf bei Erfurt. Numer jeńca jak w poprzednio, barak 18. PŻ-ki znajome z Powstania. W tym samym baraku jest także "Jurga" (Irena Jurgielewiczowa).

4 kwietnia 1945 wymarsz przez lasy i wsie do miasteczka Blankenheim, gdzie 13 kwietnia następuje wyzwolenie przez III armię amerykańską. Po paru tygodniach wyjazd z Blankenheim do Burg koło Frankfurtu n. Menem. W Burg 8 maja wiadomość o końcu wojny. "Katrina" otrzymuje tymczasowe zaświadczenie tożsamości.

VI. Dane o udziale rodziny w konspiracji

Brat "Katriny": ps. "żak" (Marek Żylicz),
ur. 1923. W okresie 1940/41 należy prawdopodobnie do ZWZ na terenie powiatu Lublin (placówka w Piaskach Luterskich?). Szkolenie, kolportaż prasy, gromadzenie broni.
Maj - lipiec 1944 szkoła podoficerska placówki nr 13 Żółkiewka, obwód 14 Krasnystaw AK, (BCH).

Brat : ps. "Żegota" (Andrzej Żylicz), ur. 1928. Od 1943 należy do AK (BCH) - pluton "Dąbrowa", placówka Żółkiewka, obwód Krasnystaw. Kolportaż prasy, dostarczanie dokumentów (m.in. uciekinierom z Majdanka), udział w potyczkach (Las Poperczyński, Sobieska Wola, Piłaszkowice). Maj - lipiec 1944 r. szkoła podoficerska placówki Żółkiewka.

Siostra: ps. "Kinga" (Teresa Żylicz) : ur. 1924. Od zimy 1943/44 w Ludowym Związku Kobiet. Przysięga złożona przed

-5-

"Ostróżka" (Janina Wrona) przewodnicząca LZK gminy Żółkiewka. Pielęgnowanie rannego "Sosny".

VII. Okres pookupacyjny

14 czerwca 1945 "Katrina" wyjeżdża do Włoch wraz z innymi ochotniczkami do prowadzenia świetlic i gospód dla polskich żołnierzy z II Korpusu WP. Jazda amerykańską ciężarówką drogą okrężną przez Nadrenię, Holandię, Belgię i Francję do Marsylii. Z Marsylii 9 lipca statkiem do Włoch.

Nowy adres: CMF 96 POLISH YMCA. Tam praca w świetlicy i jadłodajni. Nauka w polskiej szkole średniej ogólnokształcącej w Alessano zakończona maturą.

W 1946 r. wyjazd do Anglii. Nauka w szkole handlowej (Londyn). 28 czerwca 1947 małżeństwo ze Stanisławem Hołłym b. oficerem Brygady Karpackiej i spadochroniarzem w służbie brytyjskiej na terenie Grecji (w stopniu kapitana, okres 1943/44).

W 1948 r. emigracja do Kanady. Pobyt z rodziną w różnych miejscowościach. Wychowywanie dzieci, dorywcze prace zarobkowe przy zbiorach owoców, później zatrudnienie w księgowości. Rozpoczęcie studiów wieczorowych w okresie zamieszkiwania w Kelowna (Uniwersytet Kolumbii Brytyjskiej). Dokończenie studiów dziennych po śmierci męża (1974) na Uniwersytecie (Prowincji) Alberta w Edmonton. Praca na tym uniwersytecie. Następnie pięcioletnia praca na stanowisku kierownika polskiego domu opieki im. Kopernika w Vancouver B.C. W 1985 r. przejście na emeryturę (1984).

Załącznik

WYKAZ DOKUMENTÓW, KTÓRYCH KOPIE ZAWIERAJĄ WSPOMNIENIA pt. "PO WYJEŹDZIE Z DOMU" NAPISANE PRZEZ ANNĘ HOŁŁY W 1994 R. (Odbitkę ww. "Wspomnień" złożono w Ossolineum dn.16-09-1997).

1. Szkoła Hodowli Drobiu "JULIN" w Chyliczkach: Tymczasowe zaświadczenie (o ukończeniu kursu) z dn. 22-07-1944 (str. 26 wspomnień)
2. Komenda Obszaru (AK): Karta z bonami na posiłki; sierpień 1944 (str. 42a)
3. Banknot 50 zł (okupacyjny) nr 5518525 z pieczęcią AK;
4. Pierwszy żąd powstaniec, sierpień 1944 (str. 42a)
5. AK Okręg Warszawski: Legitymacja nr 120419 z adnotacją na odwrocie o awansie do stopnia młodszej komendantki - podporucznika z dn. 24-09-1944 (str. 44a)
6. Stałag IVB: pokwitowanie nr 10378 z 16-10-1944 depozytu 6520 złotych przyjętego od jeńca Anny Żylicz (str. 60a)
7. Formularz listu jenieckiego z rysunkiem Anny Żylicz pt. "Po drugiej stronie drutów kolczastych - widok na zamek w dali (Molsdorf zima 1945)", (str. 73)

1/1/6

MOJE POWSTANIE
(1 sierpień - 9 październik, 1944)

Napisałam "moje" Powstanie, bo czytałam tyle książek na temat powstania Warszawskiego i słyszałam tyle 'interpretacji' tego zdarzenia, że zdaję sobie doskonale sprawę z tego jakie powstały różnice w nastawieniu, czy odczuciu owego zrywu patryjotycznego. Zależy czy osoba wyrażająca swą opinie była uczestnikiem powstania, czy patrzyła z zewnątrz; jeśli była w Warszawie to w jakiej dzielnicy - tam gdzie Niemcy odrazu wkroczyli i mordowali cywilów i powstanców, czy tam gdzie powstańcy utrzymali swą dzielnicę przez parę czy kilka tygodni, walcząc bohatersko o każdy dom; czy tam wreszcie gdzie Polacy utrzymali się do końca, do dnia kapitulacji. Wspomnienia o Powstaniu zależą również, w dużej mierze, od wieku powstańca w 1944r. i oddziały w jakim się znalazł, no i od kombinacji wszystkich możliwych czynników. Dlatego wiem, że łączy mnie coś z każdym co przeżył powstanie w Warszawie, ale więcej mam wspólnego z byłymi 'młodymi', z dzielnic utrzymanych w polskich rękach do końca, a zwłaszcza z tymi którzy służyli w Śródmieściu Północnym. Każdy i każda z nas mieli i zachowali swe indywidualne odczucia i wspomnienia. Tutaj chcę napisać po prostu to tylko co ja widziałam, czułam i zapamiętałam. A czasem wydaje mi się, że los był dla mnie wyjątkowo łaskawy. A może to Opatrzność Boża czuwała nade mną, w odpowiedzi na Mamusine modlitwy? Jak to się stało, że zawezwano mnie z Żoliborza do śródmieścia, do dzielnicy która została wyzwolona w pierwszym impecie Powstania i przetrwała 'wolna' do dnia kapitulacji; dlaczego przeniesiono mnie do innego oddziału na tydzień, czy dwa zanim poprzednia placówka była zbombardowana i moje były towarzyszkami zabite; mimo, że mało mogłam sama decydować o swym losie, te parę decyzji które powzięłam, też mi na złe nie wyszły, dlaczego? Tak czy inaczej, wyszłam cała i mogę dziś opowiedzieć co zapamiętałam ...

POCZTA GŁÓWNA

Wracam więc na ulicę Kruczą, do mieszkania Lilki Borkowskiej, w godzinach przed południowych, dnia 1 sierpnia 1944 roku. Zaraz po moim tam przybyciu, kazano nam przejść do budynku na ul. Świętokrzyskiej w małych grupkach lub nawet pojedynczo, by nie zwrócić uwagi na nasze przenosiny. Wychodziłyśmy w odstępach paru minut więc to wszystko dosyć długo trwało. Na Świętokrzyskiej, kazano nam przenosić rozmaite pakunki (z jedzeniem, bronią??) z jednej kamienicy do drugiej czy trzeciej, widocznie na wyznaczone placówki dla oddziałów AK. Znowu pracowałyśmy w małych grupkach, zwykle po dwie, czy najwyżej trzy dziewczęta. Zajęte byłyśmy w ten sposób do godzin popołudniowych, ale chyba nie później jak o godzinie 15-tej, zgromadziłyśmy się wszystkie w mieszkaniu prywatnym, na jednym z wyższych pięter Domu Wedla, na ulicy Szpitalnej.

Było nas około tuzina dziewcząt i kobiet. Nie znałam nikogo poza Lilką B., a obie byłyśmy jednymi z najmłodszych w grupie. Większość miała dwadzieścia czy trzydzieści kilka lat. Pamiętam, że zakazano nam wyglądać przez okno czy wychodzić na balkon, ale trudno było nas utrzymać w środku mieszkania jak odezwały się pierwsze strzały.

1/1/7

Dowiedziałam się później, że nasza dzielnica była zdobywana i zdobyta przez oddziały Batalionu "Kiliński". Powstanie tutaj zaczęło się o godzinę wcześniej niż wyznaczona godzina "W", czyli 17-ta. Kpt. "Leliwa" (Henryk Roycewicz) musiał wydać rozkaz rozpoczęcia walki, gdy Niemcy zaczęli obstrzeliwać zbierające się grupy powstanców w pobliżu Placu Napoleona. To były te pierwsze strzały, które usłyszałyśmy na Szpitalnej. Tak bardzo chciałyśmy wiedzieć co się dzieje i mieć konkretne zadania do wykonania! Trudno nas było od okien odgonić. Zobaczyłyśmy pierwszych żołnierzy AK z biało-czerwonymi opaskami na ramieniu, zamiast mundurów, jak wbiegali do i wybiegali z podwórza Domu Wedla. Pamiętam, że starałyśmy się przygotować coś do picia dla zziębniętych chłopaków, a w ciągu nocy udało mi się wyprosić u jakiegoś 'cywila' parę skarpetek dla jednego żołnierza, który potrzebował zmienić takowe po desperacku! W końcu, trochę strzały ucichły i kazano nam położyć się spać. Kładłyśmy się prosto na podłogę, najwyżej mając jeden koc w zamian pościeli. Twardo było na deskach podłogi, a i pewnie bykśmy zbyt podekscytowane wydarzeniami minionego dnia, więc nie wiele było tego snu.

Przez noc Batalion "Kiliński" zdobył spory teren i między innymi, opanował 'drapacz' Prudential, na rogu ul. Świętokrzyskiej i Pl. Napoleona. Ale po przeciwnej stronie placu, gdzie stał budynek Poczty Głównej, dobrze obwarowany i obstawiony przez Niemców, nie ustawał ogień obstrzelający podchodzących powstanców. Nagle, koło 6-tej rano, zrobiło się prawie cicho, a tylko dały się słyszeć chrzęst i pomruk zbliżających się czołgów. Roycewicz opisał*, że dwa czołgi nadeszły od strony Nowego Świata, sunąc po Świętokrzyskiej do Placu Napoleona, gdzie skreśliły na plac i posuwały się ku Szpitalnej. Jeden czołg skreślił w ulicę Moniuszki, drugi mijając już ul. Sienkiewicza gdy nas go zatrzymali, co mogłyśmy oglądać z balkonu Domu Wedla. Nikt już nie był w stanie nas zatrzymać w głębi mieszkania - pewnie nas młodych, bo starsze były nieco rozsądniejsze. To co pamiętam, to czołg zbliżający się do ulicy Szpitalnej, idący wprost na nas. Najpierw nie było widać naszych chłopaków, ale nagle posypały się na czołg butelki z mieszanką zapalającą, rzucane z domu na rogu Sienkiewicza. Czołg stanął i zaczął płonąć. Załoga czołgu starała się wydostać i uciec. Podobno jednemu się udało, a dwóch zginęło. Tego jednak nie widziałam, tylko naszych chłopaków wyskakujących z ukrycia, wzmożoną strzelaniną i w krótko - prawdziwy szal radości! Chłopaki na ulicy krzyczały "Hurra", my darłyśmy się na balkonie i w ogóle kto żyw w najbliższych domach celebrował głośno nasze pierwsze zwycięstwo nad nowoczesną zbroją wroga. Ow wypalony czołg został potem włączony do barykady na Szpitalnej, a w ogóle barykady powstały na wielu ulicach, jako przeciw-czołgowe zapory.

Drugiego dnia Powstania, tzn. 2-go sierpnia, walka w naszym rejonie była zacięta, po chwilowej przerwie z okazji zatrzymania czołgu. Niemcy szczególnie się wściekali na biało-czerwony sztandar powieszony na szczycie drapacza. Używali artylerii i obstrzeliwali

*Henryk Leliwa-Roycewicz, Batalion A.K. "Kiliński" w Powstaniu Warszawskim, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1979.

obiekt z samolotów, ale na próżno. Każdy zniszczony sztandar był natychmiast wymieniony na nowy! Zdobywanie Poczty Głównej, zacięte i krwawe, trwało przez prawie cały dzień, ale późnym popołudniem powstańcy zdobyli Poczta. Tego wieczora, o ile pamiętam, cała nasza grupa Peżetek została odkomenderowana właśnie do budynku Poczty Głównej, na Pl. Napoleona.

Roycewicz pisał, że zdobycie Poczty przyniosło wielkie korzyści dla oddziałów Batalionu "Kiliński", nie tylko moralno-wojskowe. Budynek był warowny i dobrze zaopatrzony we wszystko potrzebne do długiej obrony, a więc:

urządzona własna studnia w piwnicach, na wypadek odcięcia wody przez oblegających, urządzone własne oświetlenie, w razie odcięcia miejskiego światła. Była też zgromadzona duża ilość ropy naftowej i duże zapasy żywności, broni, amunicji, mundurów i wszelkiego rodzaju materiału wojskowego. Zapasy żywności przejęte zostały przez oddział kobiecy P.Z. (pomoc żołnierzom), którego dowódcą była drużynowa Prażmowska, pełniąca bardzo ofiarnie swoją służbę z pełnym poświęceniem i oddaniem dla sprawy. Ropa naftowa przydała się nam później przy zdobywaniu "Pasty".*

Powołałam się na Roycewicza, bo on dużo lepiej opisał co zastaliśmy wtedy na Poczcie Głównej niż ja zapamiętałam. Zdziwiło mnie trochę, że to Peżetki przejęły zapasy żywnościowe, bo wtedy wydawało mi się że to oddział WSK zajął się kuchnią, a my świetlicą i jadłodajnią, z roznoszeniem posiłków na posterunki włącznie. Ale może PZ przybyło pierwsze na Poczta Główną, a może to była wspólna odpowiedzialność jednostek z WSK i PZ? Ja byłam zwykłą przewodniczką "Katriną" i wykonywałam zadania zlecane, a nie wiedziałam co się działo na wyższym szczeblu komendy PZ.

3-ego sierpnia od rana, zajęte byliśmy sprzątaniem i przygotowaniem dużej sali na pierwszym piętrze na świetlicę i jadalnię dla żołnierzy Batalionu "Kiliński". Sala była chyba dawniej reprezentacyjnym pomieszczeniem dla gości i 'smietanki' pocztowej. W każdym razie był to ładny, jasny i duży pokój; cztery wysokie okna w środkowej części budynku wychodziły na Plac Napoleona. Przez okna widac było drapacz Prudential i polski sztandar powiewający nad najwyższym piętrzem. Był to podniosły widok! Tymczasem, zwijaliśmy się jak mogliśmy najprędzej, żeby nasze zadanie wykonać. Niektóre ze starszych dziewcząt miały pewne artystyczne przygotowanie i doświadczenie, więc ozdabialiśmy salę patryjotycznie i gustownie. Pamiętam polską flagę na jednej ścianie, plakaty powstańcze na drugiej ścianie, ozdoby z biało-czerwonej bibułki na oknach, w środku pokoju stoliki poustawiane dla 'klientów', a z boku fortepian i kącik do czytania najnowszej prasy powstańczej i pewnej ilości książek. Chyba mieliśmy też radio. Gdy wszystko było zrobione, meble poustawiane, ściany udekorowane, itd. itp., a wieczór się już zbliżał, zrobiono oficjalne otwarcie świetlicy. Przyszli oficerowie i zwykli żołnierze, nastrój był pogodny i wiara w przyszłość nie naruszona, chociaż słycać było strzały i wybuchy w bliskiej okolicy - ale do tego już się prawie przyzwyczailiśmy! Krótka jednak była nasza radość. Następnego dnia nadleciały Stukasy

*Batalion A.K. "Kiliński", 1979:37.

1/1/9

zrzuciły bomby na Pl. Napoleona i uszkodziły Poczcie Główną. W naszej sali szkło w oknach było wybite, a wszystko wewnątrz pokoju pokryte grubą warstwą tynku i kawałków murów. Ledwie udało nam się uratować część mebli i eksponatów. Trzeba się było przenosić do piwnicy.

Piwnica pod budynkiem Poczty Głównej była przestronna, wysoka; rozmaite pokoje i pomieszczenia rozchodziły się z centralnego korytarza na boki. Pamiętam, że było jedno wejście do piwnicy od ulicy Wareckiej i drugie na podwórze z tyłu budynku, a może były i inne? W każdym razie, piwnica - bez okien - wydawała się bardzo solidnym i bezpiecznym pomieszczeniem. Nam w udziale przypadł duży pokój - pewno dawna jadalnia dla pracowników poczty - przy schodach z ul. Wareckiej. Tutaj znow urządziliśmy świetlicę dla wojaków i chociaż nie było tak ładnie i jasno jak przed tym na gorze, starałyśmy się stworzyć otoczenie i warunki sprzyjające odpoczynkowi dla steranych walką powstańców. Pamiętam, że słuchało się tu radia, najpierw BBC, potem programy własnej, powstańczej "Błyskawicy" (uruchomionej po 7-mym sierpnia) również; czytało się najnowsze kopie "Biuletynu Informacyjnego" i inne pisma; urządziło się wspólne śpiewy, a w niedziele odprawiano tu Msze Św.; no a na codzień, karmiliśmy żołnierzy gdy przychodzili partiami na posiłki - przynosiłyśmy jedzenie z kuchni - a pomiędzy posiłkami, podawałyśmy kawę, herbatę (tak, w zapasach niemieckich znalazło się prawdziwą kawę i prawdziwą herbatę!) i często coś do przekąszenia. Czasem, prawdziwi, zawodowi aktorzy przychodzili do naszej świetlicy, aby swoimi występami rozweselić publiczność, ale o tym potem.

Wewnętrzne drzwi ze świetlicy wychodziły na długi korytarz. Po zdobyciu budynku Poczty Głównej, 2-ga kompania Batalionu "Kilinski" zakwaterowała na poczcie, jak również dowództwo batalionu. Dlatego napewno większa część pomieszczeń w piwnicy była zarekwirowana do użytku "Kilinszczaków". Poznałam więc tylko mały odcinek piwnicznych lokali, w bliskiej odległości od świetlicy, a może trzeba by nazwać gospody P.Z.. Idąc korytarzem na północ (? w kierunku Świętokrzyskiej), bodajże następne już drzwi prowadziły do kuchni. Stąd brałyśmy porcje jedzenia dla żołnierzy i czasem pełniłyśmy tu dyżury. (Pamiętam jak pare razy musiałam czyścić garnki po zupie. Garnki były tak olbrzymie, że musiałam wlażyć do środka by wszystkie 'ściany' dobrze wyskrobać!). Obsługa kuchenna była oddzielnym oddziałem, o ile wiem pod komendą WSK. Nie przypominam sobie, aby ktoraś z naszej grupy gotowała posiłki? Naprzeciw świetlicy i kuchni były pokoje zajęte przez Peżetki na sypialnie. W moim sypialnym, prawie cały pokój był wypełniony wielkim komunalnym łóżem, na którym spało nas chyba około dziesięciu, pokotem, jedna za druga. Brak okien, surowe betonowe ściany i ograniczone miejsce do poruszania się stwarzały prawie więzienne warunki, ale łóżko było wygodne (dużo lepsze niż spanie na podłodze!), towarzystwo dobre i miałyśmy poczucie bezpieczeństwa - więc nie narzekaliśmy. Byłyśmy zresztą niebawem świadome, że wiele Warszawiaków musiało się chronić w dużo gorszych warunkach. Poza tym, byłyśmy oddane sprawie i osobiste niewygody się nie liczyły. Komendantka Prażmowska, "Helena", oraz pare innych ważniejszych Peżetek, zajmowały chyba pokój obok nas.

1/11/10

Co do ludzi z którymi zetknęłam się w czasie Powstania, to muszę zacząć od Peżetek na Poczcie Głównej, a w pierwszym rzędzie z naszą komendantką "Helena" (Zofią Prazmowską). Napewno była to osoba dzielna, zasłużona i jak Roycewicz pisał, oddana sprawie. Ale w kontaktach z podkomendnymi nie była zbyt przyjemna. Mała, sucha, nadrabiająca swój autorytet surowością i pewną oschłością. Takie przynajmniej zrobiła na mnie wrażenie. Wydaje mi się że i ona nie darzyła mnie zbytnią sympatią. Stąd moje dyżury w kuchni przy szorowaniu garnków i nie wysyłanie mnie na najbardziej pożądaną służbę, czyli do donoszenia jedzenia na barykadę. A już jak skrytykowała moje zamiatanie podłogi w gospodzie, zupełnie jak Tatus' w Dąbiu, straciłam do niej resztkę sympatii! Później, gdy "Helena" zginęła w ruinach Poczty, starałam się zapamiętać tylko jej dobre strony ...

Dużo sympatyczniejsze i bardziej przystępne niż "Helena" były główne komendantki P.Z., które nie wiem gdzie kwaterowały, ale przychodziły często na inspekcje i wizyty na Poczcie Główną. Były to kapitan "Ina" (Maria Rörichowa) i kapitan "Zofka" (Hanna Wentlandtowa). Zjawiały się zawsze razem, jedna wyższa, trochę przygarbiona i poważna ("Ina"), druga malutka i uśmiechnięta ("Zofka"). Chyba były w wieku Mamy (wydawały mi się dużo starsze ode mnie), ubierały się konserwatywnie w ciemne kostiumy i miały wygodne pół-buciki na nogach - w sumie wyglądały bardzo nie wojskowo. Mówiły przyciszonym głosem, a interesowały się serdecznie nie tylko "sprawą", ale i losem każdej Peżetki. Podobno już od przed wojny obie pracowały bardzo dużo społecznie, a w czasie okupacji żyły pracą dla podziemia. Sądząc po nazwiskach, musiały być meżatkami - nigdy wtedy ani potem nie słyszałam o losie ich mężów. Chyba też były bezdzietne? W sprawach osobistych były bardzo zamknięte. Jeśli chodzi o swoje podkomendne, to były nadzwyczajnie dbałe i pozostały dla mnie "ideałem" kierowniczek młodzieży. Poprostu czuły się odpowiedzialne za powierzone im dziewczęta, a mniej afiszowały się ważnością swych stanowisk. Spotkałam je poraz pierwszy na Poczcie, a później los nas nieraz zetknął. Cieszyły się dużym szacunkiem wśród powstańców, tych ważnych szarż i zwykłych żołnierzy.

W grupie Peżetek, które spotkałam najpierw na Kruczej, potem dzieliłam kwatery na Szpitalnej i z którymi zostałam przydzielona na Poczcie Główną, znałam z przed powstania tylko Lilkę Borkowską. Przyjemnie było mieć choć jedną koleżankę z Chyliczek (nie wiem dlaczego tylko my dwie należałyśmy do tej grupy?). Lilka ze swoją pewnością siebie i umiejętnością robienia dobrego wrażenia radziła sobie doskonale z "Helena" i podczas gdy ja miałam dyżury w gospodzie, Lilka często była wysyłana na barykady. Zaprzyjaźniłam się natomiast z paru innymi dziewczętami. Jedną z nich była "Honoratka" (Hanna Pisarczyk), wysiedlona z Pomorza o ile pamiętam, w moim wieku, z jasną koroną na głowie. Była pogodna i cicha i nieraz wykonywałyśmy zadania zlecone razem. Równie sympatyczna wydawała mi się "Florcia" (Wika Szyszkowska), młoda meżatka, której mąż siedział w niemieckiej niewoli od 1939 roku. Wiem, że była zaangażowana w konspirację od lat, ale nie przechwalała się swoimi zasługami i do mnie odniosła się od początku jak starsza siostra. Pamiętam też "Paulę", bo znała masę piosenek i często prowadziła wspólne śpiewy w szpitalicy. Była o kilka lat starsza ode mnie i trzymała się z drugą rówiesnicą, której pseudonim uciekł mi z pamięci. W sumie, nie przypominam sobie ani jednej dziewczyny z naszej grupy ze 'złej strony' - wszystkie były chętne

1/11/11

służbie i koleżeńskie w stosunku do 'towarzyszek broni' (nawet jeśli tą 'bronią' była miotła, czy łyżka wazowa!!).

W parę tygodni po rozpoczęciu Powstania, dobiła do nas jeszcze jedna Peżetka - Tenia Hulewicz. Okazało się, że była w Warszawie w pierwszym sierpniu, a wybuch Powstania odciął ją od Chyliczek na Mokotowie. Jak mogła najszybciej, przedostała się do Śródmieścia Południowego (chyba kanałami) i zameldowała do komendy P.Ż. Stamtąd, odkomenderowano ją do Śródmieścia Północnego, na Poczcie Główną. Ucieszyłam się serdecznie gdy zobaczyłam Tenię w naszym broni. Nie ważne już były chyliczkowskie 'dystynkcje' - instruktorka versus uczennica - i teraz mogłyśmy sobie okazać sympatię, która od dawna czułyśmy do siebie! Dowiedziałam się od Teni, że panna Magay, panna Kępińska i inne nasze chyliczkowskie nauczycielki należały od dawna do P.Ż. i że na każdym turnusie dobierały nowe rekrutki z pośród uczestniczek kursu hodowli drobiu. Tenia, więc, służyła w Peżetkach o parę lat dłużej niż ja, ale nie miała przydziału do Warszawy w sierpniu 1944 r. - na Poczcie Główniej znalazła się zupełnie przypadkiem.

Wspominając osoby mi znane w owym okresie, przyszła mi do myśli Jadwinia Tymieniecka - mieszkała tak blisko Pl. Napoleona (na Góreckiego). Ale nie udało mi się ją odwiedzić. Dowiedziałam się również, że Miśia Prądyńska z małą Basią i matką, uciekła na Powiśle. To też było bardzo blisko. Zrobiłam nawet jedną próbę przejścia na Powiśle, aby się z Misią zobaczyć, ale obstrzał dzielnicowy był tak ostry, że powstańcy na barykadach nie pozwolili mi przejść. Z pośród krewnych spotkałam się tylko z Andrzejem Trufferem, tym samym kuzynem z którym Krzys i ja jeździliśmy do Milanówka. Byłam w drodze do innej placówki - już nie pamiętam jakiej, choć służbowej, sprawie. Po wyjściu drzwiami na ulicę Marecką, zaczęłam biec przez Pl. Napoleona - bo tak się poruszało policjami Warszawy, w obec ciągłego obstrzału i 'gołębiarzy' na budynkach po niemieckiej stronie - gdy nagle ktoś zawołał: "Hanka, gdzie lecisz?" To był Andrzej, ukryty z bronią w bunkrze na końcu poczty. Zatrzymałam się na chwilę i wymieniliśmy parę słów - ciągle jeszcze pełni wiary i entuzjazmu, jak na młodych przystało.

Co do 'klientów' naszej gospody, to znaczy żołnierzy z Batalionu "Kiliński" i czasem różnych gości, to było ich tak dużo, że zapamiętałam tylko paru z widzenia i prawie żadnego z imienia (czy pseudonimu). Przychodzili oficerowie i szara bracia; napewno widziałam rtm. "Keliwę", ale i on zatarał się w pamięci. Właściwie to zapamiętałam dobrze tylko jednego powstańca na Poczcie Główniej, a było to pewna gupa chłopaków przychodziła do naszej świetlicy-gospody zawsze razem i wyraźnie byli to chłopcy bardzo żłyci ze sobą. Więtro się o nich, że to "partyzanci" i chyba rzeczywiście służyli razem w lesie przez jakiś czas. Zнали rozmaite partyzanckie piosenki i nieraz spiewali je 'ku rozweseleniu serc'(!) Wtedy, raz pierwszy, usłyszałam w ich wykonaniu piosenkę "Rozszumiały wierzby płaczące" - teraz, ile razy słyszę tę melodię, myślę o partyzantach z Poczty Główniej. Kiedyś, właśnie owa grupa, pojawiła się w świetlicy po jakimś ciężkim boju w terenie. Kilku chłopaków, paru przyszło z bandażami, jako lekko ranni. Popatrzyłam współczuciem na naszych chłopaków, a zwłaszcza na jednego

1/11/12

bruneta z zabandażowanym uchem. Przypomniał mi Andrzeja Dobruckiego, z Lublina, a więc kogoś znajomego - miałam ochotę podejść i coś ciepłego powiedzieć, ale nagle ogarnęła mnie niesmiałość. Brunet w ogóle mnie nie widział, ale za to jego towarzysz mnie zauważył i zrobił pierwszy krok. Janusz Szczucki, bo tak się nazywał, zaczął mnie wkrótce uważać za 'swoją dziewczynę', prosił, żeby do drzwi odprowadzać gdy szedł 'na bój' i po paru dniach dał mi okupacyjny pierścionek z białego metalu, z orzełkiem polskim na biało-czerwonym tle. Pierścionkiem byłam bardzo wzruszona, ale trochę zażkoczona werwą z jaką Janusz starał się podbić moje serce! Niebawem zostałam przeniesiona na inną placówkę i choć widziałam jeszcze raz czy dwa Janusza w nowym lokum, nasza znajomość 'rozeszła się po kościach'. Tu przypomniał mi się ślub jednego chłopaka z Poczty Głównej, co było dosyć radosnym i głośnym zdarzeniem. Nieraz sobie potem myślałam co się stało z zakochaną parą? Czy przeżyli Powstanie? Czy się odnaleźli po wojnie?

Od pierwszych dni Powstania, my w Śródmieściu Północnym żyliśmy w wolnej Polsce, po raz pierwszy od długich pięciu lat. Wolno było wywieszać polskie sztandary w miejscach publicznych, wolno było śpiewać "Jeszcze Polska nie zginęła", wolno było słuchać radia bez obawy kary śmierci ...; jednym słowem, oddychało się wolnością. Wierzyliśmy, przynajmniej my młodzi, że nie stracimy już tej wolności, że wyswobodzimy Warszawę, a potem całą Polskę i doczekamy się cudownego jutra. To były nie zapomniane dni. Nawet późniejsza smutna rzeczywistość nie zdołała spaskudzić tych chwil, przynajmniej w mojej pamięci.

Tymczasem, Peżetki starały się wykonywać swe obowiązki z pełnym oddaniem. Na początku, główny nacisk był położony na nasze 'kulturalno-oswiatowe (czy informacyjne?)' zadania i na utrzymywanie dobrego ducha pomiędzy żołnierzami wysyłanymi na pierwszą linię walki. Wprawdzie od pierwszego dnia na Poczcie Głównej, rozdawałyśmy posiłki i byłyśmy odpowiedzialne za czystość gospody, te zajęcia były traktowane jako podrzędne, prawie przypadkowe. Urządzało się wieczorki artystyczne, zaplanowane i organizowane przez P.Ż. Na przykład, wieczory czytania poezji, śpiewania dawnych i powstanczych (w miarę jak powstawały) piosenek patryjotycznych, czy też zabawne skecze, grane przez zaproszonych 'prawdziwych' aktorów czy aktorki. (Niestety już nie pamiętam imion i nazwisk tych aktorów!) Kiedys nawet urządzono dla nas kurs dodatkowy, aby nas przygotować do pracy na froncie czy przy froncie, po uwolnieniu Warszawy! Zgromadziłyśmy się w naszym sypialnym pomieszczeniu i siedząc na łożu - bo nie było miejsca gdzie indziej - słuchałyśmy 'wykładu'. Puczano nas (nie pamiętam nazwiska naszej prelegentki) że w miarę jak front będzie się przesuwiał na zachód, my będziemy szły krok w krok za oddziałami bojowymi, dbając zawsze o dobry nastrój wśród żołnierzy, tłumaczac im za co i dla kogo walczą, pomagając im w utrzymaniu kontaktu z rodziną, pełniąc rozmaite usługi chętnie i z uśmiechem, itd, itp. W tym scenariuszu już wyobrażałam sobie jak posuwamy się w stronę Pomorza, jak dochodzimy do Gdyni, Wejherowa ... już widziałam się w Górze, pierwsza z całej naszej rodziny! Rzeczywistość okazała się zupełnie inna i to już w niedługim czasie. Wtedy, i nasze zajęcia uległy dużej zmianie.

Pamiętam, że jednym z naszych obowiązków było przygotowywanie

1/11/13

światlicy do odprawiania Mszy Św. w niedzielę. Trzeba było usunąć stoliki pod ściany, porozstawiać krzesła dla wiernych i zostawić ile się da miejsca dla stojącej braci. Przyozdobienie ołtarza też do nas należało. Pamiętam pare takich niedziel, a zwłaszcza wzruszenie gdy śpiewaliśmy na cały głos "Boże coś Polskę ...ojczyznę wolną pobłogosław Panie" (a nie "daj nam zwrócić, Panie"). Ponieważ było za dużo wojska, za mało księży, a przede wszystkim za mało czasu na indywidualną spowiedź - wojsko musiało iść na barykady - dawano nam wszystkim gromadne rozgrzeszenie i każdy mógł przystąpić do Komunii św. Tak, pamiętam msze odprawiane w piwnicy, a za to zupełnie nie pamiętam uroczystej Mszy Św. odprawionej w Dzień Żołnierza (15 sierpnia) przez biskupa Adamskiego na dziedzińcu poczty Głównej - tej mszy podczas której ktoś zrobił zdjęcie peżetek przy ołtarzu, ze mną włącznie. Zabawna jest ludzka pamięć!

Moje obowiązki i zadania trzymały mnie prawie cały czas w piwnicy Poczty Głównej. Tylko pare razy miałam chwilę wolną od zajęć, np. wtedy jak chciałam dojechać na Powiśle żeby się z Misią spotkać, a czasami wysyłano mnie z jakimś poleceniem na inną placówkę PŻ. Takowych było kilka na terenie Śródmieścia Południowego - dziesięć, według Władysława Jewsiewickiego** ~~xxxx~~ w dniu 13 sierpnia. Po każdym wypadzie na miasto wracałam na nasze kwatery trochę wstrząśnięta widokiem ciągle nowych zniszczeń w wyniku systematycznych bombardowań miasta, a czasem i nowych ofiar, które można było na ulicy zobaczyć. Od strony Starówki dochodziły odgłosy zaciętej walki. Ale w ogóle, przyjemnie było wy dostać się z podziemi przynajmniej raz na jakiś czas i moja wiara była jeszcze wciąż nie zachwiana, że zwyciężymy ... Kiedyś podczas mojej wędrówki spotkałam "Dobrego Samarytanina" z dworca na Służewcu - tego co zabrał mnie na swoją riksę i odwiózł na Wspólną. Ucieszyliśmy się do siebie i uśmialismy na wspomnienie zagubionej teczki, co już dziś nie było sprawą ważną!

Co jadałyśmy, gdzie się myłyśmy czy prały swoje łaszki, zupełnie zapomniałam. Wiem, że na poczcie jedzenia nie brakowało w pierwszym okresie, a zapamiętałam jedynie zupę grochówką - gęstą i zasycającą. A sprawa wody? Roycewicz pisał, że Niemcy przygotowali studnię w piwnicy, więc widocznie i nam wody nie było brak - na początku. Natomiast ubrania miałyśmy mało, dobrze jak jedną zmianę bielizny. W dodatku, Powstanie się przedłużało, pogoda mogła się każdej chwili zepsuć - ku końcowi lata - i nasze letnie ubranka okazać się nie wystarczające. Dlatego wszystkie przyjełyśmy z radością wiadomość, że dostaniemy nowo-uszyte spodnie-sponice (kulotty!). Już wtedy oddziały A.K. starały się umundurować w zależności od tego gdzie były i co zdobyły. Tak, na przykład, na Starym Mieście ubierano się w panterki, na Poczcie Głównej w granatowe mundury listonoszów, które znaleziono w ~~xxxxxxx~~ magazynach po zdobyciu poczty. Dla nas, Peżetek, gdzieś wynaleziono wełniany ciemno szary materiał, wystarczający na uszycie kulotów dla całej grupy. Każda z nas dostała również beret szary na głowę, a opaska biało-czerwona na ramieniu i emblemat PŻ na bluzce, czy kurtce, dopełniały nasze umundurowanie. (Tu muszę dodać, na stronie, że kuloty marzyły mi się od czasu, jak widziałam Hanke Freytag w takowych. Zawsze chciałam nosić spodnie, jak bracia. Kuloty były najlepszą namiastką!)

Władysław Jewsiewicki, Powstanie Warszawskie, 1944 - okiem polskiej kamery, wydawnictwo Impress, Warszawa, 1989:225. **Ibid:40.

Tu i tam, czytając wspomnienia i relacje z Powstania, napotkałam wzmianki o Peżetkach. O ile wiem, P.Ż. miało swoje placówki tylko w Śródmieściu, Północnym i Południowym, a może i na Mokotowie(?). Niektórzy wspominali gospody gdzie można się było czegoś napić i coś przekąsić (Jewsiewiecki; Harcerki 1939-1945; itd.), a Roycewicz podkreślił ciche bohaterstwo "tych wspaniałych dziewcząt i kobiet, tych naszych łączniczek, sanitariuszek, naszych Peżetek, bez których ofiary i bohaterstwa trudno byłoby się obyć"*. Najbardziej jednak wzruszyło mnie i utkwіło w pamięci to co napisał młody powstaniec, Jerzy Filipowicz**:

... obiad ... podawany przez miłe panie z emblemem P.Ż. (Pomoc Żołnierzowi). Panowie żołnierze zaczynają zwracać uwagę na swój ubiór ... "baby" są urażone ... one są dla nas kumplami, ubrane w kombinezony i berety, zagonione, umundurowane jak my, nie mają czasu na toaletę, a "peżetki"? To inny świat - pantofelki, pończoszki, fryzura (w miarę trwania walki i one staną się kumplami). [Moje podkreślenie]

I rzeczywiście, o ile w początkowym okresie nasza służba mogła się wydawać bezpieczną i niektóre (bo nie wszystkie!) Peżetki dbały o wygląd zewnętrzny 'dla pokrzepienia serc', to w miarę jak Powstanie się przedłużało, a z kolei Śródmieście zostało dzielnicą niszczoną precyzyjnie przez Niemców, przyszło złudzenie, że gospody P.Ż. były bezpieczne, a wiele z nas żyło się bardzo z powstancami, dzieląc z nimi pogarszające się warunki przetrwania, jak z prawdziwymi kumplami.

Śródmieście Północne nigdy nie było naprawdę bezpiecznym rajem. Od samego początku gołębiarze obstrzeliwali cały teren, artyleria i bomby z nadlatujących Stukasów siały regularne zniszczenie, zwiększające się z dnia na dzień. Ale przez pierwsze tygodnie gorzej było w innych dzielnicach - Wola, Ochota, Starówka - i dlatego w centrum Śródmieścia Północnego mogliśmy się cieszyć wolnością i względny spokojem. Prawie wszyscy cywile i wojskowi zeszli już do piwnic i tam mieli swoje kwatery. Uciekinierzy z innych dzielnic opowiadali o morderstwach, gwałtach i innych okropnościach popełnianych przez wrogów na bezbronnej ludności i pochwyconych powstancach. Szukali wśród nas schronienia. W naszej dzielnicy ulice wylotowe były zabezpieczone barykadami, a ludzie wychodzący na zewnątrz nauczyli się chodzić pod ścianami domów i przebiegać otwarte przestrzenie, jeśli musieli wychylić się z piwnic. Największa barykada osłaniała przejście przez Aleje Jerozolimskie, 'wzniesiona i 'wykopana' 7 sierpnia, a ulepszana i reperowana do końca Powstania. Tak więc mieliśmy połączenie ze Śródmieściem Południowym. Wkrótce odcięci zostaliśmy od wszystkich innych dzielnic Warszawy, za wyjątkiem Powisła do czasu upadku tego terenu. Poruszanie się po naszej dzielnicy zostało usprawnione przez wykucie otworów z jednej piwnicy do drugiej, a komunikacja między dzielnicami - za wyjątkiem Śródmieścia Południe - zaczęła wykorzystywać kanały miejskie.

Narazie, miałam mało kontaktu z ludnością cywilną, ale ogólnie wiedziało się że Warszawiacy popierali powstanców, dzielili się tym czym mogli i pomagali wznosić barykady. 10-go sierpnia oddziały zdobyły browary Haberbuscha między Grzybowską i Krochmalną, a zapasy żywności tam zdobyte stały się głównym źródłem pokarmu dla

Batalion A.K. "Kiliński", 1979:72. **Miałem wtedy 14 lat, Pax. 1972:73.

1/1/15

ojska i cywilów, w czasie przedłużającej się obrony Śródmieścia.

Wiadomości ze świata i o tym co działo się w dalszych rejonach miasta dochodziły do nas głównie via radio - BBC z Londynu i naszą własną "Błyskawicę". Pamiętam ponure tony "Z dymem pożarów" grane często na audycjach z BBC (dopiero lata później przeczytałam, że to był szyfr, zawiadamiający, że tego dnia nie będzie zrzutow*) wiersz Jasińskiego (usłyszałam po raz pierwszy już nie na Pocztę Główną, bo napisany był 24 sierpnia**) w odpowiedzi na chorał:

Tu zęby mamy wilcze a czpki na bakier,
 tu u nas nikt nie płacze w walczącej Warszawie:
 tu się Prusakom siada na karkach okrakiem,
 tu wrogów gołą garścią za gardło się dławi!...
 A wy tam wciąż śpiewacie, że z kurzem krwi bratniej,
 że w dymie pożarów niszczeje Warszawa -
 A my tu naga pierśią na strzały armatnie.
 Czemu żalobny chorał śpiewacie wciąż w Londynie
 gdy tu nadeszło wreszcie oczekiwane święto?
 U boku swoich chłopców walczą tu dziewczęta,
 i nawet dzieci walczą, i krew radośnie płynie.
 Halo! Tu serce Polski! Tu mówi Warszawa!
 Niech pogrzebowe śpiewy wyrzuca z audycji!
 Nam ducha starczy dla nas i starczy go dla was!
 Oklasków nam też nie trzeba!
 Żądamy amunicji!

Wiedział kto wtedy wiedział, co chorał oznaczał, a Jasiński tak dobrze wyraził co my - zwykła brać akacka - odczuwalismy w owe dni sierpniowe! Przyjemniej słuchało się "Błyskawicy" niż chorału z Londynu: **

Hallo! Tu "Błyskawica", stacja nadawcza Armii Krajowej w Warszawie na fali 32,8 i 52,1 metra.

Oto dziś dzień krwi i chwały,
 Oby dniem wskrzeszenia był!
 W gwiazdę Polski Orzeł Biały
 patrząc lot swój w niebo wzbił.
 A nadzieją podniecany,
 woła na nas z górnych stron:
 Powstań Polsko, skrusz kajdany,
 Dziś Twój triumf albo zgon.

Wtedy dałam tu słowa wiersza Jasińskiego i Warszawianki, bo lepiej nie potrafię wyrazić tego co wtedy czułam.

Z audycji radiowych dowiedzieliśmy się różnych rzeczy. Jakoby Zachód próbował nam przyjść z pomocą, ale sprzymierzenci z Wschodu nie ułatwiali sprawy. Front zachodni był jeszcze daleko, a zrzuty dostarczane samolotami wysyłanymi z Anglii, a później z Włoch, miały nader niebezpieczne zadanie. Tymczasem Niemcy nie dawali pozwolenia na lądowanie alianckich samolotów na wschodnich lotniskach, na przerwanie długiego lotu i nabranie siły. Nie mniej, już pierwsze zrzuty odebrane były w Warszawie

* J. Bartoszewski, Dni Walczącej Stolicy, ALFA, Warszawa, 1989:130-131.

** Ibid:52.

5 sierpnia (wdł. Bartoszewskiego), a inne nastąpiły przez szereg nocy później. Straty wśród aliantów (piloci angielscy, kanadyjscy, polscy itd.) były duże, zrzuty bardzo doceniane, ale nie wystarczające by przeważać nasze losy. (Wzruszona byłam jak przeczytałam, że Leszek Owsiany - ten co groził, że założy Tereni i mnie kolczyki krowie na uszy jak mu dokuczałyśmy, gdy był praktykantem w Górze - latał kilkakrotnie nad Warszawę w sierpniu 1944 r., i był pewien, że "wszystkie [zasobniki] dotarły do celu"*).

Usłyszeliśmy też przez radio i z innych źródeł, że walka trwała na Żoliborzu, Czerniakowie, Mokotowie, nie tylko na Powislu i w Śródmieściu, a przede wszystkim na Starym Mieście. Powstańcy, nie zdołali zdobyć mostów na Wiśle, ani niektórych ważnych obiektów, bronili jednak zacięcie tego co zdobyli. Powstanie, które planowano na kilka dni, przedłużało się już na tygodnie.

W połowie sierpnia sytuacja w Warszawie stawała się bardzo ciężka. Starówka walczyła o każdy dom i każdą ulicę, ale i w Śródmieściu pogorszyło się znacznie. 15 sierpnia Niemcy wprowadzili nową bron do pogrzebienia Warszawy - miotacze min, czyli tzw. "krowy". Śródmieście Północne było obstrzeliwane również ciężką artylerią, nie tylko "krowami. Tego dnia wybuchły pożary w Prudentialu (pamiętam ten widok), na Mazowieckiej, Świętokrzyskiej, Moniuszki i Sienkiewicza (wdł. Bartoszewskiego). "Krowy" stały się najbardziej wzbudzającą lęk bronią, bo ludzie którzy nie zginęli od wybuchu, byli z reguły potwornie poparzeni. Szpitale w naszej dzielnicy zapełniały się szybko ofiarami "krow", cywilami i powstańcami. W tym czasie, rtm. "Leliwa" poderwał swój batalion i sąsiednie oddziały do walki zaczepnej z wrogiem, wychodząc z założenia, że trzeba wyrwać żołnierzy z "obronnej mentalności". Największym osiągnięciem Batalionu "Kilinski" było zdobycie PASTy (20 sierpnia) na Zielnej. Były też inne zdobycze, ale mówiąc prawdę, mało szczegółów dochodziło do mojej świadomości w owym czasie. Wiedziałam, że nasi się biją zaciekle i tym żyłam.

W naszym małym świątku, w piwnicach Poczty Głównej, czuło się wzrastające tempo walki i niezwykle poruszenie w oddziałach "Kilińskiego". Ale poza tym, życie płynęło prawie normalnym trybem, aż do 18 sierpnia. Prawdopodobnie to było w tych niby spokojnych czasach, że doswiadczyłam raczej niemiłej sprawy, choć nie ze mną związanej. Otóż kiedyś w nocy obudziłam się z przerażeniem, bo wydawało mi się że usłyszałam jakieś jęki i przeraźliwe krzyki. Niebawem przekonałam się, że to nie była senna mara. Wyraźnie kogoś bito i może torturowano w naszych podziemiach. Wiedziłam, że trzymano tutaj jeńców niemieckich i że na ogół traktowano ich poprawnie. Co się stało tej nocy, nigdy się nie dowiedziałam i jakos głupio było się pytać... Przykro jakos pamiętać, że jedyne krzyki cierpiącej osoby takiego kalibru, usłyszałam tylko raz w życiu i to spowodowane przez "naszych"...

18 sierpnia Śródmieście Północne było ciężko bombardowane od rana. Wielki pocisk upadł na dom, Moniuszki 10, tam gdzie istniała godpoda P.Z., prowadzona przez siostrę "Heleny", pseudonim "Teresa" (Wanda Ivanka, z domu Prażmowska). Pocisk nie wybuchł, ale uszkodził właśnie gospodę Pezetek i zabił "Terese". Smutna

*Jan Szczęsny, Cichociemni z Polski do Polski, Krajowa Agencja Wydawnicza, 1985:201.

3/11/17

to była dla nas wiadomość i prawdziwy szok dla "Heleny". Wkrótce potem, może tego samego dnia, zjawiły się u nas kpt. "Ina" i kpt. "Zofka". Między innymi, powiedziały nam, że możemy się przenieść na południe, tzn. Srodmieście Południowe, uważane wtedy za bezpieczniejsze jeśli którakolwiek z nas sobie tego życzy. Pare Pezetek skorzystało z tej propozycji, między nimi "Paula" z przyjaciółką i Lilka Borkowska. Lilka miała dom i rodzinę po 'tamtej stronie' co możliwe wpłynęło na jej decyzję. "Helena", "Honoratka", "Bożena" (Tenia Hulewicz), "Florcia" i ja - imion innych nie pamiętam - byśmy zdecydowane zostać. Ale niebawem, nasze władze wydały rozkaz, że "Florcia" (Wika) i "Katrina" (to ja!) mają nowy przydział do placówki P.Z. na ulicy Moniuszki 11. (Prawdopodobnie to tam została przeniesiona gospoda PZ po zbombardowaniu "Adrii", gdzie zginęła "Teresa"?). Zebrałyśmy swoje manatki i opęściliśmy Poczta Główną bez zwłoki. Żał mi było rozstawać się z Tenią, czy "Honoratką", ale rozkaz to rozkaz i nie bardzo żałowałam, że "Helena" nie będzie już moją komendantką!

"KOSZTA"

Przenosiny do "Koszty", nakazane z góry, otworzyły nowy rozdział w moich doznaniach powstańczych, a że prawie napewno uratowały mi życie i że nowe doznania stały się nadzwyczaj głębokie i pozytywne - pomimo tragedii, która na nas wszystkich czekała - nie miałam nigdy powodu do skargi na decyzję powziętą przez moje władze. Wtedy, po opuszczeniu Poczty Głównej, byłam poprostu ciekawa jak to będzie na nowej placówce.

Nazwa kompanii "Koszta" była skrótem długiego tytułu: Kompania Sztabowa Obszaru Warszawskiego, A.K.. Dowodcą kompanii był kapitan "Kmita" (Stefan Mich). W czasie gdy ja przybyłam na Moniuszki, cały oddział zajmował kamienicę na rogu Moniuszki i Marszałkowskiej i sąsiednią kamienicę na Sienkiewicza, róg Marszałkowskiej. Obie kamienice były połączone przejściem przez podwórka, choć nie pamiętam czy owe przejście zawsze istniało czy było przebite w czasie Powstania(?). Kamienice były dosyć wysokie (5-cio piętrowe?), solidnie zbudowane i jeszcze względnie nie naruszone działaniami wojennymi. Niedaleko, na Marszałkowskiej, wysoka barykada zagradzała dojsie czołgów od strony Ogrodu Saskiego. Nie przypominam sobie ani jednego wypadu - własnego - poza ulicę Marszałkowską, chociaż chłopcy z "Koszty" byli wysyłani na rozmaite boje w całym Srodmieściu Północnym (np. brali udział w zdobyciu PASTy.). Moje ścieżki zawsze prowadziły na wschód, w stronę pl. Napoleona, lub na południe, ale o tym potem.

Zaraz obok Moniuszki 11 była kamienica służąca za szpital w czasie Powstania, szpital który był odnogą głównego szpitala, umieszczonego w budynku PKO na ul. Świętokrzyskiej. W tym rejonie generał "Monter" (Antoni Chrusciel) miał swoją kwaterę (na ul. Kasnej, Złotej, czy nawet w budynku PKO) do końca Powstania, a do końca sierpnia kręciło się dużo oficerów wyższej ~~szeregi~~ rangi w sąsiedztwie Moniuszki i naszej gospody.

Pamiętam, że dom na Moniuszki 11 miał nawet szyby, gdy tam obrnęłam z Wiką! Nasz sypialny pokój, na parterze, miał okna

7/11/18

wychodzące na Moniuszki. Spało nas tam około pięciu Pezetek, a obok był pokój dla reszty. Swietlica-gospoda PZ mieściła się też na parterze, ale wejście było z podwórka, obok kuchni. Wszystko co zobaczyłam dnia pierwszego po przenosinach, wydawało mi się jasne i przytulne. Wika i ja zadomowiliśmy się bez trudu.

Chyba mniej było tu Pezetek niż na Poczcie Głównej, ale właściwie zapamiętałam tylko te z którymi zostałam do końca. Jak przez mgłę wydaje mi się, że zastałam tam panią Potemkowską (znaną z Chyliczek). Może to ona przyszła na miejsce zabitej "Teresy" i była naszą komendantką? (Tatus' opowiadał mi po wojnie, że spotkał kiedyś p. Potemkowską - pewnie w Izbie Rolniczej - i miło mu było posłyszeć, że sprawiałam się dobrze w czasie Powstania. Więc możliwe, że mnie widziała w "Koszczie"??). Późniejsze szoki i doznania zatarły dużo w mojej pamięci. W każdym razie, zapamiętałam dwie współmieszkanki naszej sypialni, poza Wiką, to jest "Isię" i "Maję". Obie, tak jak Wika, były starsze ode mnie, "Isia" straciła męża w czasie okupacji, "Maja" była chyba panną. Spaliśmy pokotem na podłodze, na materacach czy siennikach położonych blisko siebie. "Isia" miała łożo koło mnie i w bardzo szybkim czasie pokumaliśmy się serdecznie. Pamiętam, że nieraz gaworzyliśmy do późnej nocy. Wszystkie trzy towarzyszki, Wika, "Isia" i "Maja" miały długą historię służby w podziemiu, ale żadna z nich nie dała mi odczucia swej wyższości, ani mojej 'nicości"! Były koleżanki i serdeczne. A już "Isia" specjalnie. Podczas naszych nocnych rozmów, opowiadała mi o rozmaitych wojennych przygodach, na przykład jak kiedyś jechała kolejka podmiejska, obładowana zakazaną 'bibułą', gdy Niemcy zatrzymali pociąg i zaczęli rewidować pasażerów. "Isia" siedziała spokojnie i nawet zdobyła się na niewinny uśmiech. Niemcy przyjrzeni się jej i poszli dalej! To była prawdziwa "Isia". Miała tak miłą i zaufania godną fizjonomię, że nawet wróg dał się nabrać! A już jak mi "Isia" powiedziała, że studiowała ogrodnictwo na SGGW przed wojną, poczułam, że jest moją bratnią duszą! "Maja" była raczej małomówna, ale zycziwa. Wika, jak dawniej, otaczała mnie siostrzaną opieką. W sumie, wśród miłych koleżanek i pod sympatyczną komendą (nie pamiętam czyją) służba na nowej placówce zapowiadała się dobrze. Na terenie pracy spotkałam tylko jedną nie bardzo sympatyczną osobę. A była nią "Maria", która z ramienia WSK zarządzała kuchnią. Ponieważ Pezetki roznosiły porcje jedzenia dla 'gości' w jadłodajni-gospodzie, Maria ciągle patrzyła nam na ręce i pilnowała żebyśmy nie dawały jednym więcej niż innym, tak jakbysmy do tego były skłonne! W ogóle była raczej ponura i podejrzliwa z natury, więc omijałyśmy ją jak się dało z daleka.

System wydawania posiłków był bardzo uregulowany i ścisły. Zachowałam swoją, "niedojeżdżoną", kartę z bonami na posiłki. Wystawiona była przez Komendę Obszaru, no. 143, na nazwisko: ob. Katrina, P.Z., z wydrukowanym nakazem, że "Bonów odstępować nie wolno"! Karta ma trzy kolumny: Śniadanie, Obiad, Kolacja; oraz ponumerowane rzędy. A więc, jest Śniadanie 10, Obiad 10, Kolacja 10, itd. Moja karta pokazuje, że zużyłam 'normalnie' Śniadanie 4, a już reszty - do no. 10 - nie oddałam. Tzn. to musiała być moja druga karta, bo w początkach września wszystko przewróciło się do góry nogami i "Maria" przestała rządzić.

7/11/19

BONÓW ODSTĘPOWAĆ NIE WOLNO

KOMENDA OBSZARU

143

Nazwisko

ob. *Katrina* P.2Karta z bonami na posiłki
(sierpień 1944 r.) - obok.

Śniadanie 10	Obiad 10	Kolacja 10
Śniadanie 9	Obiad 9	Kolacja 9
Śniadanie 8	Obiad 8	Kolacja 8
Śniadanie 7	Obiad 7	Kolacja 7
Śniadanie 6	Obiad 6	Kolacja 6
Śniadanie 5	Obiad 5	Kolacja 5
	Obiad 4	Kolacja 4

Pierwszy żołd powstańczy,
sierpień 1944r. - poniżej

E 5187625

1/1/90

W owym czasie, nie było jeszcze prawdziwego głodu. "Koszta" miała spore zapasy mąki, kaszy, suchej fasoli czy grochu, cukru, może nawet kawy czy herbaty (?), a od czasu do czasu podawano nawet mięso - głównie koninę, o ile pamiętam. Nie wiadomo było jednak na jak długo te zapasy będą musiały wystarczać, wobec przedłużającej się walki o Warszawę. System rozdawania jedzenia pod ścisłą kontrolą był więc pewnie konieczny i rozsądny. W sierpniu i na początku września, przychodziło sporo 'wysokiej szarzy' na posiłki do naszej placówki, poza oczywiście żołnierzami "Koszty".

Tu mogę wspomnieć, że Janusz Szczucki z Poczty Głównej, przyszedł mnie odwiedzić raz czy dwa po moich przenosinach. Pamiętam zwłaszcza jedną jego wizytę, gdy zaproponował mi pójście z nim do kina! Jak sprawdziłam u Jęwsiewickiego,* pokazywano 21 sierpnia w kinie Palladium, na ul. Złotej, film dokumentarny ze zdobycia PASTY. To właśnie na ten film, zapraszał mnie Janusz. Oczywiście, miałam wielką ochotę pójść i zobaczyć na własne oczy jak nasze chłopaki (z "Kilńskiego" i "Koszty") odniosły swe duże zwycięstwo, ale - odmówiłam. A zrobiłam to dlatego, że przy okazji, Janusz chciał ode mnie uzyskać specjalne 'fory'. Dla młodego mężczyzny, porcje jedzenia - w jego wypadku na Poczcie - nie były już zbyt wystarczające, no i Janusz próbował wykorzystać moje 'chody', by podjeść sobie w naszej gospodzie, albo dostać ode mnie jakąś żywność 'na lewo'. Tego nie mogłam i nie chciałam zrobić - nie z obawy przed "Marią", ale dlatego, że już wtedy wszyscy powstańcy, z którymi się zetknęłam, stali się moimi kumplami, i nie wyobrażałam sobie odbierania od ust jednego by nakarmić drugiego, zwłaszcza mojego "wybranego". Podziękowałam więc Januszowi za chęć zabrania mnie do kina, znajdując jakies 'zrobione' powody, a potem już go nigdy nie spotkałam. Lata później, dowiedziałam się przypadkiem, od znajomej Akaczki - Rity Iwańczyk - że zetknęła się z Januszem w szpitalu PKO na początku września, gdzie oboje znaleźli się jako pacjenci, ranni w czasie akcji czy nalotów. Podobno Janusz chwalił się Ricie, że poznał dziewczynę, prawie narzeczoną (!), której pseudonim był "Katrina"! Co się z nim potem stało, nie wiem. Pozostał mi tylko pierścionek z orzełkiem, jako pamiątka naszego spotkania w czasie Powstania, pierścionek który mi ukradł złodziej w Londynie.

Dosyć szybko zaznajomiłam się z chłopcami z "Koszty". Potrafiłam ich rozróżnić po wyglądzie, a niektórych nawet po pseudonimach. Łatwiej się było z nimi zaznajomić, bo grupą nie była tak liczna zmieniająca się jak na Poczcie Głównej. Żołnierze "Koszty" wydawali się smiecianką akacką - młodzi, (jak zreszta większość AK), zżyci ze sobą przede wszystkim dobrze uzbrojeni, jak na powstańców. Wielu z nich było w moim wieku, albo nawet młodszy - siedemnastolatki. Wśród tych ostatnich zapamiętałam dwóch - jeden miał pseudonim "Długi" (i słusznie bo był wyjątkowo wysoki), a drugi grał pięknie na fortepianie w naszej gospodzie. Znałam jego pseudonim i nawet prawdziwe imię i nazwisko, ale zapomniałam, więc nadam mu tutaj nazwę "Pianista", jako że jeszcze będę o nim pisać. Chłopacy dzielili się często na barykadach czy w akcji, a ci którzy przychodzili na krótki odpoczynek, zaglądali często do gospody PŻ i brali udział w naszych wieczorkach muzycznych czy 'artystycznych' - prawdziwi aktorzy też tu przyszli parę razy za moich czasów.

Przez tydzień czy dwa po 21 sierpnia, względnie mało zmieniło się w naszej dzielnicy. Batalion "Kiliński" nadal prowadził akcje zaczepne w rejonie Nowego Świata i Alei Jerozolimskich, a do 'normalnego' bombardowania i ciągłego ostrzału, już się prawie przyzwyczailiśmy. Tylko ze Starego Miasta dochodziły coraz gorsze wiadomości, razem z nie kończącymi się odgłosami dalekiej bitwy. 26 sierpnia gen. "Bór"-Komorowski ewakuował się ze swym Sztabem, kanałami, ze Starówki do budynku PKO, w naszym sąsiedztwie. Wkrótce potem nastąpiła ogólna ewakuacja wojska A.K. do Śródmieścia, głównie kanałami, ale dopiero po upadku Powisła Niemcy dobrali się na dobre do naszej skóry. Jak narazie, służba Pezetek nie ulegała jeszcze dużym zmianom.

Kpt. "Ina" i kpt. "Zofka" przychodziły regularnie na inspekcje naszej placówki. Któregoś dnia przyniosły legitymacje A.K. dla wszystkich, które ich jeszcze nie posiadały (bo może jakieś Pezetki dostały legitymacje wcześniej?). Moja legitymacja, którą do dzisiaj posiadam, wystawiona była przez Armię Krajową, Okręg Warszawski, nr. 120419, z zaświadczeniem, "że przewoźniczka P.Z. Katrina - Anna Zylicz jest żołnierzem A.K. Dnia 25 VII.1944 r.", Na dole pieczęć: "Komenda Okręgu m.st. W-wy" i podpis: "Kania" (czyli szef Wydziału Propagandy BIP-u, Tadeusz Zenczykowski, wdł. Jewsiewickiego). Odwrotna strona legitymacji stała się 'historią' moich dziejów do końca Powstania, zaczynając od "Koszty", czyli wydrukowanego na maszynie zaświadczenia: "Ob. Katrina
Sztab Obsz. Warsz. P.Z.
Przewoźniczka
Warszawa 23.VIII.44."

O ile pamiętam, to właśnie 23 sierpnia, albo zaraz potem dostałam swoją legitymację. Stała się ona dla mnie najważniejszą posiadłością i nie rozstawałam się z legitymacją ani na chwilę w dzień czy w nocy. Byłam taka dumna i zadowolona, że oto dostałam dokument zaświadczający moją przynależność do Armii Krajowej!

W miarę upływu czasu, gdy szpitale powstańcze musiały przyjmować coraz więcej rannych i chorych, starano się usprawnić służbę zdrowia jak dało się najlepiej. Miedzy innymi ulepszeniami, zdecydowano sprawdzić grupę krwi u możliwie największej ilości ludzi, aby w razie potrzeby wiedzieć od razu jakiej krwi użyć do transfuzji, lub od kogo podbrać właściwą grupę krwi do przetoczenia. Pamiętam, że poszłam do szpitala obok naszej kwatery na zbadanie krwi i niebawem wpisano mi do legitymacji A.K., że: "Krew należy do grupy 'A' - Dr Zofia", plus pieczęć - zatarta pierwsza linia, niżej: "Warszawa Śródmieście - Armia Krajowa." Szpital na Moniuszki upamiętnił mi się jeszcze z dwóch przyczyn. Po pierwsze, to było tam - może jak poszłam na badanie krwi? - gdzie zobaczyłam ofiary bomb zapalających, czyli "krów". Pacjenci byli zabandażowani od stóp do czubka głowy, najwyżej z małym otworem na usta czy nos. Cierpieli strasznie... Drugi zapamiętany widok był dużo przyjemniejszy - przy wejściu do kamienicy-szpitala, siedziała młoda pielęgniarka mocząc nogi w kubelku z wodą! Zapamiętałam, bo wody już było mało i sam fakt, że dziewczyna zdecydowała się użyć wody którą zdobyła na moczenie nóg, był dowodem jak ciężko pracowała i jak bardzo musiały ją boleć stopy! A przy tym, wyglądała taka zadowolona i odprężona, gdy ją widziałam owego dnia. Mówiąc o wodzie, to nieraz sobie o tym myślałam później, jak radziliśmy, sobie z myciem czy praniem bielizny? Pewnie wszyscy zalatywaaliśmy swoistym odorkiem, ale widocznie nie zwracało się na to uwagi,

7/1/22



Mój emblema P.Ż.

ARMIA KRAJOWA
Okręg Warszawski

Nr 170419

Zaświadczam, że
pani K. Gladina - Jura
stopień wojsk. (pseudonim i imię)
Kylich jest
nazwisko
żołnierzem A. K.
Dnia 25.VII.1944 r.

Miejsce pieczęci:
KOMENDA OKRĘGU
st. W.

Ob. Katrina
Sztab Obsz. Warsz. P.Ż.
Przewodniczka
Warszawa 23.VIII.44.

Sztabu Obszaru A. K.
WID. p.ż. d.ż. 1.
9.1944 do stop.
nie młodszego Komendantki
Podporucznika / 1/4
Szef Wydz. III
Konfer. kpt
Obsz. 29/44
Inne należą do grupy "A"

Warszawa 23.VIII.44
Armia Krajowa

Legitymacja A.K.

7/11/23

gdy wszystko waliło się i paliło w okół nas? Wspominając szpital, mogę jeszcze dodać, że dr. "Zofia" i jej personel zawiedli się na mnie. Jak mnie zobaczyli, dużą i zdrową, ucieszono się, że nareszcie będzie z kogo krwi utoczyc(!) i miano nadzieję, że moja krew zaliczy się do grupy "0" - czyli tego typu, który można by wielu pacjentom dawać bez obawy, nawet gdy ich grupy krwi były odmienne. Niestety zawiodłam ich nadzieje!

Tymczasem, jeszcze woda płynęła z kranów na Moniuszki, gdy bomba zapaliła strych kamienicy. Pamiętam, że stworzyliśmy - kto był na kwaterze - łańcuch z ochotników i podawaliśmy sobie wiadra z wodą z rąk do rąk. Ja byłam na którymś z górnych pieter. Tym razem, udało nam się jeszcze pożar zagasić. Byliśmy zadowoleni z akcji ratunkowej. Innym razem, zanim świat się zaczął walić, miałam 'wychodne' i pobiegłam na Poczcie Główną, odwiedzić Tenię. Zastałam ją w świetlicy, poważną i raczej smutną. Porozmawiałymy sobie przez chwilę, ale nie umiałam rozpędzić ciemnych myśli Teni - czy miała przeczucie co się wkrótce stanie? Wyszłam z Poczty raczej przygnębiona - nie dlatego że uwierzyłam w złą przyszłość, ale raczej z żalu, że nie potrafiłam Tenię rozweselić. A swoją drogą, coraz więcej słyszało się "krakania". Nawet moja "Isia" zaczęła snuć pesymistyczne wątki, co do szansy Powstania, gdy układaliśmy się do snu. Cóż, była starsza i napewno bardziej z życiem 'oblatana' i mniej mająca złudzeń niż ja, osiemnastoletnia siksa. Ale jakos było przykro gdy mi zimną wodę lano na rozpalony łeb!

31 sierpnia powstańcy ze Starówki zrobili próbę przejścia do Śródmieścia Południowego. Tylko mały oddział przebił się do ulicy Królewskiej. Reszta musiała zawrócić i przez następne dwa dni przedostawała się kanałami do naszej dzielnicy. Główne wyjścia z kanałów były na rogu Wareckiej i Nowego Świata, oraz na Placu Napoleona, blisko Wareckiej. Jakos mam w oczach wyłaz z kanału na Wareckiej, więc możliwe, że wysłano i mnie z napojem dla wyczerpanych obrońców Starówki. A może to tylko zdjęcia z owych scen utrwały mi się w pamięci? Już sama nie wiem. W każdym razie, w miarę jak powstańcy przybywali ze Starego Miasta, dowiadaliśmy się coraz więcej szczegółów o ich walce i krwawych przeżyciach. Byliśmy ogółem pełni uznania dla ich bohaterstwa, ale też zaczynaliśmy zdawać sobie sprawę z tego co nas z kolei czeka ...

We wrześniu Niemcy zmienili techniki bombardowania budynków w Warszawie. Zrzucanie bomby pod kątem okazało się bardziej skuteczne, bo bomba dosięgała piwnic, to znaczy miejsc, które dotychczas uważane były za najbezpieczniejsze - gdzie ludność cywilna i wojsko szukało schronienia. W ten sposób, 5 września, gmach PKO i Poczta Główna zostały zbombardowane. Straty w ludziach były duże. "Bór"-Komorowski ewakuował się następnego dnia za Aleje Jerozolimskie, a i szpital w PKO oraz jego filie w okolicy musiały wkrótce przejść na względnie bezpieczniejsze południe, jak to się mówiło: "za Aleje". Dla nas, Peżetek w "Koszcie", najsmutniejsza była wiadomość, że wszystkie Peżetki w gospodzie Poczty Głównej zostały przysypane gruzem i zabite po rannym nalocie. Zginął tam też cały oddział z "Kilńskiego", żołnierze którzy właśnie przyszli na śniadanie.

I/1/24

Odczuwałam głęboko stratę Teni Hulewicz, "Honoratki", a również wszystkich dawnych towarzyszek, które tam zostały pogrzebane. Zginęła też "Helena", tak jak jej siostra w sierpniu. W jakimś czasie później, szłam z "Mają" w kierunku Nowego Świata, niosąc żywność dla chłopaków z "Koszty", tam będących na posterunku. Musiałymy przejść ulicą Warecką, koło ruin Poczty Głównej. Po przeciwnej stronie płonęły domy. Z poza palących się ruin wyszedł starszawy mężczyzna i wymachując rękami, z wzrokiem pomylenca, zbliżył się do mnie. Krzyknął przeraźliwie i dreszcz po mnie przeszedł gdy zrozumiałam o co mu chodziło - wziął mnie za Tenię Hulewicz! Krzyczał, że przecież widział na własne oczy 'moje' zwłoki gdy odkopano trupy z piwnic poczty, że widział jak 'mnie' niesiono i pogrzebano w pobliżu ... co robiłam więc żywa i idąca ulicami Warszawy? Minęłyśmy obłokanica jak się dało najprędzej, ale od tego spotkania wydawało mi się, że śmierć czychała tuż, tuż ...

Nie wiele zresztą było czasu na rozczulanie się nad losem innych czy własnym. Już 6 września padło Powiśle. Nadchodziła nasza kolej ... Opustoszało w naszej dzielnicy - szpitalę ewakuowane za Aleje, także ten na Moniuszki, większość wysokiej szarży też tam przeszła, a ludność cywilna w coraz większej ilości szukała schronienia w Śródmieściu Południe. Bombardowanie i systematyczne niszczenie Połnocy zwiększało się z dnia na dzień. Wtedy to przyszły 'nasze kapitan'y', "Ina" i "Zofka", proponując Peżetkom przejście "za Aleje". Wiele dziewcząt skorzystało z możliwości odejścia z zagrożonej dzielnicy, łącznie z Wiką Szyszkowską. "Isia" i "Maja" zostały, a ja zdecydowałam się pozostać z nimi. Niebawem Niemcy dobrali się do naszych najbliższych ulic, na wschód od Marszałkowskiej (po zachodniej stronie Marszałkowskiej, mowiono, że 'front' był za blisko oddziałów niemieckich, więc tam mniej bombardowano, jeśli w ogóle) - Moniuszki, Sienkiewicza, Jasna, Złota, Swietokrzyska ... Wkrótce, tylko szkielety kamienic pozostały, lecz w niektórych kamienicach pomieszczenia w piwnicach jakoś przetrwały. Pamiętam, że gdy dobrano się do nas na Moniuszki, musiałyśmy uciekać na stronę Sienkiewicza. I tu zdarzył się komiczny moment - nagle zobaczyłyśmy za naszymi plecami, "Pianistę" goniącego w wielkim pośpiechu, ale niosącego duży półmisek z masą fasolowo-cukrową, którą przygotowałyśmy wcześniej do zrobienia kulek 'marcepanowych'. Chłopcy bardzo lubili te łakocie, a "Pianista" szczególnie. Teraz, z narażeniem życia(!), czuł że musi uratować taki 'skarb'! A potem oberwało się kwaterom na Sienkiewicza. W nocy ewakuowałyśmy się na ul. Jasną. Posuwałyśmy się ostrożnie środkiem ulic, bo już dużo gruzów leżało pod stopami, a po obu stronach jezdni płonęły kamienice - pomyślałam sobie, że to chyba piekło Dantego tak wyglądało. Znalazłyśmy schronienie w jeszcze nie zniszczonym mieszkaniu (czyim, nie pamiętam) na ul. Jasnej i patrzyłyśmy się przez okno na nasz, dopalający się rejon. Przeżycia tej nocy utkwily gdzieś głęboko w mojej pamięci i zatarły wiele szczegółów z wcześniejszego okresu.

Rano wróciłyśmy na stare śmiecie. Strona od ul. Sienkiewicza była ciut mniej zniszczona, przynajmniej piwnice. Rotmistrz "Nowina" był teraz dowódcą kompanii "Koszta" (nie wiem co się stało z "Kmitą"?). Zastałyśmy wielu rannych, a również dowiedziałyśmy się, że "Maria" została ciężko ranna i już ewakuowana, jej podkomendne ranne czy rozproszone - poprostu ich nie było. My Peżetki, zabrałyśmy się do gotowania. Tymczasem, rtm. "Nowina" zwrócił się do mnie z prośbą abym pomogła przenosić rannych za Aleje (byłam duża!), a tam znalazła dla nich 'dobre' miejsca w szpitalach. Więc poszłam.

1/1/25

"ZA ALEJAMI"

Można by to pewnie nazwać 'ironią losu', że właśnie w tzw. "bezpiecznym" Śródmieściu Południe, zobaczyłam na własną oczy więcej ofiar Powstania i więcej cierpienia ludzkiego niż przed tym lub potem. Tutaj zetknęłam się z ludnością cywilną, po raz pierwszy od 1 sierpnia i to w okresie gdy niszczenie tej dzielnicy nabrało rozpędu! A więc nie było już bezpiecznego kąta w Warszawie.

Wszystko zaczęło się wtedy wśród ruin Moniuszki i Sienkiewicza, w pierwszej połowie września. Ranni leżeli już na noszach, a paru siedziało na gruzach z prowizorycznymi bandażami na urażonych częściach ciała. W sumie było chyba kilku, czy nawet kilkunastu rannych, czekających na ewakuację. Wśród nich, jeden z lżej rannych więc na chodzie, był "Długi". Pamiętam, że ewakuowaliśmy się po ciemku. Widocznie bezpieczniej było poruszać się po mieście, zwłaszcza z ciężkimi noszami, w nocy. Wędrówka była długa. Przechodziliśmy z jednej piwnicy do drugiej, z jednego podwórka do następnego, przeciągając, nieraz z trudem, nosze przez wybite otwory w murach. Przez część drogi niosłam nosze, przez resztę czasu pomagałam iść lżej rannym. Posuwaliśmy się dość wolno i coraz wolniej w miarę jak zbliżaliśmy się do barykady na Alejach Jerozolimskich. Tu był już tłok. Specjalny oddział pilnował przejścia i decydował kto, ile osób i w którym kierunku, mógł przechodzić. Chodziło o to żeby ludzie przeskakiwali przez Aleje jak najszybciej, bo choć barykada była dość wysoka, a wzdłuż niej wykopany dość głęboki rów, Niemcy walili w barykadę z krótkimi tylko przerwami i nigdy nie było wiadomo jakie szkody będą spowodowane ostrzałem. Normalnie, przechodziło się Aleje biegiem i w schylonej pozycji. To nie było tak łatwe gdy się niosło nosze z rannymi, ale udało się nam przejść bez problemów, gdy wypadła nasza kolejka. Na dworze już switało. ~~Właśnie~~ Znaleźliśmy tymczasowe miejsce dla chłopców z "Koszty" w jednym z pobliskich szpitali. Obiecałam chłopcom, że wrócę do nich jak zdobędę coś do jedzenia i powędrowałam na Kruczą, do Lilki B.

Lilka była w domu. I ona i jej rodzina przyjęli mnie gościnnie do mieszkania, które - o ile pamiętam - już było przepełnione ludźmi. Dali mi kat do spania i pozwolili używać kuchni na pitraszenie jedzenia "dla chłopców", gdy jakas żywność zdobędę. Mieszkanie pp. Borkowskich było na parterze, jeszcze nie zniszczonej kamienicy i miało wyjście na podwórko (zdaje mi się?). Gdzie znajdowałam produkty żywnościowe, zupełnie zapomniałam. Może u dobrych sąsiadów na Kruczej, może w magazynach żywnościowych (np. tam gdzie rozdawano produkty przynieszone z browaru Haberbuscha). W każdym razie pamiętam, że dostałam mąkę i olej rzepakowy i smażyłam placki dla moich wojaków, które oni zjadali z zapałem. Odwiedzałam rannych parę razy dziennie i zabiegałam, aby im znaleźć dobrą opiekę w którymś z większych szpitali. Kiedyś, w piwnicy blisko Alei Jerozolimskich, gdzie istniał tymczasowy szpital, spotkałam Tadeusza Zawadzkiego, syna brata Babisi-Tadeusza. Leżał z poranioną nogą, po przejściu ze Starówki. Porozmawialiśmy chwilę. Nie wiedzieliśmy nic o losie jego rodziców.

Brakowało już wody i w południowej dzielnicy Śródmieścia. Było tylko kilka studni i długie kolejki czekających ludzi z wiadrami. Jedna studnia była nie daleko mieszkania Lilki, więc

1/1/26

zam chadzałam z kubłem, aby zdobyć wodę do gotowania i do picia dla moich podopiecznych. Kiedyś, gdy już odchodziłam od studni, jakaś pani podeszła do mnie i widząc mój emblemat PZ zapytała czy przypadkiem znałam "Honoratkę". Powiedziałam, że tak, że służyłam razem z nią w gospodzie PZ na Pocztę Główną. A co się dzieje teraz z "Honoratką? - chciała ta pani wiedzieć. Pomyślałam, że to może była instruktorka czy komendantka "Honoratki" z czasów okupacji, więc powiedziałam, że "Honoratka" zginęła na poczcie, 1-go wrzesnia. Nieznajoma zachwiała się i zbladła - to była matka "Honoratki"! Czy dobrze zrobiłam, że powiedziałam prawdę? Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy nieszczęsnej kobiety ... Z ciężkim sercem wróciłam na Kruczą. Kilka godzin później dowiedziałam się, że po moim odejściu, podwórko z 'moją' studnią zostało zbombardowane i wielu czekających na wodę ludzi było zabitych. Znowu los mnie oszczędził. Dlaczego właśnie mnie?...

Ponieważ znalazłam się w południowej dzielnicy Śródmieścia, postanowiłam odwiedzić ciocię Wyganowską na Wspólnej, zobaczyć jak sobie rodzinka radziła w warunkach powstanczych i przy okazji wyjąć z mojej dużej walizki, którą tam zostawiłam, zmianę bielizny i coś czystego do ubrania. Mieszkanie było zamknięte i nikt drzwi nie otwierał, ale dowiedziałam się od sąsiadów, że prawie wszyscy domownicy zamieszkali w piwnicy. Tam też odnalazłam ciocię Wyganowską, jej córkę i wnuczkę. Panie były zatroskane wiekszącymi się nalotami na tę część miasta, ale poza tym całe i zdrowe, jakoś sobie radziły. Ciocia powiedziała, że nie pamiętała gdzie włożyła klucz do mojej walizki, ale poszuka i odda mi jak znów tam przyjdę. Przyszłam znowu na Wspólną dzień czy dwa później. Straszny widok! Kamienice, które jeszcze były prawie nienaruszone za mojej ostatniej wizyty, zostały zbombardowane, niektóre rozlupane na pół! Gdy doszłam do bramy byłej kamienicy w której ciocia Wyganowska mieszkała, zobaczyłam tylko gruzy i dwa trupki małych dzieci, przytulonych do siebie. Widocznie szukały schronienia w bramie gdy bomba upadła. Zaczęłam gorączkowo szukać cioci i w końcu udało mi się ją znaleźć, razem z ciocią Otarbińską i Mizią, w piwnicy jakiegos sąsiedniego, mniej zniszczonego budynku. Pełno tam skryło się, już bezdomnych, ludzi. Siedzieli choć w małych grupkach, bladzi, wystraszeni, tak zaszokowani, że nawet na narzekanie nie mieli sił! Oczywiście nie było rozmowy o temat mojej walizki - zostałam brudna - a jedynie odetchnęłam ulgą, że wszystkie uszły z życiem ... Po tym co zastałam na Wspólnej, zachwiała się moja wiara w dobry koniec 'naszej sprawy'.

Nie przypominam sobie zupełnie żadnych kontaktów z innymi Peżetkami, a Lilka B., w czasie mojego pobytu w Śródmieściu Południe. Przecież gdzieś zdobywałam żywność (kasze, makę, suchary itp.) dla moich rannych. Pamiętam samą siebie chodzącą samotnie ulicami Śródmieścia, bez przydziału, bez towarzyszek ... tęskniaca do "szty". Dowiedziałam się od kogoś, że ks. Piotrowski (ten z uliczek) był w okolicy i spowiadał wiernych w szkole Platerówny. Zszłam więc tam kiedyś i na podwórku szkolnym, zasypanym gruzem, ukląm przed księdzem wyświadczyć się ze swych grzechów. Ale coś mnie zatkało i rozplakałam się na głos. Z czego to można było spowiadać gdy wszystko na około mnie waliło się i paliło, a trupy ludzkie leżały na ulicy, a "zło" szalało bez opamiętania?

1/1/27

Ks. Piotrowski był bardzo wyrozumiały, uciszył mnie i ukoił, wysłuchał w końcu moich grzeszków i dał rozgrzeszenie, dodając mi otuchy dobrym słowem na pożegnanie.

Tymczasem, Armia Czerwona rozpoczęła akcję na Pradze 10 września. Odgłosy walki z za Wisły wzmocniły naszą nadzieję, że może jednak Warszawa będzie wkrótce wyzwolona i trzeba koniecznie wytrwać i utrzymać co było w naszych rękach. 13 września i potem, można było też posłyszeć warkot "kukuruzników" - małych samolotów radzieckich - lecących tuż ponad dachami domów. Przylatywały noca, zrzucając (często bez spadochronów) ładunki z żywnością (kasza i sucharami), z bronią i amunicją. A więc pomoc przyszła? Tak, ale za późno i za mało - głównie dla uspokojenia zachodnich aliantów. Z kolei, najcięższa walka toczyła się teraz na Czerniakowie, walka o utrzymanie przyczółka na brzegach Wisły.

Mój pobyt na południu miał się ku końcowi. Ranni z "Koszty" znaleźli przydział do właściwych szpitali akackich w rejonie. Przynajmniej część ich, jeśli nie wszyscy (?), została przeniesiona do szpitala na ul. Sniadeckich 17. Był to jeden z najlepiej usytuowanych szpitali w tej dzielnicy. Budynek był duży, dawnej szkoły, zarekwirowany przez Niemców na szpital polowy w czasie okupacji. Był więc dobrze wyposażony w sprzęt i wszystko potrzebne dla sprawnego prowadzenia szpitala, a poza tym, ulokowany w bezpiecznym miejscu. Był tak blisko linii frontowej, że Niemcy nie mogli zrzucić tam bomb bez ryzyka niszczenia własnych pozycji. Tak długo jak Powstańcy byli w stanie utrzymać swój teren, szpital był bezpieczny. 18 września przyszłam pożegnać swoich chłopców, z "Długim" włącznie, do szpitala na Sniadeckich. "Długi" przypominał mi chyba Jędrka, choć może był od niego o rok starszy. Miałam dla niego siostrzane uczucia. Pamiętam, że siedziałam na brzegu jego łóżka, opowiadałam o tym co widziałam na zewnątrz (tylko krzepiace wiadomości!) i o tym że oto miałam wrócić na "Koszty", gdy usłyszeliśmy warkot niezliczonej ilości samolotów przelatujących nad Warszawą. Wszyscy, z obsługi i kto mógł wstać z łóżka, wybiegliśmy na schodki przed budynkiem - co za widok!

Na tle prawie bezchmurnego nieba, leciały wysoko samoloty amerykańskie (odrazu można było poznać, że to nie Stukasy) w wielkiej formacji (110 Flying Fortresses i 148 myśliwców*), a pod nimi otwierały się spadochrony, jeden po drugim, nisząc nam wyczekiwaną pomoc! Najpierw nie byliśmy pewni czy to spadochroniarze czy zrzuty sprzętu wojennego spadały ku nam. Niebawem stało się jasne, że to nie byli skoczki. Nie mniej, entuzjazm nasz nie miał granic. Sciskaliśmy się i płakali z radości, wierząc przez moment, że nasza walka i ofiary nie poszły na marne! Nie byliśmy sami! To był niezapomniany widok i niezapomniane wzruszenie. Nawet potem, jak już było wiadomo, że większość zrzutów wpadła w ręce wroga i nalot flotyli amerykańskiej się nie powtórzy, to co widzieliśmy i przeżyliśmy 18 września pozostawiło niezatarte wrażenie. Tego samego dnia, a raczej w nocy, przeszłam Aleje Jerozolimskie do Śródmieścia Północ i wróciłam na kwaterę "Koszty".

*Według autora: Gunther Deschner, Warsaw rising, Ballantine Books, 1972, str.142; z tego samego źródła: zrzucano 1248 spadochronów ze sprzętem, 90% wpadło w ręce Niemców.

3/1/28

POWROT DO "KOSZTY"

Wróciłam na kwatery "Koszty", na Moniuszki i Sienkiewicza, jak do domu. Tu były moje kumy' "Isia" i "Maja", tu były znajome twarze powstańców i rtm."Nowina", czuwający nad wszystkim po ojcowsku. Przed nami były najsmutniejsze dni, ale również jeden z najpiękniejszych okresów w mojej młodości. Stworzyliśmy bardzo zżytą grupę, przeżywaliśmy razem złe i dobre chwile, staliśmy się prawie rodziną.

Zastałam parę nowych osób w "Koszczie". Por."Miś" (Janusz Zawodny), weteran ze Starówki, dołączył do kompanii jako zastępca rtm."Nowiny". Młody i energiczny, spędzał dużo czasu na pierwszej linii i rzadko widywało się go na kwaterze. Rtm."Nowina" kulał na jedną nogę - chodził z łaską - więc potrzebował fizycznie sprawnego pomocnika. Do Peżetek dołączyła "Sława" - młoda dziewczyna, o rok czy dwa młodsza ode mnie, cicha i chętna do spełniania wszystkich zadań. O ile pamiętam, była rodzimą warszawianką. Inne dziewczęta pewnie od początku służyły w "Koszczie", ale ich nie zapamiętałam z wcześniejszego okresu. A były to dwie łączniczki, "Mańka" i "Basia". "Mańka" miała tylko 16 lat, "Basia" była nieco starsza. Mniej zapamiętałam sanitariuszki, a chyba było ich przynajmniej dwie(?). Pewno kwaterowały w innej piwnicy niż my, więc mało się spotykałyśmy.

'Elegancka' gospoda Peżetek, jak również 'kulturalne' wieczorki należały do przeszłości. Dostawałyśmy jeszcze i rozdawałyśmy prasę powstańczą, głównie "Biuletyn Informacyjny", ale najważniejszym naszym zadaniem stało się zdobywanie żywności i przygotowywanie posiłków dla żołnierzy. Staraliśmy się wykonywać wszystkie obowiązki z uśmiechem i bez narzekania, aby choć w ten sposób podtrzymać dobrego ducha w oddziale. Na parterze, od strony ul. Sienkiewicza, znajdował się mały pokój, prawie nie uszkodzony, z wyjściem na podwórko. Tam miałyśmy kuchnię i 'spizarnię'. Piec kuchenny na drzewo albo zawsze tam był, albo został zainstalowany, gdy ja byłam 'za Alejami'. Oczywiście nie było już ani elektryczności, ani wody w naszym pomieszczeniu. Na podwórku, koło drzwi do kuchni, zbudowano z cegieł dodatkowy piecyk kuchenny nad otwartym ogniskiem i przy dobrej pogodzie, tam właśnie często gotowałyśmy wodę czy strawę dla 'chłopców z "Koszty"'. Przynajmniej opału nie brakowało - pełno leżało na ziemi futryn z drzwi czy okien, oraz roztrzaskanych mebli. Chłopcy, gdy mieli wolną chwilę, chętnie pomagali nam w zbieraniu opału, rozpalaniu ogniska i lubili kręcić się koło kuchni - zawsze głodni! Jeśli chodzi o żywność, to głównie polegałyśmy na dostawach jęczmienia z browaru Haberbuscha (tzw."kasza plujka"), czasem gotowałyśmy grochowkę, krupnik, lub smażyłyśmy placki z ciemnej mąki, bo miałyśmy zapas oleju rzepakowego. Zdaje się było jeszcze trochę cukru i może herbaty(?). Mięsa w ogóle się nie widziało - choć chłopcy żartowali, że istniały jeszcze koty w dzielnicy. O owocach i świeżych jarzynach można było tylko snuć czy marzyć! Czasem dostawałyśmy przydział sucharów ze zrzutów sowieckich.

"Isia" stała się naszą komendantką, ale rękę miała lekka i robiła wszystko z nami. "Maja" najczęściej donosiła posiłki na barykady, "Sława" i ja chodziłyśmy po wodę. Szczęśliwie, głęboko

3/11/39

w piwnicy znaliśmy rurę z której pomalutką ciekła woda - prawie kroplami. Tam więc przedzieraliśmy się przez gruzy z wiadrami i czekałyśmy cierpliwie, aż nasze pojemniki zapełniły się cenną wodą. Spałyśmy na wspólnej kwaterze w innej części piwnicy, od strony ul. Sienkiewicza, pod "kuchnią". Pomieszczenie to było nie zniszczone, ale oczywiście bez okien. W czasie okupacji na parterze ponad nami była restauracja Nür fur Deutsche, nazwana Silberne Rose. W 'naszej' piwnicy był skład papierów, mniejszych i większych arkuszy z napisem Silberne Rose, porozkładanych na półkach. Na tych to półkach i papierach, zrobiliśmy sobie 'łóżka'. "Sława" i ja spałyśmy na wyższej półce, "Isia" i "Maja" pod nami. Dalej spały łączniczki (z jednym chłopcem każda!), a w głębi dużego pomieszczenia chłopaki z "Koszty". Dowódctwo, sanitariuszki i reszta chłopaków widocznie zajmowali inne piwniczne pomieszczenia. "Isia" dbała o to żeby Peżetki trzymały się razem i zachowywały 'skromnie', ale wieczorami, ponieważ świeczek było mało, kładłyśmy się wcześniej i nieraz brałyśmy udział w ogólnych rozmowach i śmiechach zgromadzonej braci.

Rano wstawaliśmy wcześniej aby przygotować śniadanie - "kaszę plujkę". Chłopcy ustawiali się w kolejce po swoją porcję, trzymając własną miseczkę czy garnuszek, co tam który miał. Oni też byli odpowiedzialni za umycie własnych naczyń. My czyszciliśmy garnki. Wody było mało, ale piasek, a raczej ziemia z podwórka, służyły do skrobania garnków - przypominały mi się obozy harcerskie z przed wojny. Podobna procedura była przy 'obiedzie' i 'kolacji'. Niektórzy chłopcy byli bardziej głodni niż inni. Pamiętam szczególnie "Radwana", który często sterczał przy kuchni do końca rozdawania posiłków, w nadziei, że będzie repeta. Czasem miał szczęście. (Później, już we Włoszech, dostałam od niego list z wzruszającym wyznaniem, że na zawsze zapamięta moje oczy i łyżkę, która rozlewała mi zupę!)

Pogoda się psuła. Co raz częściej chmury, deszcz i zimno. Ponuro na zewnątrz i coraz smutniej na wewnątrz. Ale były też miłe i kojące chwile. Pamiętam na przykład, jeden taki wieczór, Peżetki zgromadziły się koło piecyka na podwórzu, żeby zagotować wodę na prawdziwą czy ersatz herbatę. Chłopcy podkładali kawałki drzewa na ognisko. Deszczyk mżył. I wtedy nadszedł "Pianista" z cymbałkami, które gdzieś zdobył (fortepian dawno został pogrzebany w gruzach). Zaczęliśmy śpiewać akackie piosenki do akompaniamentu cymbałków. A już szczególnie zapamiętałam jedną piosenkę: "Deszcz, jesienny deszcz, cicho sobie łka ...", a chociaż ta piosenka, o ile wiem, powstała w Szkocji, tak pasowała do naszej rzeczywistości, że do dziś dnia, ile razy ją słyszę, przypominam sobie z łezką w oku ten wieczorek na podwórku "Koszty".

A przyszłość wyglądała coraz gorzej. Powstańcy walczyli we wszystkich dzielnicach, jeszcze w polskich rękach będących, a najzaciętsza obrona była na Czerniakowie. 23 września Czerniaków upadł, a z nim nadzieja na utrzymanie przyczółka na Wiśle. Mokotów skapitulował 27 września, Żoliborz 30 września. My, zwykli żołnierze, nie wiedzieliśmy, że wszczęto już rozmowy kapitulacyjne pomiędzy dowódctwem A.K. i Niemcami. Myśleliśmy, że każdą dzielnicę czekał los Starówki, a że nie było już gdzie się ewakuować, koniec oznaczał śmierć. Jak narazie Śródmieście Północ utrzymało swój teren, ale brak amunicji i żywności dawał się już we znaki i ofiar walki

11/30

było coraz więcej. Także w kompanii "Koszta". Pamiętam pare wypadków. Na przykład, "Jur" został ciężko ranny na otwartej przestrzeni na Nowym Świecie. Jedna z sanitariuszek czołgała się do niego aby go opatrzyć, albo nawet przeciągnąć do bezpiecznego miejsca. Niemcy ją zabili celnymi strzałami. "Jur" leżał, żywy, przez jakiś jeszcze czas, ale i jego w końcu dobiły kule wroga. Byliśmy wszyscy bardzo wstrząśnięci słysząc relacje z tego zdarzenia. Takich śmierci było więcej. Jeden z naszych chłopców, "Kruk", załamał się w końcu. Słyszałam, że był dzielnym żołnierzem AK w czasie okupacji, należąc do KEDYW-u, a i w czasie Powstania nie brakło mu brawury. Teraz jednak wolał zostawać na kwaterze, gdy chłopcy szli na pierwszą linię. Długo to nie trwało, bo jednego dnia, gdy poszedł się ogolic wśród ruin, (widocznie zdobył cenną wodę), wybuch bomby w okolicy spowodował duży wstrząs i spadła cegła z muru, zabijając "Kruka" na miejscu. Czy miał przeczucie śmierci i dlatego się załamał?

Kpt. "Ina" i Kpt. "Zofka" nie zapomniały o nas. Przyszły kiedyś na naszą kwaterę i zażądały żebyśmy im oddały (chwilowo) nasze legitymacje A.K. Pare dni później wróciły, oddając nam legitymacje, tym razem z wpisanymi 'oficjalnymi' stopniami wojskowymi. Na odwrocie mojej legitymacji, znalazłam druczek:

Szef Sztabu Obszaru A.K.

[podpis]

WID, plk. dypl.

Awans dn. 24.9.1944 do stopnia Młodszej Komendantki

/Podporucznika/

oraz okrągłą pieczęć z orzełkiem, "Komenda Obszaru Armii Krajowej m. st. Warszawa". I drugą pieczęć (nieczytelną) na druczku:

Szef. Wydz. III

Kania, kpt.

A oprócz legitymacji, dano mi zaświadczenie, z Dowództwa Armii Krajowej, Szef. W.S.K. Lp. ~~nr~~: "Niniejszym stwierdzam, że w myśl rozkazu Dowódcy Armii Krajowej Nr.871/I z dn. 23.IX.1944 Szef Sztabu K.G. awansował rozk. z dn. 24.IX.44 r. ochotn. Katrina Nr. leg. A.K. 120419 z Oddz. VI. P.Ż. do stopnia młodszej komendantki-podporucznika", podpisała: "Mira, Szef. W.S.K. K.G."; i okrągłą pieczęć: "Dowództwo Armii Krajowej, Oddział I."

Ucieszyłam się, że oddano mi legitymację, trochę zdziwiłam się ale i wzruszyłam awansem i nie miałam pojęcia, że nasza 'wojskowość' musiała być precyzyjnie ustalona, wobec pertraktacji o kapitulację. Dziś jestem pewna, że nasze komendantki P.Ż. wiedziały już co nas czeka i zrobiły wszystko w ich mocy by ułatwić nam przeżycie następnych miesięcy.

Dziwililiśmy się, gdy pod koniec września natarcia na nasze odcinki zelzały i więcej było godzin spokojnych niż dawniej. A to jak się później dowiedzieliśmy, wiązało się z pertraktacjami, z zawieszeniem broni by ułatwić ewakuację ludności cywilnej i podobnymi sprawami, o których mało wiedzieliśmy. Ludność cywilna Warszawy, mało jeszcze korzystała z możliwości wyjścia z miasta, bo ludzie nie dowierzali obietnicom Niemców. W chwilach spokojnych,

3/11/31

powstańcy próbowali odnaleźć swoich bliskich, albo przynajmniej dowiedzieć się czegoś o ich losie. Niektórzy już nawiązali kontakt z rodziną, często za pomocą poczty powstańczej, która działała w śródmieściu od prawie początku Powstania, zorganizowana przez młodzież harcerską. Pamiętam, że nawet wypuszczono serie znaczków powstańczych - niestety nie przechowałam żadnego. Inni nie mogli korzystać z poczty bo rodziny ich zostały w zajętych już przez Niemców dzielnicach. Zawsze jednak była szansa, że przeszli do śródmieścia lub ktoś kto ich znalazł uciekł przed Niemcami. Dlatego coraz większe grupy zatrzymywały się przed ścianami domów (lub ruin) gdzie w miejscach publicznych wywieszano liczne karteluszeki z informacją o ludziach lub z zapytaniami o los innych. Widziałam osoby zdruzgotane złemi wiadomościami i wielu innych obawiających się najgorszego. Wtedy to dziękowałam Bogu, że nikt z mojej najbliższej rodziny nie był w Warszawie. Nie wiedziałam co się z nimi stało po wkroczeniu Czerwonej Armii i objęciu rządów przez komunistów w województwie lubelskim, ale nie potrafiłam sobie wyobrazić gorszych warunków przetrwania niż te, które dotknęły nas w walczącej stolicy. Po tym co zobaczyłam w piwnicach na Wspólnej, byłam też wdzięczna Opatrzności, że Babisia już nie żyła.

Smutnie kończyło się nasze upojenie wolnością. Jeszcze byliśmy na terenach utrzymanych przez powstańców, ale spodziewaliśmy się już klęski. Gotowi zresztą byliśmy wytrwać na stanowiskach do ostatniej chwili, a potem - chyba śmierć? Były momenty wznowionej nadziei, gdy słyszeliśmy sowiecką artylerię z za Wisły, celującą w niemieckie pozycje, lub gdy ktoś zobaczył bitwę powietrzną nad naszym miastem. Ale nadzieja była krótko trwała. Pamiętam, że w ostatnich dniach września, dowiedziałam się od chłopców, że można się było wdrapać na dach budynku PKO i spojrzeć stamtąd na całe palące się miasto i dalszą okolicę. Moim, może ostatnim 'przedśmiertnym', marzeniem, było dostać się na dach PKO i raz jeszcze zobaczyć polskie pola ... Ale nie udało mi się tego dokonać w czasie Powstania. Zobaczyłam pola potem ...

Nasz cudowny sierpień wydawał się tak daleki! Trudno było teraz uwierzyć, że życie na skrawku wyswobodzonej Warszawy wydawało się takie 'normalne', że my Peżetki szkoliliśmy się do służby na zachodnim froncie, że wypłacano nam żołnierski żołd! Zachowałam 50 złotych z pierwszej wypłaty z pieczęcią "A.K. - 'Reguła' Pierwszy żołd powstańczy. SIERPIEN 1944 R." (Nie było okazji wydać pieniędzy!). Ale nawet w smutnych chwilach, koleżeńskie stosunki panujące w "Koszczie" umilały życie. Nie byłam nigdy sama. Pamiętam, że młody chłopaczek - 10-11 lat mający - przyłączył się do "Koszty" we wrześniu i był taki dumny gdy go chłopcy 'umundurowali', z hełmem włącznie, i pozwolili dzierżyć broń do fotografii. (Wydaje mi się, że rozpoznałam tę fotografię w jednym albumie otrzymanym po wojnie, ale dziś już nie jestem pewną, która to była fotografia?) Nieraz sobie myślałam, co się z tym chłopaczkiem stało? Za młody był by wyjść z wojskiem z Warszawy, więc musiał wyjść z ludnością cywilną, a potem?...

Wiadomość o kapitulacji, spadła na nas jak grom z nieba. Może starsi i rozsądniejsi, tacy jak "Isia", spodziewali się takiego konca - jeśli tak, to trzymali język za zębami. O ile pamiętam, powiedziano nam o kapitulacji już wierzorem 2-go października.

Ktoś musiał mieć chodzący i kontakty z najwyższym dowództwem, bo kapitulacja została podpisana ^{Po} w nocy tegoż dnia. W każdym razie, nawet jeśli otrzymaliśmy tę wiadomość następnego dnia, wrażenie było nader przygnębiające. Niebawem, podano szczegóły do naszej wiadomości. A to przede wszystkim, że żołnierze A.K. zostali uznani przez Niemców jako kombatanci - wcześniej, każdy schwytyany powstaniec był traktowany jako bandyta i najczęściej z miejsca stracony. Według podpisanej umowy, powstańcy mieli złożyć broń w określonych miejscach i opuścić miasto jako jeńcy wojenni 4-go i 5-go października. Kobiety-żołnierze miały również kombatanckie prawa, ale mogły wybrać - pójść do niewoli lub ewakuować się z ludnością cywilną. Cała ludność cywilna miasta stołecznego, po naszej stronie Wisły, miała również opuścić Warszawę w najbliższym czasie. Żołnierze-jeńcy będą kierowani do Ożarowa, a cywile do Pruszkowa, skąd zostaną rozesłani dalej - jeńcy do obozów jenieckich w Rzeszy, cywile do obozów pracy, obozów koncentracyjnych, czy 'na wolność', jak się później okazało. W Warszawie, po odejściu Armii Krajowej, miała pozostać tylko jedna kompania z Batalionu "Kilński", na dopilnowanie 'zagwarantowanej' ewakuacji ludności cywilnej. Potem i ta kompania pójdzie do niewoli. Dopiero teraz, po ogólnej kapitulacji, dowiedzieliśmy się, że Mokotów i Żoliborz poddały się na podobnych warunkach.

Smutno się zrobiło na kwaterze "Koszty". Byliśmy przygnębieni i zaszokowani, że taki czekał nas koniec. Smutno, bo nasze wszystkie nadzieje i wysiłki szczyły na niczym; smutno, bo czekała nas nieznana przyszłość; i smutno, bo nadchodził czas rozstania! Wieczorem, 3-go października, urządziliśmy "uczpę" pożegnalną. Peżetki wyciągnęły zapasy, które jeszcze miały, chłopcy sięgnęli do 'prywatnych' zasobów - zdaje się było nawet parę puszek z rybą czy mięsem(!) - ktoś dostarczył parę butelek wina, zbudowaliśmy prymitywny, ale długi stół w naszym pomieszczeniu piwnicznym, no i zasiedliśmy do wieczerzy. Wyniosłam trzy wspomnienia z ostatniego wieczoru w "Koszczie". 1/ Staraliśmy się utrzymać fason, choć nikomu nie było do śmiechu; 2/ każdy z nas otrzymał zegarek;* 3/ i obiecaliśmy sobie, że się znów spotkamy - na ruinach Moniuszki 11, w pierwszą niedzielę drugiego miesiąca po zakończeniu wojny! (A więc optymisty do końca!)

Następnego dnia, a może zaraz po wieczerzy, my Peżetki pożegnałyśmy powstańców z "Koszty"; nie zostałyśmy do ich wyjścia z Warszawy, bo uczepiłyśmy się ostatniej szansy pozostania w Polsce - przenieśliśmy się do Kompanii Sanitarnej.

OSTATNIE DNI W WARSZAWIE, 4-9 października, 1944

Zupełnie nie pamiętam kto i jak załatwił nasze przenosiny do Kompanii Sanitarnej. Sądze, że "Isia" i "Maja" wykorzystały swoje znajomości, a może i kpt. "Ina" czy kpt. "Zofka" miały z tym coś wspólnego? "Sława" i ja przyjełyśmy ich plan. Mam dwa dokumenty dotyczące tej zmiany służby, przynajmniej częściowo

Wtedy nie wiedziałam skąd się zegarki wzięły. Kilka lat temu przeczytałam w artykule napisanym przez Janusza Zawodnego (por. "Misia"), pt. Raport Dowódcy Plutonu A.K...., 1969, że zegraki dał kompanii pan Modro, który miał sklep jubilerski nad kwaterami "Koszty", na rogu Moniuszki i Marszałkowskiej. Zrobił to chyba wtedy jak ja byłam za Alejami. Podczas naszej ostatniej kolacji, słano widocznie zegarki tym, którzy ich jeszcze nie dostali wcześniej. ("Mis" odmówił przyjęcia zegarka, gdy mu dawano, bo miał własny zegarek).

1/1/33

fikcyjnej. Otoż, na mojej legitymacji, zapisano odręcznie:
 Przydzielona do Komp.
 San. Lek. Nacz.
 Obwod I 29/9/44

(Okragła pieczęć,
 nieczytelna)

A potem dostałam zaświadczenie, w języku polskim i niemieckim, że 2.10.1944, Anna Żylicz, urodzona 22.12.1925 (pomylili dzień!), nr. 2056, została przyjęta jako sanitariuszka, na punkcie ~~XXXXXXXXXX~~ Widok 10 przez Polski Czerwony Krzyż, Zarząd Główny. Druczek jest tak zatarty (od początku), że trudno odczytać całość. O ile się domyślam, z paru wyraźniejszych słów, zaświadczenie to miało być ważne do 31 grudnia 1944 roku.

Całość chyba wyglądała następująco: data 29 września jest fikcyjna, bo wtedy napewno byłam jeszcze na kwaterach "Koszty". Chodziło może o to, aby "przenosiny" miały miejsce przed kapitulacją, żeby Niemcy nie kwestionowali następnego kroku, czyli "rozpoczęcia" pracy w cywilnym Czerwonym Krzyżu, od 2 października. Tak czy inaczej, najpóźniej 4 października znalazłyśmy się na nowej placówce. Wysłano nas odrazu do ewakuowania cywilnych szpitali w śródmieściu na "z góry ustalone pozycje", czyli punkty miasta, skąd chorzy mieli być wywiezieni do Pruszkowa. Pamiętam dzwiganie noszy poprzez pagórki gruzów, pamiętam zmęczone i smutne oczy chorych, wielu ludzi starych, wychudzonych, cichych... Niektorzy byli ciężko ranni, inni bardzo chorzy. Ciężka i smutna to była praca, ale konieczna - ktoś musiał chorych poprzemienić, bo nie pozwolono im zostać w Warszawie. Ewakuacja szpitali trwała pare dni, a może kilka(?).

Chociaż przyjęte zostałyśmy przez Czerwony Krzyż, miałyśmy jeszcze ciągle prawo i możliwość, powrotu do Armii Krajowej i opuszczenia Warszawy z wojskiem. Możliwe, że z samego początku, istniała pewna możliwość przyłączenia się do szpitali i ewakuowania nas z personelem szpitalnym. Ale z tego planu nic nie wyszło. Trzeba się było teraz decydować - iść z ludnością cywilną, czy z wojskiem do niewoli? Ostatnia kompania z ~~XXXXXXXXXX~~ Batalionu "Kiliński" miała wyjść z Warszawy 9-go października, można się było do niej dołączyć.

Na naszej kwaterze, pewno w kamienicy na Widok 10 (?), rozmawiałyśmy do późna w nocy, starając się zdecydować co dalej robić. Wydaje mi się, że przychodził do nas, raz czy dwa, rtm. "Nowina", który jako 'kaleka' chciał zaryzykować wyjście z cywilami, a może nawet z cywilnymi szpitalami.* Czy "Mańka" i "Basia" były też z nami? Czasem tak mi się wydaje. "Isia" i "Maja" chyliły się na stronę zaryzykowania opuszczenia Warszawy z ludnością cywilną. Ja szamotałam się ze sobą jak jeszcze nigdy w życiu. Nie chciałam opuścić kraju - nigdy nie chciałam - ale jednocześnie, wtedy więcej niż kiedykolwiek, wspominałam ostrzeżenia Tatusia, gdy wyjeżdżałam z Dąbia, że młoda dziewczyna musiała się strzec Niemców - sama i bezbronna mogła być wysłana jako królik doświadczalny do obozu koncentracyjnego, albo jeszcze gorzej - do domów publicznych dla Wehrmachtu czy S.S., a w najlepszym razie na przymusowe roboty

Wiem, że udało mu się wyjść z Warszawy i przeżyć okres stalinowski; w 1959r. wyszłam, że żył spokojnie w Otwocku.

11/34

do Rzeszy. Choć schudłam w czasie Powstania, byłam nadal młoda, zdrowa i silna, jakie więc były szanse, że wypuszczą mnie na wolność w Pruszkowie? Po prostu, bałam się zetknięcia z Niemcami sama i bezbronna. Po długich wahaniach i wielu dyskusjach z życzliwymi osobami, zdecydowałam się wrócić do wojska. Wydawało mi się, prawdopodobnie słusznie, że bezpieczniej było pozostać w grupie. Natomiast "Isia" i "Maja" postanowiły wyjść z ludnością cywilną.* "Sława" postanowiła zostać ze mną. Ostatnia grupa cywilów ewakuowała się przed 9 października, tak że "Sława" i ja zostałyśmy same na kwaterze przez następnych parę dni.

Szykowałyśmy się do opuszczenia Warszawy i na spotkanie "nieznanego". Wcześniej, wzięłam z kwatery na "Koszczie" parę małych notesików i bloczków z napisem Silberne Rose - papier przez całą wojnę był 'na waga złota', więc teraz nie mogłam się powstrzymać, żeby ^{nie}zaopatrzyć się w 'materiały pismienne', a może się przydadzą? (I przydały!). Najgorzej jednak było z naszym ubraniem - brak zmiany bielizny, brak ciepłej odzieży, rozpadające się obuwie ... Ktos nam powiedział, że w pobliżu był zakład z ubraniem, Braci Jabłkowskich, prawie nie dotknięty bombami. Ponieważ wszystkie stojące budynki Niemcy już zaczęli systematycznie palić i rozwalac, sklep B-ci Jabłkowskich nie uchowa się zbyt długo; czemu nie pójść tam i zaopatrzyć się w tak potrzebne ubrania? Trochę się ociągając, poszłyśmy. Już znalazłam zmianę bielizny i wybrałam jeden sweterek, gdy nagle zobaczyłam Niemca w dalekim końcu sklepu, robiącego właśnie to samo co my - szabrującego! Uciekłyśmy co tchu, ale ze zdobyczą pod pachą. Niebawem spotkałyśmy sympatycznego kapitana z Batalionu "Kiliński", który nam powiedział, że jego własne, nieuszkodzone mieszkanie było w pobliżu, a ponieważ już zabrał co potrzebował i ile mógł udźwignąć dla siebie samego, chciałby żebyśmy poszły do mieszkania i zabrały co nam potrzebne. Ta propozycja była "niekazitelna" i chętnie skorzystałyśmy z dobroci kapitana; ^{prawie}zrobiliśmy jak doradzał. Nieraz potem myślałam z wdzięcznością o ^{nie}znajomym 'dobrym człowieku' - znalazłam w jego mieszkaniu wygodne pół-buty (moje sandały, przyniesione z Żoliborza, już się rozpadały), ciepły koc, nóż-widelec-łyżkę-tyżeczkę (komplet), rozmaite drobiazgi (pewno kubek i miseczkę?), oraz książkę, bo chyba to tam ją znalazłam (?). Chciałam mieć coś do czytania, na czarną godzinę, więc wzięłam dwa tomy Chłopów Reymonta - książka ta wędrowała ze mną po świecie przez długie lata.** Wszystko wpakowałam do plecaka (bo plecak też gdzieś zdobyłam?), koc po harcersku przyczepiłam do plecaka i przekonałam się, że mój bagaż nie był zbyt ciężki.

Z drobiazgów osobistych, miałam granatową torebkę (od Babisi) w której trzymałam Kennkarte, kilka fotografii rodzinnych i z Góry, papierki z Chyliczek, różaniec (ten od Babisi z Rzymu), grzebien do włosów itp. Wszystkie dokumenty i 'skarby' powstańcze (legitymację A.K., 50 zł żołdu A.K., jeden Biuletyn Informacyjny, itd)

*Spotkałam "Isię" w 1959 r. w Warszawie. Powiedziała mi, że nieraz żałowała, że nie wyszła z wojskiem - wtedy jak ją wywozili do Niemiec (uciekła z transportu), wtedy jak ją zamknęli w więzieniu w Krakowie, gdzie siedziała do przyjscia wybawicieli ze Wschodu. Potem nekali ją Komuniści, aż urodziła bliźniaków! (Wyszła za męża za Akowca, po wojnie.)

**Staszek zabrał tę książkę do czytania na "Batorym" jak płynął do Polski w 1964 r. Chłopi wrócili do kraju i już nie powrócili do Kanady!

7/11/35

wsunęłam pomiędzy podszewkę marminej skórzanej kurtki i zewnętrzną skórę. Zszyłam dokładnie (nici i igły też pewno znalazłam w mieszkaniu dobrego kapitana), na głowę wsadziłam nowo darowaną mi furażerkę - żeby bardziej po wojskowemu wyglądać - i gotowa byłam do wymarszu, wyznaczonego na 9 października.

W tych przedziwnych i tragicznych okolicznościach, mogło by się wydawać, że nic radosnego i pozytywnego nie pozostało do wyniesienia z Warszawy. A jednak tak nie było. Poza smutnymi doświadczeniami, zapamiętałam wiele cudownych chwil i odczuć, a przede wszystkim dumę, że ja też brałam udział w Powstaniu Warszawskim i uczucie, że robiłam co mogłam, aby dobrze wywiązać się ze służby w P.Ż. . Pare lat temu chodziłam po dawnych tropach z byłym żołnierzem Batalionu "Kiliński" i w pewnym momencie zapytałam go czy, gdyby znów był młody, ale wiedział wszystko o sytuacji i szansach naszego zrywu, czy wziął by udział w walce? Powiedział że tak. Ja też tak czułam. W sumie, "dobre" przeważało "złe" w mojej pamięci. Nie można było zapomnieć, no i nie zapomniałam, piękna i prostoty naszej wspólnej idei, wspólnych dążeń, koleżeństwa i bezinteresownego poświęcenia sprawie, które były moim udziałem przez 63 dni mojej młodości.



ZA KOLCZASTYMI DRUTAMI

1/1/36

9 października 1944 - szary i deszczowy dzień, w który wyszłam z Warszawy. Stawiliśmy się o wyznaczonej godzinie i na wyznaczonym miejscu, gdzie dołączyliśmy do kompanii "Kilińskiego", tej co ostatnia wychodziła z miasta. Było nas około 300 żołnierzy, w tym chyba ze 40-50 kobiet. Ustawiliśmy się czwórkami, uzbrojeni Niemcy pilnowali ze wszystkich stron. Pamiętam, że większość kobiet miała na sobie granatowe mundury pocztowców, niektóre były w beretach, inne nosiły furażerki, a wszystkie niosły torby czy plecaki ze wszystkim co w danej sytuacji posiadały na świecie. "Sława" i ja znalazłyśmy miejsca na tyle kolumny, chyba w przedostatniej czwórce. Istnieje fotografia w jednym z wczesnych albumów z Powstania, pokazująca dziewczęta opuszczające Warszawę w drodze do niewoli. Jestem prawie pewna, że to była nasza grupa i że nawet znalazłam czubek swojej głowy w przedostatnim rzędzie, ale plecak tej która szła z przodu, zasłonił poł twarży i trudno zrobić pozytywną identyfikację! (Przyglądałyśmy się z Mamusia tej fotografii w 1968 r. bardzo dokładnie - nie pewne do końca*), Tak czy inaczej, ta fotografia pomogła mi przypomnieć sobie nasz wymarsz.

Szliśmy pustymi ulicami, przez wymarłe miasto. Nie było już ludzi, tylko nasza kolumna i niemiecka warta. Domy rozwalone, wypalone, niektóre przecięte na pół - widac było czasem meble i obrazy na wewnętrznych ścianach, jak w makabrycznych domach dla lalek ... Na jednym balkonie wisiał przez poręcz czarny, spalony trup. Makabra. Potem znaleźliśmy się w dzielnicy trochę mniej zniszczonej. Przeszliśmy ulicą Sniadeckich koło dawnego szpitala na Sniadeckich 17. Wreszcie wyszliśmy z miasta, za nami zostały zgliszcza i unoszące się dymy.

I nagle zobaczyliśmy domki podmiejskie, zwyczajne domki w ogrodach. A za nimi pola, te polskie pola, które tak bardzo pragnęłam zobaczyć z dachu budynku PKO! Przechodziliśmy przez jakieś osiedla i pamiętam, że ludzie ustawiali się wzdłuż szosy i starali się nam podać coś do jedzenia - jabłka, chleb - może nawet i ja coś dostałam? Później nieraz się zastanawiałam, dlaczego nie spróbowałam uciec z kolumny? Byłam prawie na jej końcu, ludziska wchodzili w nasze szeregi. Można było zdjąć białą-czerwoną opaskę i furażerkę, spróbować zmieszać się z tłumem ... A szłam jak wszyscy inni, jak owca na rzeź. Niedaleko był przecież Milanówek. Wydaje mi się, że poprostu byliśmy w zbyt dużym szoku, by reagować szybko, a może tak przyzwyczailiśmy się do "mentalności zbiorowej", że zatraciliśmy indywidualną inicjatywę? Zresztą, Niemcy byli naokoło i chyba zbyt dobrze nas strzegli, żeby się dało prysnąć. Więc szliśmy dalej, milczący, smutni, ale z głową do góry - patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem.

W Ożarowie pierwszy raz znalazłam się za drutami. Wpędzono nas na dziedziniec fabryki, a potem rozdzielono grupę do różnych

*Warszawa, Stolica Polski, album wydany przez Wielkopolskie Zakłady Graficzne w Poznaniu (rok ?), podarunek od Tadeuszów Hoły w 1965 r., str.93.

3/11/37

wielkich hall fabrycznych. Pamiętam tylko, że spałyśmy pokotem na podłodze, może wyscielonej słomą (?), ciasno jedna przy drugiej. Tu, nas wszystkie oblażyły pchły i wszy. Byłyśmy brudne, głodne i bardzo zmęczone. Zatrzymano nas tam prawdopodobnie przez pare dni.

Nadszedł czas wyjazdu. Poprowadzili nas do torów kolejowych, na których już czekały wagony bydłące. Wszystkie kobiety zostały załadowane do jednego wagonu, a że Niemcy uznali, że za dużo miałyśmy miejsca, dodali nam około tuzina mężczyzn. Razem musiało nas być 50-60 osób w tym wagonie. W środku zastałyśmy kubel do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Na drogę wydano każdemu sporą porcję chleba i jedną cebulę. Potem Niemcy zatrzasnęli drzwi od wagonu i zaryglowali od zewnątrz. Niebawem pociąg ruszył.

Zorganizowaliśmy się wewnątrz jak się dało najlepiej. Mężczyźni w jednym kącie, kobiety zajęły resztę miejsca. Było tak ciasno, że jak się próbowałyśmy ułożyć na noc, musiałyśmy leżeć na boku i przewracać się zgodnie, wszystkie na raz, gdy to było konieczne. Małe, zakratowane okienka były bez szkła, oczywiście, więc nocami było zimno, ale przynajmniej mieliśmy trochę świeżego powietrza. "Natura" nie dała czekać, więc trzeba było używać kubła na środku wagonu. Gdy kolejka przyszła na którąś z nas, kobiety robiły żywy parawan. To samo było z mężczyznami. W ten sposób zachowaliśmy pewien stopień "przyzwoitości". Pociąg się nie spieszył. Czasem czekaliśmy na bocznych torach przez dłuższy czas. Kiedyś, Niemcy zatrzymali transport na środku pola, otworzyli drzwi i kazali nam załatwiać się pod gołym niebem. Otoczeni byliśmy uzbrojonymi członkami Wehrmachtu. Ale człowiek już pozbył się 'fałszywego wstydu' i zrobiliśmy co musieliśmy. Nie mniej, takiego upokorzenia trudno było zapomnieć... Na którejś stacji, wydaje mi się że w Poznaniu, jedna z dziewcząt nasikała do małej puszkki i gdy nasz pociąg już ruszył, wylała zawartość na stojącego na peronie Niemca. Nie wiem ile do niego doleciało, ale miałyśmy satysfakcję!

Najprzyjemniejszym doświadczeniem w naszej podróży było zajadanie chleba z cebulą. Zwłaszcza ta cebula smakowała jak najwymyślniejszy owoc. Dziwiłam się w myślach, dlaczego nigdy dawniej nie poznałam się na cebuli - i to na surowej cebuli! Przecież to był taki przysmak. Przypuszczam, że popijałyśmy strawę zwykłą wodą, choć zypełnie tego nie pamiętam. W dzień, siedziałyśmy na podłodze z podwiniętymi nogami, żeby trochę miejsca zostawić na przejście, czasem prostowałyśmy kosci w pozycji stojącej. Miejsce koło okna było rarytasem, bo i powietrze lepsze i można było zerknąć na zewnątrz. Cała podróż trwała ze trzy dni. Smutno i cicho się zrobiło w naszym wagonie gdy zdaliśmy sobie sprawę, że wjechalismy do Rzeszy. Pamiętam stacje Cottbus. A potem, w Saksonii, pomiędzy Lipskiem i Dreznem - jak na czubku odwróconego trójkąta - wysadzono nas na bocznej stacji i popędzono do obozu jenieckiego, Stalag IV B, w Mülberg.

Mülberg był rozległym, międzynarodowym obozem dla jeńców. Tutaj była pierwsza rewizja. Przetrzęsano wszystkie nasze manatki i konfiskowano zakazane rzeczy. Na szczęście, moje 'zakazane' szpargałki, były dobrze ukryte w kurtce. Do kieszeni zaglądali, ale nie pod podszewkę. Tego co miałam w torebce, nie zabrali, tylko moją Kennkarte i pieniądze - na przechowanie! Dostałam, za to, dwa swistki papieru-dokumentów i żelazny medalion.

A więc, dostałam mały bilecik, jak poniżej:

Stalg IV B Nr.298438

Name..Zylicz

Vorname..Anna

Polen Leutnant

A drugie zaświadczenie dotyczyło pieniędzy (widocznie przed opuszczeniem Warszawy wypłacono nam zold?):

STALAG IV B

10978

Dem Kriegsgefangenen Nr. 298438/IV/B

Name: Zylicz, Anna

ist heute abgenommen worden:

6520 - Zloty

Der Abnehmende:

Datum:

Name: [nieczytelny podpis]

16.10.44

Dienstgrad: [nieczytelne]

Żelazny medalion miał cztery dziurki dla przewleczenia sznurka, żeby nosić to na szyi, i wyryte: Stalag IV B, 298438, czyli moj numer. Bo od tego czasu, stałam się numerem. Data na dokumencie powyżej, pokazuje, że w Mülbergu byłam tydzień po wyjściu z Warszawy.

Po przejściu przez "komitet powitalny", czyli tych co nas rewidowali i zaopatrzyli w numery, mężczyźni i kobiety byli rozdzieleni, każda grupa wysłana do innej części obozu. Pamiętam, że skierowano nas do baraków z piętrowymi pryczami. "Sława" i ja wylądowałyśmy na górnej pryczy. Warunki były prymitywne, ale lepsze niż w wagonie bydłowym. Chyba zostałyśmy w Mülbergu nie dłużej jak dwa dni(?). Napewno byliśmy tam 17-go października, bo zachowałam mały notesik, z kartkami zapisanymi właśnie tej daty przez jeńców wojennych różnych narodowości. Oboz, jak już wspomniałam, był olbrzymi i "międzynarodowy", w znaczeniu, że jeńcy wojenni wielu narodowości byli tam trzymani. Jak się dowiedzieli, że przybyliśmy do obozu - baby przyjechały! - wysłali ilu mogli delegatów żeby nas powitać i choć spojrzeć na kobiety. Przyniesli też dary, cudowne czekolady i inne łakocie z paczek Czerwonego Krzyża, którymi chętnie się z nami podzielili, a jeńcy z 39 roku pocieszali, że najgorsze to są pierwsze pięć lat niewoli. Potem można się przyzwyczaić, zresztą już było widać koniec! Ponieważ inne dziewczęta poprosiły miłych gości o podpisy, ja również wyciągnęłam swój notesik i nazbierałam 13 'zapisków: 1 od Szweda, 1 od Amerykanina, 1 od Południo-Afrykańczyka, 1 od Kanadyjczyka, dwa od Jugosłowian, 7 od Polaków-jeńców. Przykłady następujące: "Na pamiątkę niewoli", "Na pamiątkę dzielnej Hanulce", "Here's hoping for a short stay in Germany - Jack Meyers, Winnipeg, Canada"; inni obcokrajowcy podawali tylko swój adres domowy, itd, itp., podpis i data: 17.10.44.

1/1/39

Stalag IV B Nr. 298438
 Name Zylicz
 Vorname Anna
Polin Leinwand

Stalag IV B

10978 *

Dem Kriegsgelungenen Nr.

298438/IV B

Name:

Zylicz, Anna

ist heute abgenommen worden:

6520 - Glas

Der Abnehmende:

Datum:

16. 10. 39

Name:

Zylicz

Dienstgrad:

Offizier

- 1) 1. Blatt als Quittung f. d. Kr. Gef. 2. Blatt als Fahne an den abgenommenen Gegenstand
- 2. Blatt m. abgenommenem Gegenstand und 3. Blatt an A. O. Kr. Gef.
- 2) 2. Blatt mit abgenommenem Gegenstand an Verwaltung. 3. Blatt zu den A. O. Akten.

K. Lechner, Nürnberg (1934)

oczywiście czekolada i każdy kęs do zjedzenia przyjęliśmy z wielką wdzięcznością i spałaszowaliśmy na miejscu. Głód nam doskwierał cały czas, od szeregu tygodni... Ale nie tylko jedzenie się liczyło. Było nam miło, że jeńcy-weterani okazali nam tyle serdeczności i traktowali nas jak prawdziwe towarzyszki broni.

ZEITHAIN

Z Mühlbergu popędzili nas, na piechotę, do pobliskiego obozu,wanego Zeithain, który był filią Stalagu Nr IV B. Szliśmy wzdłuż nie kończących się drutów kolczastych, oddzielających różne sekcje obozu i trzymających w niewoli niezliczone ilości jeńców. Widzieliśmy rzędy niskich baraków - jak daleko okiem sięgnąć, i nieraz jeńców popoglądających na naszą kolumnę z za drutów. My jeszcze byliśmy na zewnątrz. Wreszcie doszliśmy do celu, do budynków nieco wyższych, w których mieściły się łaznie obozowe. Nasi 'opiekunowie' kazali nam wejść do środka.

Pomieszczenia w łazni były duże, obliczone na użytek wielu jeńców naraz. W pierwszej komorze musiałymy zdjąć wszystko z siebie, powiesić ubrania na specjalnych wieszakach i złożyć nasze bagaże na "wedrujących półkach". To wszystko miało przejść przez dezynfekującą komorę. Gołe, tak jak nas Pan Bog stworzył, stanęliśmy w ogonku do łazni. I tu był bardzo nieprzyjemny moment - przy drzwiach do łazni stał Niemiec z kubkiem mazi, która to miał zadanie posmarować wszystkie zawłosione części naszych ciał! Zrobiło nam się czarno w oczach... zwłaszcza nam, młodym dziewczynom. Wtedy, stał się "cud". Jedna z naszej grupy, pseudonim "Iskra", podeszła bez krempacji do Niemca i płynnym niemieckim językiem zaproponowała, że to ona może go wyreżyc i wykonać zadania zlecone. Niemiec nie dość chętnie zgodził i usunął na bok. Opiekunowie wszędzie byli, ale w dyskretnej odległości. Znalysmy "Iskrę" z widzenia, wyszła z Warszawy z futerkiem lisim na szyi, a chodziły ciche plotki że uprawiała "najstarszy zawód" na wolności. Jeśli tak było rzeczywiście, to nabrałam szacunku do kobiet jej zawodu i resztą wszystkie byłyśmy jej szczerze wdzięczne za jej wystąpienie. Wskazywanie, którym się zajęła był konieczny, bo wszy nas żywcem jadły. Na szczęście ja miałam tylko wszy we włosach na głowie). Jednorazowa kąpiel i tak nie zakończyła naszego problemu. Niemcy dostarczyli więcej płynu do baraków, do naszego użytku, a gesty grzebieni stał się prawdziwym skarbem. Ale o tym potem.

Po "namaszczeniu" wchodziliśmy kolejno do właściwej łazni. W każdym z baraków Niemców z Wehrmachtu obsługiwało krany na boku, ale już nam było wszystko jedno. Każda dostała kubek i kawałek czarnego mydła. Nabralysmy kubek ciepłej wody i znalazłyśmy miejsce na ławkach na ustawienie kubka. Wtedy zaczęło się mycie, przemywanie stóp do głów. Pierwszy raz od wielu tygodni mogłyśmy się naprawdę umyć. To było przyjemne, nawet rozkoszne. Po gruntownym "czyszczeniu" skóry i włosów, wyszłyśmy do innego pomieszczenia. Tam już czekały na nas nasze torby i plecaki. Każda wyjęła ręcznik, przemyłyśmy się i przyspiesziliśmy ubrały w smierdzące dezynfekcją, ale już nie odwszone ubrania. Tak odświeżone, poczułyśmy głód i gotowe byłyśmy do następnego marszu.

3/11/41

Znow maszerowaliśmy dobrze wydeptaną drogą, wzdłuż drutów kolaczących. Wreszcie Niemcy zatrzymali naszą kolumnę i wpuszcili nas na teren obozu, za druty. Przekonaaliśmy się wkrótce, że to był teren zajęty przez szpital wojskowy, ewakuowany niedawno z Warszawy. Byli tam chorzy, ranni i cały personel szpitalny, z lekarzami włącznie. Pare baraków stało pustych i do nich zostałyśmy skierowane. "Sława" i ja znalazłyśmy dwie prycze na piętrze. Spałyśmy obok siebie. Na dole, pod nami albo zaraz obok, zamieszkały dwie starsze panie (pewno nie miały 40 lat!), które ~~zix~~ zdaje się znały siebie od dawna, a teraz prowadziły wspólne gospodarstwo i trzymały się trochę na boku. Pomiedzy sobą nazwałyśmy je "ciotki", ale zresztą nie złośliwie, bo obie potrafiły być bardzo koleżeńskie. Na przykład, jedna ciotka pożyczyła mi grzebien gesty do wyczesywania wszy, zanim ja dostałam swój własny od cioci Zoni. Ciągle jeszcze walczyłyśmy z robactwem! Dziewczęta obcinały sobie włosy bardzo krótko, łatwiej tak było utrzymać czystość głowy. Ja prawdopodobnie poszłabym za ich przykładem, gdyby nie nagła choroba.

Zaczęło się od bólu gardła, a niebawem bardzo wysokiej gorączki. Nie wiem jak i kiedy przeniesiono mnie do szpitala, do małego prywatnego pokoiku, służącego z izolatką. Okazało się że dostałam dyfteryt. Jak przez mgłę pamiętam doktora laryngologa, który przychodził mnie ratować i do którego wydawało mi się zwracano się per : dr. Gerwel. Czyżby to był nasz doktor Gerwel z Gdyni? Myślę, że to był on. Czytałam kiedyś we wspomnieniach powstanców, który też znalazł się w Zeithain, że Tadeusz Gerwel, laryngolog, był kierownikiem oddziału laryngologii w baraku nr. 12!* Prawdopodobnie leżałam właśnie w tym baraku. W gorączce wydawało mi się, że mam halucynacje, że coś koło mnie się rusza i lazi. Gdy gorączka spadła, zobaczyłam, że rzeczywiście pluskwy przechodziły swoją 'trasę' regularnie, od mojej poduszki (tak, w szpitalu miałam posciel i poduszkę!), po ścianie aż do sufitu. Wędrowały w równym szyku, jak wojsko! Widocznie były "po obiedzie"!

Innym razem, posłyszałam, pół-przytomna, jak pielęgniarki stojąc nad moim łóżkiem naradzały się co zrobić z moją zawszoną głową. Jedna ze starszych, może ta ważna, uważała, że muszą mi włosy obciąć, jak tylko na tyle moj stan się poprawi, że będę mogła usiąść na łóżku. Młodziutka sanitariuszka zaprotestowała. Jak chora siedziałam na łóżku, ona wyczesze wszystkie wszy, itd., itp., aż się pielęgniarki zgodziły. Sanitariuszka, Wanda Filipecka, dotrzymała słowa. Wkrótce, zostałam jedyną dziewczyną z warkoczem w całym obozie! A z Wandą, spotkałyśmy się prawie 40 latami, gdy jej matka zamieszkała w Domu Kopernika, w Vancouver, pod moją niejaką opieką. Oczywiście nie poznałyśmy się po wyglądzie (już naprawdę starsze panie!), ale dogadałyśmy się niebawem. (To była matka Wandy, która mi kiedyś powiedziała, że jej córka była w Zeithain, a potem, porównując wspomnienia, doszłyśmy do sedna.)

Po jakimś czasie wróciłam do rodzimego baraku. Ale tutaj znow poczułam się chora - jakaś reakcja na szczepionki przeciw-dyfterytowe - wydaje mi się. Dawano mi zastrzyki wapna(?) dożylnie i wreszcie wszystkie przypadłości minęły. Pamiętam, że "ciotki"

*Stanisław Jastrzębski, Zaczęło się od Arsenau, Warszawa, Omnipress, 1987.

7/11/42

kręciły się koło mnie i pomagały - pamiętam je z wdzięcznością.

Teraz, jak wreszcie stanęłam na nogach, mogłam się rozejrzeć po terenie i przyjrzeć towarzyszom/towarzyszkom losu. Nasza 'zagroda' była dość rozległa, zabudowana barakami po wszystkich stronach - przy drutach kolczystych, ze sporym placem w środku, w centrum którego znajdowała się kuchnia i magazyn na jarzyny - bez ścian, lecz kryty dachem. Zapamiętałam tak wyraźnie zgniłą brukiew, że bardzo możliwe, wysłana byłam raz czy więcej na przebieranie brukwi (jak kartofle w Chyliczkach!). Wszystko co było do jedzenia trzeba było ratować. Żywność, a zwłaszcza jej brak, stał się jedną z najdotkliwszych naszych trosk. Pamiętam cienką zupę z brukwi lub ze szpinaku, który był raczej pokrzywami, według innych źródeł. Jastrzębski, na przykład, wspomina zupę z brukwi, pastewnej na obiad, a herbatę z pokrzyw rano i wieczorem, z małym kawałkiem chleba (20 dkg) i krążkiem margaryny na cały dzień. Ogólne warunki sanitarne w obozie były dość opłakane; pluskwy, wszy, pchły panoszyły się wszędzie. (Pchły uchodziły za najszlachetniejszego wroga!). Ale raz na jakiś czas - co dwa tygodnie? - prowadzono nas do łazni, gdzie mogłyśmy nie tylko umyć się dokładnie, ale i przepracować parę łaszków. Ciepłej wody jeszcze nie brakowało w łazni.

Co ranka przychodził do baraku Niemiec, aby policzyć jeńców. Musiałyśmy się wcześniej 'myć', czesać i ubierać, żeby stać na baczność przy starannie poscielonych łózkach, gdy żołnierz wchodził. Zwykle był to bardzo antypatyczny i ordynarny sierżant, który wrzeszczał na nas z byle powodu. Ale nie bił i nie musiałyśmy wychodzić na apele w chłodne dni późnej jesieni na zewnątrz. Więc znosiłyśmy humory Szwaba cierpliwie i po jego wyjściu oddychałyśmy z ulgą. Wolno nam było się poruszać po terenie - ale chyba nie wchodzić do szpitalnych baraków, jak się nie było szpitalna obsługa, najwyżej odwiedzać chorych w wyznaczonym czasie(?) - od 7-mej rano do 20-tej wieczorem (wdk. Jastrzębskiego). Po zachodzie słońca można było palić światło w barakach (elektryczne lub świeczki), ale okna musiały być szczelnie zaciemnione.

Pomalutku zapoznawałam nowych ludzi. Nie mniej ucieszyłam się serdecznie gdy zobaczyłam dawnego kumpla, "Długiego". Ostatni raz widziałam go w szpitalu na Sniadeckich 17, w dzień wspaniałych rzutów amerykańskich ... Teraz czuł się już lepiej (o ile pamiętam to miał rękę rozstrzaskaną) i wychodził na spacer po 'gumnie', a ja mu chętnie towarzyszyłam, bo mogliśmy sobie porozmawiać i powspominać o dawnych czasach w niezapomnianej "Koszcie"! Spacerując po podwórzu zauważyłam dziwną parę - oto młodzieńca oślepiętego powstaniem, prowadzonego przez starszą kobietę, która opiekowała się chłopakiem naprawdę po macierzyńsku. Potem słyszałam, że owa kobieta była warszawską 'panią ulic' za 'normalnych' czasów. Teraz już naprawdę nabrałam szczerzego szacunku dla polskich prostytutek.

Na codzien, najczęściej obcowałam ze "Sławą", tą cichą i potulną towarzyszką z "Koszty". Ale już poznawałam inne dziewczęta z Batalionu "Kilński", z którymi wyszłam z Warszawy. Zwróciłam uwagę na dwie, podobne do siebie wzrostem i obcięciem włosów po chłopięcu - to były "Hanka" i "Myszka". Chyba mieszkaly w tym samym baraku co ja. Zwłaszcza "Myszka" wydawała mi się bardzo przystępna i sympatyczna. W przyszłości została moją najlepszą przyjaciółką. Wtedy, dowiedziałam się od niej, że imię Myszka

3/11/43

używane było przez jej bliskich na co dzień, nie był to więc jedynie pseudonim. Poza tym Myszka, czyli Maria Lecewicz, pochodziła ze wsi, z lubelskiego (w przyszłości dogadałyśmy się wspólnych znajomych - Hanka Freytag była jej koleżanką szkolną). Przed Powstaniem Myszka zaczęła studiować dentystykę w Warszawie (na tajnym uniwersytecie), a po wybuchu Powstania służyła w Batalionie "Kilinski", jako sanitariuszka. Zbliżyła nas do siebie przede wszystkim troska i niepokój o rodzinę pozostawioną po stronie sowieckiej - niepokoiłyśmy się ich losem, tym bardziej, że zupełnie nie wiedziałyśmy co się tam działo. Inna dziewczyna, też o pare lat ode mnie starsza i okupacyjna studentka medycyny miała na imie Barbara i czasem zapraszała mnie na pogawedkę na jej pryczy. (Nie było krzesel w barakach więc siedzieć można było tylko na łózkach). Siadywałyśmy na jej górnym łóżku i rozstrząsałyśmy różne sprawy świata. Jedno utkwiło mi w pamięci, a to dlatego, że usłyszałam od Barbary coś zupełnie dla mnie nowego i obcego. Ostrzegała mnie bowiem kiedyś, abym ~~nie uważała~~ uważała na lesbijki i nie dała się nabrać na ich "pokusy". Do dziś dnia nie wiem kogo miała na myśli, a sam koncept lesbijki był dla mnie ~~nie~~ trudny do pojęcia! Pomiedzy resztą towarzyszek doli, wydaje mi sie czasem, że i "Manka" i "Basia" z "Koszty były też w Zeithain. Znalazłam na karteczce (z Silberne Rose) pare imion dziewcząt z którymi byłam w obozie, gdzie zapisałam również ich numery 'jenieckie. Między innymi "Sława" i Mania Jacyna (nazwisko "Manki")- nr.298436. Mam też w swych pamiątkach fotografie i "Manki" i "Basi", zrobione przed Powstaniem i chyba dane mi w obozie? Pamięć już zawodzi!

Po jakimś czasie - może po trzech-czterech tygodniach - pobytu na terenie szpitala wojskowego, większość kobiet-żołnierzy nie pracujących w szpitalu, została przeniesiona do innej, niezbyt odległej "zagrody", czyli jak mowiliśmy: "za druty". Teren był dosyć rozległy, a długie baraki ustawione rzędami, z wąską częścią od 'ulicy'. "Sława" i ja zostaliśmy przydzielone do ostatniego baraku po lewej stronie naszej 'uliczki', za to blisko latryn. Po prawej stronie baraki ciągnęły się trochę dalej, a za nimi były druty kolczaste, odgradzające nas od "zagrody" jenców sowieckich. Co do latryn, to był to osobny budynek, na otwartym polu, ze ścianami sięgającymi do pasa stojącej osoby, ale pokryte dachem - jak altanka! Wewnątrz było pare rzędów drewnianych ław z kilkoma dziurami na każdej ławie. Czyli, ze swoje potrzeby naturalne musialo się złatwiać komunalnie, a Niemcy na wieżach strażniczych mieli wgląd do srodka, w dzien i w nocy, gdy reflektory krazyły po całym obozie. Musialyśmy się przyzwyczać do istniejących warunkow, ale nikt nie siedział w latrynie dłużej niż było konieczne! Za to bliskość latryn docenialyśmy w pełni gdy chorowalyśmy na żołądki i gdy pogoda zrobiła się zimna i nie przyjemna.

W srodku baraku były dwa rzędy podwojnych, piętrowych, prycz. Chyba z osiem czy dziesięć takowych w każdym rzędzie. Pomiedzy pręczami był korytarz, a w nim ze dwa piece na drzewo i pare długich stołów z ławami. Spalo się na cienkim sienniku, a własny koc był jedyną poscielą. W zimne noce - bo opalu było nie wiele - przykrywałyśmy się kurtkami i czym tam kto miał z ubrania, a poduszki robilyśmy ze swetrow itp. Niektore dziewczęta posiadaly

1/1/44

jaśki, przytасzczone z Warszawy, ale ja do nich nie należałam. W tym czasie, nie przypominam już sobie walki z wszami, więc pewno udało nam się pokonać 'bestię'. Za to miałymy innych nieproszonych gości - szczury. Kiedyś w środku nocy obudził nas dziki wrzask jednej z towarzyszek doli - dotknęła szczura pod swoim kocem! Na szczęście, mnie to nie spotkało. Miałam znowu łóżko na piętrze, obok "Sławy". W dzień, gdy udało nam się zdobyć trochę drzewa, dostarczanego co jakiś czas na podwórze, blisko latryn, rozpalaliśmy piec i gotowaliśmy z zapałem dodatkowe jedzonka z produktów przysyłanych w paczkach.

Pod koniec listopada, lub na początku grudnia, doszły do nas pierwsze paczki z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Paczki te były cudowne, pełne wymyślnych puszek i pudełek, zawierających czekoladę, cukier, mleko w proszku, kawę, herbatę, puszki mięsa i ryby, a także kompoty i papierosy. Samo otwarcie paczki było frapującym widokiem. Takie paczki dostaliśmy chyba cztery czy pięć razy za mego pobytu w Zeithain. Zwykle każda paczka wypadała na czterech jenców, czasem nawet na osmiu. Tylko raz dostałam poł paczki ~~maxxxx~~, o ile pamiętam. Jedna z grupy rozdzielala starannie zawartość paczki na wyznaczona ilość odbiorców, a reszta z nas stała blisko naokoło stołu, pilnując procedury, a równocześnie ciesząc się widokiem takich cacek. Każda z kolei, dostawała też cenną puszkę z mleka i malutki nożyk-kluczyk do otwierania puszek, bo w każdej paczce był jeden. Kiedyś i na mnie przyszła kolej, tak że w końcu miałam dwie spore puszki i słiczny kluczyk do własnego użytku. Puszki były bardzo ważne, bo nauczyliśmy się (podobno od jenców w Mülsbergu) zrobić z nich piecyk polowy(!) i garnuszek do gotowania. Jak nie było opału do rozpalania pieca, 'piecyk' bardzo się przydawał. W jednej puszcze wycinało się nożem parę okienek naokoło, w dolnej części puszki. Tam wkładano się kawałki tektury - skrzętnie zachowanej z paczek - jako opał, (zapaki też dostawaliśmy z Czerwonego Krzyża), a na wierzchu stawiało się drugą puszkę-garnuszek, w której gotowało się zupki i tym podobne strawy. Zadziwiająco jak taki piecyk dobrze funkcjonował! Myślałam, że 'odkryłam Amerykę' i już całe życie będę korzystała z puszkowych piecyków, jeśli zajdzie potrzeba. Ale nie zaszła. Co do papierosów, to choć nieraz byłam głodna, nie mogłam się do nich przyzwyczaić. Papierosy stały się monetą wymiany na terenie obozu, ale wstyd mi było brać jedzenie od palaczek, bo każda była głodna. Rozdawałam papierosy zaprzyjznanym palaczkom. Paczki z Czerwonego Krzyża uzupełniały choć trochę naszą dietę, a poza tym, dodawały otuchy, że ktoś na świecie o nas pamięta.

W listopadzie Niemcy dali nam specjalne arkusze na wysyłanie i otrzymywanie listów czy kartek, "Kriegsgefangenenpost", oraz przekazy na paczki. Niebawem dostaliśmy pierwsze listy z Polski a potem paczki, które stały się prawdziwą podporą. W paczkach przysyłano groch, fasolę, kaszę, cukier, bekon, nawet masło, a czasem jakieś ciastka! Nie wszystkie dziewczęta miały rodziny czy przyjaciół w zachodniej części Polski, ale ja należałam do tych wybranych!

Miałam na zachodzie krewnych i przyjaciół, do których napisałam, a wkrótce otrzymałam odpowiedź i potem paczki - ze trzy czy cztery. Zachowałam listy od Rodziny, a po wojnie Mamusia dała mi kilka które ja pisałam. Treść listów uzupełniła to co zapamiętałam

1/11/45

z pobytu w Zeithain. A były następujące:

15 listopad 1944 - wysłałam kartkę do pani Kasi, do Wejherowa, dając jej znać, że przywieziono mnie do obozu z Warszawy i że nie miałam żadnej wiadomości o losie bliskich w lubelskim. Kartka została zwrócona do mnie. Może Niemcy nie chcieli, by mieszkańcy Wejherowa wiedzieli za dużo ?...

24 listopad - list od cioci Szanieckiej z Chełmży, w odpowiedzi na mój pierwszy list. Radość, że mnie Bóg zachował i wiadomości o uciekinierach z Warszawy - ciocia Hala Dreszer z matka, pani Karwat i inni wylądowali w Skórnicach. Wujostwo Zygmuntowie Cichowscy i wujostwo Kleszczyńscy też byli w Skórnicach. Ciocia pisała jak bardzo wszyscy zmartwili się wiadomością o śmierci Teni Hulewicz - nie znali szczegółów. Wspomniała też gdzie pracowały jej córki i nalegała abym przysłała nalepki na paczki żywnościowe i "na rzeczy". (Tych ostatnich mi nie dano). Niestety wiadomości z lubelskiego nikt nie miał - dzieliła ze mną niepokój ... Na koniec, dużo ciepłych słów.

14 grudzień - odpisuję na list cioci Szanieckiej. Dziękowałam za dobre słowa i nowinki. O Teni nie mogłam więcej napisać (bo cenzura) poza tym, że była dzielna i zginęła zaśypana gruzami Poczty Głównej.. Zapewniłam ciocię, że czulam się dobrze (po dyfteryście) i że znalazłam w Zeithain jedną koleżankę z Chyliczek, bo rzeczywiście, 'za drutami' spotkałam Lilke Borkowska. Załączyłam nalepkę na paczkę, tłumacząc cioci, że wszystko się przyda, bo mogłam sobie gotować dodatkową strawę.

6 grudzień - kartka od cioci Zoni ze Skornic. Ciocia napisała, że mój list z 7 listopada dostała 4 grudnia. Paczkę już do mnie wysłała z piernikami, boczkami, masłem i cebulą. Pytała co najlepiej przysyłać. "O rodzinie Twej nic nie wiemy. ... Bądź zdrowa!"

11 grudzień (?) - data na pieczęcie "Konskie" tak zatarta, że trudno doczytać. Kartka od Irenki Cichowskiej, ze Starzechowic. (Widocznie Cichowscy już wyjechali ze Skornic?). Irenka pisała, że otrzymała moją kartkę, prosiła bym nie wahała się przysłać przekazu na paczkę. Pytała czy były ze mną jej znajome z Warszawy podając ich nazwiska (nie spotkałam ich). Prosiła bym napisała ile mogę o swych losach.

27 grudzień - list od cioci Zoni. Przed samym Bożym Narodzeniem dostała mój list i nalepkę na paczkę. Wysłała już pierwszą paczkę 4 grudnia - w dzień imenin Mamusi, a teraz chciała od razu wysłać następną, a w niej: "piernika, boczek-szynkę, cebulę w woreczku z chustki do nosa (!), książeczkę starą do nabożeństwa, ponczochoy grzebieni gęsty i szczotkę do włosów" (jednym słowem, same skarby!). Kilka tygodni temu złamała sobie zebro (jak?), ale już wstawiała, choć nie ruszała się za wiele. Dużo serdecznych słów i prośba żebym zawsze szczerze pisała co potrzebuje. (Dawniej w Skornicach, trochę bałam się cioci Zoni i unikałam z nią spotkania, a teraz okazała się taka kochana ...) Wspomniała, że wuj Zygmunt dostał mój list i nalepkę i napewno odezwą się do mnie, "i kabała będzie miała racje." (Nie wiem o czym ciocia myślała pisząc to zdanie. Napewno zapomniałam o co chodziło. Cenzura?)

9/11/46

14 styczeń 1945 - list od cioci Ireni z dopiskiem Hani Szanieckiej. Mój list świąteczny spóźnił się, ale ucieszyli się nim w Chelmży. Pierwszą paczkę już ciocia wysłała do mnie i znowu pytała o "nalepki różowe, nie żywnościowe". Nakazywała bym przysyłała jak najwięcej nalepek. (Szanieccy w Chelmży mieli długie doświadczenie z paczkami do obozów jenców - Antos był jencem od 1939 roku!). Tym co napisałam o Teni Hulewicz wzruszyli się bardzo. Mąka, która pracowała we Włocławku, zapytywała o losy swej znajomej (nic nie wiedziałam o niej). Brak wiadomości o Magdzie Lubińskiej, "jakoby wywiezionej na roboty". Hania właśnie przeszła wietrzna ospę. Dużo serdeczności.

Hania dopisała jak ucieszyli się wszyscy wiadomościami ode mnie, pytając "co przysłać? Czy Ci bardzo zimno i głodno?" Czy dostałam stopień wojskowy, czy muszę pracować? Myślała, że pracowałam w szpitalu. "Czy wiesz adres Gabisi [Lubińskiej]? ... Czy przez Czerwony Krzyż nie możesz się dowiadywać o Rodziców, bo my nie możemy." (O Gabisi nic nie wiedziałam, a przez Czerwony Krzyż też nie byłam w stanie nic się dowiedzieć o tych co byli za wschodnim frontem). W koncu prosiła o fotografię, jeśli takowa miałam.

16 styczeń - wysłałam list do cioci Zoni. Chwalilam się, że tego dnia odebrałam aż trzy listy! Zmartwilam się cioci zębem, jak to się stało? (Nigdy się nie dowiedziałam). A potem pisałam: "Obawiam się że nie długo będziemy musiały przerwać korespondencję. Bez wielkiej nadziei staram się przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż zawiadomić rodziców, że żyję i jestem w obozie. Może przedziej dowiedzą się inną drogą? [Liczyłam na przesunięcie się frontu wschodniego na zachód, gdy cała Polska znajdzie się na "wyswobodzonym" terenie i Rodzice będą mogli nawiązać kontakt z krewnymi, do których pisałam z Zeithain.] Zyjemy w ciągłym oczekiwaniu, że nas wywiozą stąd. Już wiele koleżanek wyjechało na roboty. Ja, ponieważ mam stopień podporucznika, pojedę do Oflagu, prawdopodobnie w najbliższym czasie". Dalej zapewniałam ciocie, że już jestem zdrowa i poprawiłam się od czasu otrzymywania paczek. "Mozemy tu gotować, więc dobre surowe produkty". 17 stycznia dopisałam, że "Paczki od Cioci i ze Starzechowic doszły w porządku - wszystko cudne, b. dziękuję".

A kiedy doszła do mnie kartka od stryja Bronka z Milanówka? Nie wiem. Datą na pieczęci w Milanówku jest 29.12.44. Kilka serdecznych słów od cioci Wyganowskiej i pewna troska ze, "o Krzysiu nie mamy żadnej wiadomości." Stryj napisał, że bym przysłała parę "Kart na paczki" i podał adres żony w Poznaniu, gdyby nie mógł nic sam wysłać. (Pewnie już myślał o zbliżającym się froncie. Po wojnie, stryj pisał, że paczkę wysłał, ale już do mnie nie doszła.)

Taka była mniej więcej moja korespondencja z krewnymi od listopada 1944 do stycznia 1945 roku. Otrzymywanie listów stało się największą przyjemnością w naszym życiu obozowym. A paczki nie tylko poprawiały naszą dolę, ale przede wszystkim były dowodem że miałyśmy ludzi bliskich na tym świecie, nie byłysmy same. (Niestety, nie wszystkie koleżanki miały z kim nawiązać kontakt.) Wracając do korespondencji, nie miałam informacji o większości osób o które pytano - za wyjątkiem Teni Hulewicz, ale przekonałam

1/1/47

się 'namacalnie', jak ludzie się szukali nawzajem po zawieruchach powstania Warszawskiego. Ucieszyłam się serdecznie, że ciocia Wyganowska z rodziną, ciocia Hala i inni uszli z życiem. Tylko ciągle było brak wiadomości o moich najbliższych ... Co do paczek, to wzruszona byłam pomysłowścią cioci Zoni, bo nie tylko przysyłała dobre kaski, ale dołączyła ponczochoy i chustkę do nosa. Nie pamiętam co się stało z książeczką do nabożeństwa. Może komus oddałam, jak już później - chyba we Włoszech - sprawiłam sobie "Mszał Rzymski w skróceniu, wydany z rozporządzenia Jego Ekscelencji Księdza Józefa Gawliny, Biskupa Polowego Wojsk Polskich. 1942, Londyn". (Do dzisiaj go mam). W miarę przesuwania się frontu, zmniejszała się ilość osób do których mogłam pisać. W końcu, dostałam więcej form na listy i kartki niż mogłam wykorzystać. (Zostało mi kilka - mam u siebie w zbiorach z przeszłości). Czym były dla mnie i wszystkich którzy dostawali listy, ten kontakt z krajem, wyraża tak dobitnie wiersz "Kriegsgefangenenpost":

... Krieg - rozumiesz, to wojna.

Gefangene - jeniec, to ja,
czy jesteś już spokojna
gdy znasz te słowa dwa?

Kriegsgefangenenpost - to brzmi jak tajemnica.

Kriegsgefangenenpost - to pociągów daleki swist,
to czekanie na Twój list.

Nie wiem nawet czy na mnie czekasz?

Wołałem Ciebie z daleka

tym najdziwniejszym z pośród wszystkich słów.

Głos mój jak wichur jesienny niesie jesienia,

list mój jak liść jesienny po świecie gna.

Miła moja, co listy zmieniają?

Jeszcze ciągle, jeszcze ciągle trwa ...

Kriegsgefangenenpost - to brzmi jak tajemnica,

Kriegsgefangenenpost - to pociągów dalekich swist,

Kriegsgefangenenpost - to Twój dom, numer, ulica,

Kriegsgefangenenpost - to czekanie na Twój list

wiersze z gazetki z Oflagu, autor jakoby student
A. Nowicki (przepisała dla mnie Myszka Lecewicz
w obozie. Powyżej pominęłam dwie pierwsze zwrotki)

Jeśli chodzi o uzupełnianie naszych głodowych porcji jedzenia rozdawanych w obozie, to trzeba zaznaczyć, że zaistniał niebawem ożywiony handel wymienny. Nie tylko za papierosy można było 'wszystko' kupić (ja tego nie robiłam), ale w dodatku, handel z sąsiadującymi Rosjanami rozpowszechnił się znacznie. Jeńcy rosyjscy mieszkali bezpośrednio za drutami naszego terenu. Co rano wychodzili prowadzeni gdzieś do pracy, a wracali wieczorem. Bardziej zaradne dziewczęta w naszej grupie nawiązały kontakt z nimi - przez druty. Okazało się, że Rosjanie namiętnie kolektowali zegarki i inne kawałki biżuterii. Za każdą rzecz gotowi byli zapłacić chlebem, cebulą i tym podobnymi produktami żywnościowymi. Jak przynosili te produkty, nikt się nie pytał. Na wszelki wypadek opalało się bochenki chleba nad ogniem w barakowym piecu, a jarzyny myło się starannie. Jedna warszawianka, pani Sieklucka, uchodziła za najlepszą handlarke i kto miał coś do 'sprzedania', chętnie korzystał z jej pośrednictwa. Pare koleżanek w moim baraku zdobyło w ten sposób drogocenną żywność i muszę powiedzieć, że bardzo koleżeńsko dzieliły się z innymi swoimi zapasami. Mnie też nieraz

7/11/48

odkarmiwały, co było bardzo cennym dowodem ich przyjazni i stawiało mnie na nogi, zanim zaczęłam otrzymywać paczki od krewnych. W końcu, uważałam, że muszę się zrewanżować i zdecydowałam się pozbyć zegarka - tego pamiątkowego od Babisi, który przestał chodzić. (Miałam drugi zegarek z "Koszty" i ten służył mi dobrze przez szereg lat.) Za Babisi zegarek dostawałam chyba jeden bochenek chleba i jedną cebulę. Byłam szczęśliwa, że mogłam zaprosić dobre towarzyszek na ucztę! Potem, jak przychodziły paczki z Polski, cieszyłam się że mogłam się nimi dzielić z tymi, które paczek nie dostawały. A jeśli chodzi o zegarek od Babisi, to chyba Babisia by zrozumiała i nie miałaby mi za złe, oddałam Rosjanom?*

Pisząc o jeńcach rosyjskich, przypomniałam sobie, że w naszej własnej 'zagrodzie', parę baraków w dalekim rzędzie było zajętych przez Rosjanki zabrane do niewoli. Mało, jeśli w ogóle, miałyśmy z nimi styczności - żale z przeszłości zostały - ale nie było żadnych starć ani innych nieprzyjemnych incydentów. Ostatecznie i one i my byłyśmy jeńcami, u wspólnego wroga, im i nam było głodno i zimno, a im jeszcze gorzej, bo nie dostawały paczek z domu. Chodziliśmy do tej samej latryny, a poza tym - omijałyśmy się z daleka.

Prawdziwą niespodzianką było spotkanie Lilki Borkowskiej w Zeithain. Przybyła tu innym transportem niż ja, a teraz razem mieszkaliśmy 'za drutami', choć chyba w innych barakach. Jakos los nas ciągle ze sobą łączył! Przyjemnie było mieć kogoś z Chyliczek blisko i widywałyśmy się od czasu do czasu. Normalnie, Lilka, swoim zwyczajem, ciągle gdzieś działała - w pozytywnym sensie - i organizowała życie w obozie. Napisałam "pozytywnym", bo niestety wśród starszych kobiet rozpoczęła się walka o władzę, co było wręcz nieprzyjemne. Pamiętam, na przykład, taką jedną panią, małą i ważną, z Batalionu "Kilinski". Była podobno bardzo zasłużoną działaczką z czasów okupacji, a po Powstaniu przypuszczam, że poszła do niewoli bez stopnia oficerskiego dlatego właśnie by opiekować się najmłodszymi. To jej się chwaliło. Ale na terenie obozu rządziła się okropnie i z innymi walczyła zaciekle o pierwszeństwo w pełnieniu władzy nad dziewczętami. Te kłótnie i intrygi były takie paskudne, że ich przykład odrzucił mnie na całe życie od ochoty działania w jakiegokolwiek organizacji kobiet - do czego zresztą może nigdy nie miałam powołania! "Ciotki" na szczęście nie brały udziału w toczącej się walce. Trzymały się na boku, a ja też próbowałam ignorować 'jedze' i nie mieszać się w konflikty.

"Sława" była nadal moja dobrą towarzyszką, a z Myszką zbliżałam się coraz bardziej. Co prawda Myszka pracowała w szpitalnej sekcji obozu, jako asystentka dentystki, ale czasem mogłyśmy się spotykać. Pare razy ja też zostałam przeprowadzona z grupką dziewcząt na wizytę w gabinecie dentystycznym. Wtedy miałam okazję pogawędzić z Myszką. Na codzień, największą przyjemność towarzyską znalazłam w obcowaniu ze "Szkardiatynkami". Były to dziewczęta, głównie bardzo młode, które wyszły z Warszawy z wojskiem 4 czy 5 października, a już w obozie rozchorowały się na szkarlatynę. W Zeithain odbywały kwarantannę i dopiero późno w listopadzie, albo już w grudniu, kwarantanna się skończyła. Barak tzw. Szkarlatynek stał się dostępny dla wszystkich. Opiekunką i komendantką baraku była

*Pani Sieklucka, która 'sprzedała' mój zegarek, znalazła się po wojnie w Kanadzie, w Edmontonie. Po urodzeniu Jacka, ktoś doradził Staszce, żeby miała pomoc do dzieci, choć na parę tygodni. I tak zjawiała się p. Sieklucka. Zatrzymywała się na tak długie wizytki towarzyskie, że po tygodniu zrezygnowałam z pomo-

1/1/49

pani doktor Świtalska (o ile pamiętam dobrze jej nazwisko?). Była to bardzo kulturalna i dobra osoba, opiekująca się swymi podopiecznymi zawodowo i po maczynomu. Po wejściu do baraku czuło się odrazu miły i pogodny nastrój, a każdy gość był serdecznie witany i wciągany w krąg przyjaźni. Barak Szkarlatynek stał się dla mnie prawdziwą ostoją. Pamiętam wieczorki tam organizowane, śpiewy, deklamacje, a kiedyś nawet odegranie sceny ze "Ślubów panienskich" w kącie baraku. Okazało się że pomiędzy nami było parę aktorek teatralnych z Warszawy i to właśnie dwie z nich odegrały role Anielci i Klary(?), ku naszej radości! W takich chwilach mogliśmy zapomnieć gdzie byliśmy i o wszystkich troskach naszych. Obcowanie ze "Szkarlatynkami" stało się najjasniejszym moim wspomnieniem z Zeithainu. *

Zbliżało się Boże Narodzenie, 1944 roku. Zdecydowano, że musimy coś przygotować na Święta, dla pocieszenia serc jeńców-Polaków, łącznie z tymi, którzy mieszkali w sekcji szpitalnej. Niemcy dali pozwolenie, myśląc, że to była okazja religijna. I rzeczywiście, w jednym baraku po stronie szpitala, zrobiono scenę ze stajenki betlejemskiej - na tle ścian prawdopodobnie(?) zakrytych kocami! Miała tam być Matka Boska z Dzieciątkiem i św. Józef, opiekun, a jakże. Do stajenki miała przyjść grupa powstańców warszawskich, z ich bólami, niedzą i modlitwami o lepsze jutro. Zawodowi aktorzy - bo chyba i mężczyźni ze szpitala się włączyli? - przygotowali scenę, ustalili jakie koledy się będzie śpiewać i co powstańcy będą mówić i robić. Dużo było powiedzeń i gestów symbolicznych, ukrytych, ale wszyscy rozumieliśmy o co chodzi! Napewno poza aktorami organizowali to widowisko i inni, bo nie brakowało w obozie osób z wykształceniem i praktyką. Ale najlepiej pamiętam mój wkład, czyli moja rola, do której mnie wybrano. A było to tak, że w całym zespole tylko ja jedna miałam jeshczedługie włosy! Wobec tego, wyznaczono mnie na Matkę Boską. Włosy miałam rozpuszczone na ramionach, głowę przykryta szarym kocem, Dzieciątko było 'ukryte' w szarych powijakach. Wszystko było szare, surowe, tak jak przystało na naszą obozową rzeczywistość. Chyba nic nie musiałam mówić, byłam częścią żywego obrazu. Ale "powstańcy" mieli sporo do powiedzenia i odegrali swą rolę znakomicie. Przynajmniej tak sadzę, bo wrzuceni widzowie z przejęciem oglądali widowisko. Nie pamiętam, czy widowisko było pokazywane więcej niż ~~za~~ jeden raz?? Możliwe tak, bo przecież barak nie mógł pomieścić wszystkich co chcieli przyjść i zobaczyć. Tyle szczegółów zatarło się w mojej pamięci! A kilka lat temu, gdy odwiedzałam pp. Jankowskich w Warszawie, spotkałam u nich panią z Australii, która jakoby też była w niemieckiej niewoli po Powstaniu. Zaczelyśmy porównywać losy. Ona mówi, że była w Zeithain, ja też! Ale nie mogliśmy się poznać. Az dopiero gdy wspomniałam nasze widowisko bożonarodzeniowe z 1944 roku i że ja byłam za Matkę Boską, ona krzyknęła: "A ja byłam Hitlerem!". Wtedy się poznałyśmy! Hitler i Matka Boska!! Okazało się również, że ta pani była jedną z "ciotek", z którymi dzieliłam dole po wyjściu z Warszawy, aż do mego wyjazdu z Zeithainu.

Chyba to było wśród "Szkarlatynek", gdzie poznałam młodą dziewczynę (16 lat), córkę pastora protestanckiego z Warszawy. Spotkałam ją przypadkiem na ulicy Marszałkowskiej w 1959 roku. Chciała bardzo ze mną pomówić, więc ja odwiedziłam w jej pobliskim mieszkanku i usłyszałam jej koleje życia. Po uwolnieniu z niewoli, znalazła się w zachodniej części Niemiec i uczęszczała przez parę lat, gimnazjum zorganizowane dla polskiej młodzieży. Wrocila do Polski, bo ojciec umarł i matka była sama. Tu komunisty się do niej dobrali - że szpieg. Dopiero jak się zapisała do Partii dali jej spokój i mogła się uczyć na uniwer. Wolała jak zaginiona w ciemny kat zwierzątko!

O ile pamiętam, w okresie Bożego Narodzenia przyjechał ksiądz do obozu. Dał wszystkim generalne rozgrzeszenie i rozdał Komunię Sw. Dziwne to było zgromadzenie wiernych - tłum szarych, raczej obskurnie wyglądających jenców, wzruszonych do łez. Bo okres świąteczny był smutny. Każdy barak starał się zorganizować wspólna wile z osobistych zapasów, którymi się dzieliliśmy (rybka z puszki z paczki Czerwonego Krzyża, pierniczki z Polski, itd). Dzieliliśmy się opłatkiem przysyłanym z kraju, życzyliśmy rychłego powrotu do domu, pospiewaliśmy kolędy, a potem każda poszła na własną prycze, snuć własne myśli i walczyć z tęsknotą ...Gdzie będziemy za rok?...

Nawet nie zrobiło na mnie wrażenia, że skończyłam 19 lat pod koniec grudnia. A w Sylwestra tak mi było ciężko na sercu, że poszłam z wizytą do "Szkarlatelynek". I tam, siedząc wśród palaczek, wyciągnęłam i ja papierosa (zdaje się przyniosłam paczkę papierosów dla towarzyszek). Zapaliłam, myślałam że mi pomoże. Ale nic nie poczułam. Rozmawialiśmy jeszcze jakiś czas, głównie o tym co nas czeka, jaka armia nas uwolni, kiedy wrócimy do Polski, kiedy wojna się skończy ... Jakos wróciłam do baraku mniej przygnębiona. W nocy, nie pierwszy już raz, nadśluchiwałam warkotu alianckich samolotów - bombowców, które leciały niszczyć miasta Rzeszy. Leciały wysoko, ale było ich tyle, że można było usłyszeć. To podnosiło na duchu, nie czułam się już taka samotna.

Sądząc po moim liście do cioci Zoni z połowy stycznia, już zaraz po Nowym Roku Niemcy zaczęli rozdzielać oficerów i szeregowców w naszej grupie. Według konwencji genewskiej, po trzech miesiącach w niewoli, państwo w którym obóz jeniecki się znajdował miało prawo wysyłać jenców niższej rangi do pracy. Oficerowie byli trzymani "bezrobotni" w Oflagach. A więc i u nas ten rozdział musiał nastąpić. Zaczęłam tracić koleżanki i po raz pierwszy "wstydzic się" swojej rangi. Poszły już "Sława", Lilka* i inne. Grupy dziewcząt-jenców rozsyłane do ośrodków przemysłowych w okolicy. Niektóre, jeśli nie wszystkie, skierowane do Chemnitz. A ja? Zostałam. Dlaczego właśnie ja mam być od innych lepszą? Nie zależało mi na tym, żeby dla Niemców pracować, ale przykro było oddzielać się od dotychczasowych towarzyszek doli. Dlaczego na przykład Lilka, która wstąpiła do A.K. równocześnie ze mną i która służyła przez część Powstania na tej samej placówce co ja nie dostała awansu, a ja tak, jeśli to była prawda co Wika, mówiła, że przeszkolenie Peżetek równało się kobiecej podchorążówce? Gryzło mnie to przez dłuższy czas. Ostatnio, ktoś mi wyjaśniał, że sam fakt, że ja zostałam na placówce do końca coś znaczył. Prawdopodobnie też władze P.Z. nie dosięgły na czas Lilki w jej domu, by sprawę awansu załatwić. Bo z czasem doszłam do przekonania, że to właśnie kpt."Ina" i kpt."Zofka" czuły się odpowiedzialne za los swych podopiecznych i wiedząc o możliwości pójścia do niewoli, chciały zapewnić swoim Peżetkom jak najlepsze warunki, a przy okazji, pozbawic Niemców siły roboczej. Wtedy, w styczniu 1945 roku, moją jedyną pociechą była świadomość, że Myszką też była oficerem i że pewno zabiorą nas razem do Oflagu. Co prawda,

*W 1959 r. gdzieś posłyszałam, że Lilka przeżyła wojnę, że wróciła do Polski i że gdzieś, bodaj na Pomorzu, pracowała jako instruktorka drobiu!

do ostatniej chwili nie byliśmy tego pewne. Praca Myszki w gabinecie dentystycznym, mogła ją zatrzymać w Zeithain. Zapisek Myszki w moim notesiku 12 lutego, 1945 r. potwierdzał moje obawy: "... Chcę, żebys pamiętała, że byliśmy razem od początku naszej wspólnej 'Wielkiej Przygody' i oby do końca. Chcę abys pamiętała nasze pogawędki na pryczy, tyle nas wtedy łączyło! ... Więc narazie do widzenia - Myszka Lec. 12 II.45, Zeithain."

W tym samym notesiku, w którym wpisała się Myszka i jejcy z Mülbergu, znalazłam również przepisane małutkimi literami piosenki i wiersze jenieckie. Podaję wiersze w całości (jeden tak jak był, nie kompletny) na następnych stronach. W pierwszym, pod tytułem "Apel", jest dużo moich myśli i odczuć, np. o Legendzie Sierpniowej i o smutnych nocach - "... usiadziemy na pryczach cichutko, zapatrzone w nie swoją dalekosc ... Zasłuchane w swoje własne smutki, że tak trudno jest zasnąć nocami, że tak w uszach rozdzwania się cisza i tak głupio się tęskni do Mamy, że miał być list i jednak nie przyszedł ...". W drugim wierszu, napisanym przez nieznanego powstancę - pewnie przemycanym do nas w Mülbergu - tyle moich wspomnień z Powstania i nekajaca rzeczywistość, "bo pozostał się w sercu ból głuchy i pytanie - czy to się przydało?" Oba wiersze tak wymownie wyrażały nasze nastroje - te szarpaninę wewnętrzną pomiędzy Legendą, a tragedią Powstania ...

Tymczasem czas wyjazdu nadszedł, pewno wkrótce po 12 lutego. Wybrano garstkę oficerów z naszego obozu i kazano szykować się do drogi. Myszka na szczęście była w wybranej grupie! Ostatnie pożegnania i - żegnaj Zeithain. Gdzie pojedziemy i co nas tam czeka, zobaczymy. Samo wyrwanie się z miejsca długiego i nie za przyjemnego pobytu, jak również choć chwilowo poza druty, miało swój urok.

1/11/52

APEL

Przed baraki czworkami wyszliśmy w noc jesienna,
Zadumane wspomnieniami sierpniowej Legendy,
By śpiewać obcym polom i tęsknocie własnej
Nasze serdeczne, polskie, prościutkie koleśdy.

I drżał śpiew w mroźnym wietrze, a księżyc swą bladą
Stroskaną twarz chmurami na chwilę przysłonił
Kiedy z ust Twoich padło, niby pchniecie szpada
Pytanie - gdzie są nasi towarzysze broni?

Słyszysz? Tam Ciebie z dali przyzywa Warszawa,
Już się największy apel wśród jej ruin zaczął!!
A Ty stoisz w śnieżystej zagubiona kurzawie,
Drobną, ciemną postacią sprężona na baczność.
I drżał Twój głos ostatnią wydając komendę.
I zgasł śpiew w powietrzu, jak drżące łuczywo ...
Widziałam po raz drugi sierpniową Legendę
W Twoich oczach - łyzy srebrnym zasnuły je szkliwem.

Już jest wieczór wiatrami rozwiany
I jest wielka śmiertelna samotność.
Jakieś cienie się kładą po ścianach,
Księżyc zakwitł jak narcyz za oknem.

Nie wyjdziemy z baraków dziś wieczór,
Usiądziemy ~~cichutko~~ na pryczach cichutko,
Zapatrzone w nie swoją dalekość ...
Zasłuchane w swoje własne smutki -
Że tak trudno jest zasnąć nocami,
Że tak w uszach rozdzwania się cisza
I tak głupio się tęskni do Mamy,
Że miał być list i jednak nie przyszedł.

Nie wyjdziemy z baraku dziś wieczór.
Wiatr po polach rozwieje w perzyne
Może łyzy, może kartki z karnetu
Gdzie ktos wpisał się na imieniny,...

8.XII.44: Zeithain (Autorka nie znana)

1/1/53

PO ZGLISZCZACH

Czy pamiętasz kolego ten sierpniowy dzień uderzenia,
 Gdy wśród kul tuman kurzu zatańczył,
 Gdy wśród huku głos srogi oniemiał?
 Czy pamiętasz Warszawę z przed akcją,
 Taką znaną w swym starym uroku?
 Na ulicach w codziennym natłoku
 Tych ostatnich wojennych wakacji?
 Wszystko przeszło! Zagrzmiały granaty
 I ulice kul mrowie posiekło,
 Czołgi niosły zniszczenie i piekło,
 A w nas żądza tętniła odpłaty!

Potem pierwsze triumfy i straty,
 Wycofania i szturm, placówki,
 Na kwaterach śpiewanie "Szturmowki" ...
 I znów swoje z pepanców granaty.

Czy pamiętasz jak na barykadach
 Stałeś w nocy z butelką - szalenie!
 I patrzyłeś jak błędny cień kładzie
 Światło rakiet na murach kamienic
 I dymiące wokoło pożary?
 Bili przecież w nas ciągle jak w kaczkę.

Hej! Kolego, tyś żołnierz już stary
 Po tych osmiu tygodniach wojaczki.
 Stary żołnierz, bohater, powstaniec
 Z pieśnią szedłeś już potem w niewole,
 Kiedy ~~nie~~ znikły miraż wyzolenia
 I piekielny zakończył się taniec.
 A za tobą zostały ruiny,
 Wrogi podpalił co zdołał ocalić.

Kto ci żywy pozostał z rodziny
 Tego hen gdzieś po świecie rozgonił ...
 A za tobą tyle męki i chwały
 I nadziei i zwątpień wybuchy,
 Bo pozostał się w sercu ból głuchy
 I pytanie - czy to się przydało?

Czy pamiętasz najbliższych kolegów
 Co o zdrowiu nie dbali i życie?
 Grobów kopce stały w szeregu
 Zdobiać razem z gruzami ulice.
 Czy pamiętasz to całe Powstanie,
 Jeszcze jedno i znów nie za swoje?

(Autor nie znany. Przepisałam ten wiersz, niedokończony, w obozie jenieckim, w Zeithain, pewno w listopadzie lub grudniu, 1944 r.)

Szał uniesień, kontrasty, nastroje
 I niepokój - co po tym zostanie?
 Dziś gdy wiemy, że jutro koniecznie
 Musi przyjść i odkupić te klęskę
 I pogoić te rany, serdeczne
 Myśli biegną ku Polsce Zwycięskiej.
 I jak myślisz, kolego - Polaku,
 Czy znów będziesz narodem powstanców
 Co egzamin wciąż zdaje na szaniec,
 Krwawiąc zawsze w szaleńczym ataku?
 I czy wszystkie te gromy i ciosy
 I gorące momenty zrozumień....

MOLSDORF

1/1/54

Kriegsgefangenenpost
Corrispondenza dei prigionieri di guerra

Packkarte
Cartolina postale



Regionale
C
Kurorte
Städte

Postfrei! Franco di porto

Absender:
Mittente

Zuname:
Cognome

Postnummer:
Numero postale

Bezeichnung:
Indirizzo del campo

siehe Rückseite
vedi retro

Deutschland (Germania)

Empfangsort:
Località di destinazione

Strasse:
Via

Landes:
Provincia

Postnummer:
Indirizzo del prigioniero

Bezeichnung:
Indirizzo del campo

Deutschland (Germania)

Po drugiej stronie drutów kolczastych -
widok na zamek w dali (Molsdorf, zima 1945)

W obozie jenieckim, Oflagu zwanym Molsdorf, przebywałam nie całe dwa miesiące, a więc krocej niż w Zeithain. Ale moje doświadczenia w Molsdorfie były tak urozmaicone i tak inne niż w Zeithain, że zapisały się głęboko w mej pamięci. Tu znalazłam przyjazne środowisko, interesujące zajęcia i opiekę odpowiedzialnych starszych osób. Strona pozytywna tego okresu niewoli niejako zrownoważyła rozmaite braki. Nie dochodziły już listy ani żadne paczki. Poznałam prawdziwy głód. Ale duch był dobry i koniec blisko...

Zaczeło się od podróży w nieznane. Było nas około 10-12 kobiet oficerów. Dla tak małej grupy, przydzielili nam tylko jednego "opiekuna" i załadowano do jednego przedziału w pociągu pasażerskim. (Co za luksus!) Pilnujący nas żołnierz siedział z karabinem przy drzwiach na korytarz, ale był taką 'gapa', że wkrótce doszliśmy do przekonania, że my musimy go pilnować raczej niż on nas. Moze nawet można było uciec, ale gdzie i jak? Żadna z nas nie mówiła płynnie językiem niemieckim, byliśmy w środku Rzeszy i front wschodni zbliżał się szybko. Rosądniej było trzymać się razem i z naszym strażnikiem. Pamiętam, że wieczorem czy w nocy - bo już było ciemno, pociąg zatrzymał się na małej stacji kolejowej i nasz Niemiec kazał nam wysiąść. Rzeczywiście, zobaczyliśmy na peronie napis z nazwą stacji: Molsdorf. To nie był jednak obóz, zwany Molsdorf, tylko stacja jakiejś małej miejsciny! Niemiec szwargotał z obsugą kolejową i doszedł do przekonania, że musimy jechać dalej. Czy nasz pociąg już odjechał? Możliwe, bo przypominam sobie chodzenie po peronie przez dłuższy czas. To było zresztą

3/11/55

bardzo przyjemne. Noc była mroźna, ale nie dokuczliwie, a świeży śnieg przypruszył drzewa w pobliżu. Na niebie widać było setki gwiazd - a może tysiące. Za stacją mile pagórki i więcej drzew obielonych śniegiem. Cała okolica przypominała spokojny i cichy resort zimowy. Co za kontrast z obozem jenieckim! Niebawem trzeba było znów wsiadać do pociągu i pojechalysmy dalej. Przesiadalyśmy na dużej stacji, bodaj w Lipsku. Dworzec kolejowy był olbrzymi, był wypełniony ludźmi - uciekinierami ze wschodu. Patrząc na nich, pomyślałam sobie - bez specjalnej satysfakcji - że oto przyszła kolej na Niemców zapoznać się z rzeczywistością wojny we własnym kraju. Nasz opiekun pilnował nas w kącie dworca, jak najdalej od tłumu. Może obawiał się jakiej reakcji, ale ludzie byli zbyt szafomieni i przybici, żeby reagować. Były to przeważnie kobiety dziećmi i starcy.

Nie pamiętam jak długo podróżowaliśmy zanim wysadzono nas na stacyjce, jakieś 12 kilometrów od Erfurtu. Musiałysmy przejść awalek drogi na piechotę, ale nie za daleko. Nagle znalazłysmy się przed małym obozem ogrodzonym drutami kolczastymi, gdzie utworzono brame i wprowadzono nas do środka. To był, właśnie "Molsdorf bei Erfurt", czyli Oflag IX C. Pare stołów było rozstawionych na placu, blisko bramy. Rewizja. Przetrasnęli, a właściwie przetrzasnęli, bo rewidowały kobiety, wszystkie nasze torby, plecaki i Kieszenie. Moje skarby pod podszewką uszły konfiskaty, ale tym razem nie schowałam numeru "Biuletynu Informacyjnego", który wynisłam z Warszawy, no i zabrali. (Zła byłam na siebie!) Przejrzałam moje papierki z poprzedniego obozu i zarejestrowali pod oryginalnym numerem: 298438, Stalag IV B. Po rewizji, zbliżyły się do nas przedstawicielki jenców i rozprowadziły do kwater. Wszka niestety została skierowana gdzie indziej niż ja, ale chociaż to była niepodzianka i radość gdy zaprowadzono mnie do baraku Peżetek! Był to barak nr.18, w którym kwaterowały moje były komendantki i koleżanki z czasów Powstania.*

Barak był mniejszy niż mój poprzedni w Zeithain. Mieścił kwatery podwójne, piętrowe prycze i dwie pojedyncze, czyli 20 łóżek. W środku był drewniany długi stół, ławy i piec z rurą wychodząca przez dach. Jedno okno było w glebi baraku, drugie na przeciw, koło drzwi. Prawie wszystkie łóżka były zajete, ale jedna prycza pusta - dla mnie - na środkowej pryczy, na piętrowej bok - Wiki! Tak, tu spotkałam znów Wike Szyszkowska, moją "starszą siostrę", "Paule" i jej przyjaciółkę, a pod oknem na dole "mieszkały" kpt."Ina" i kpt."Zofka". Reszta to były były członkinie BIP-u Peżetki, które dopiero tutaj zapoznałam. Pozapominałam już niektórych pseudonimy i nazwiska, ale żadna z współmieszkanek nie zapisała się w mej pamięci ujemnie - przyjemna zmiana po Zeithain. Powitanie było serdeczne, tak jakbym wrociła 'do domu'!

Wika i ja mieszkałyśmy na górnej pryczy po lewej stronie baraku, wchodząc przez drzwi. Pod nami były dwie panie, chyba BIP-u, "Janka" i "Rysia". Prowadziły wspólne gospodarstwo

Wszkie szczegóły z Molsdorf, np. nr. baraku, daty czy wydarzenia oparłam w wspomnieniach współmieszkanek baraku, por."Jurga", czyli Ireny Jurgielewiczowej Strategia czekania, PIW, Warszawa, 1982.

11/56

zachowywały pewną rezerwę w obcowaniu z innymi. Nie mniej, były koleżeńskie i interesujące. Obok nas była prycza kapitanów, na dole, a na gorze spała por. "Jurga" (BIP), przy oknie. Koło drzwi, natomiast, już nie pamiętam jakie dziewczęta spały na dole, ale na gorze były dwie, które stały się "błaznami" baraku, zwłaszcza "Sławka". Jej towarzyszką z pryczy była trochę starsza ode mnie, ale dogadałyśmy się szybko. Miała pseudonim "Ciżemka" (Janina Myszkowska) i zaprzyjaźniłyśmy się na tyle, że na pożegnanie (po wojnie) dała mi swoją fotografię. Na przeciwko od nszych prycz, koło okna, mieszkały "Paula" (Hanna Makowska) i jej przyjaciółka. Reszty nie pamiętam. Zanim jednak rozpiszę się o życiu w baraku nr.18, muszę coś powiedzieć o obozie.

Nie wielki, kwadratowy obóz był podobno założony w szczerym polu jako karny obóz dla Żydów. Otoczony był ze wszech stron wysokim drutem kolczystym i wieżyczki dla strażników sterczły z reflektorami ponad płotem, oświetlając cały obóz nocami. Za płotem rozciągały się pola, kilka wierzb tu i tam, a na północy pagórki. Od zachodniej strony widac było szosę i most, w pewnej odległości. W sroaku zimy wszystko wyglądało szaro i smetnie, tylko łąty sniegu w paru miejscach. Zima 1944-45 roku była zresztą raczej łagodna w tych rejonach Niemiec, które poznałam. Pochmurno i deszcz. Ale przynajmniej nie marzylsmy za nadto. Wracając do krajobrazu, to zawsze z tęsknotą spozierałam poza druty i moj ulubiony widoczek był na północne pagórki, tam gdzie w dali widac było sylwetkę kościoła i zamku. Obiecywałam sobie, że jak już bede 'wolna' muszę dojść do tego zamku - co byłoby namacalnym dowodem, że niewola się skonczyła. Ten widoczek własnie nakreslilam kiedys na papierze z Kriegsgefangenenpost, niewykorzystanego, listu. (Str.73).

W samym obozie, drewniane baraki stały w paru rzędach, nie za blisko jeden od drugiego. Latryny miesciły się w osobnym baraku, zamykanym na drzwi(!), gdzie również znajdowały się przysznice i krany z unmywalniami. Nie było ich wiele, ale dostęp do łazni miałyśmy na codzien. "Jurga" wspomniała, że po przybyciu do Molsdorf, przed samym Bożym Narodzeniem, raz na tydzień Niemcy podłączali gorącą wodę do kranów. Za moich czasów już była tylko zimna woda. Nauczyłam się myć ~~z~~ całe ciało i włosy w zimnej wodzie, jak również przepierać swoje łaszki. Czasem podgrzewalam puszkę wody na barakowym piecu. Grunt, że była woda!

W Molsdorf było około 400-500 kobiet-żołnierzy. Większość to oczywiście były kobiety oficerowie, ale zastałam tam również oddział tzw. "ordynasów". Według genewskiej konwencji, oficerowie mieli przywilej korzystania z usług ordynasów podczas niewoli(!). Nasze władze zastosowały się do konwencji, ale dla specjalnych celów. Tak, nasi ordynansi przynosili kotły z jedzeniem z kuchni na zewnątrz drutów, lub wykonywały podobne obowiązki, żeby Niemcy się nie czepiali. Ale żadna kobieta oficer nie korzystała z usług dla osobistej wygody. Dziewczęta-ordynansi, były starannie wybrane spośród tych najmłodszych, które najwięcej opieki wymagały, lub które miały matki wychodzące do niewoli. Znalazły tę opiekę w Molsdorfie. Większość z nich miała tylko 16 lat. Pamiętam dwie młodociane córki komendanta Powstania w Warszawie, Gen. "Montera".

Nasz Oflag znajdował się pod komendą kapitana Wehrmachtu, a jego żołnierze byli już przeważnie starsi ludzie, nienadający

1/1/57

się do służby na froncie. Ze strony polskiej, komendantką obozu była major "Kazik" (Wanda Gertz; służyła w Legionach), a współpracowały z nią major "Haka" (Janina Karas) i major "Rysia" (Maria Szymkiewicz-Drzymalska). Kapitanowie "Ina" i "Zofka" kierowały zajęciami oświatowo-kulturalnymi w obozie, a kpt. "Helena" (X o ile pamiętam?) pełniła funkcję "meża zaufania". (Nigdy nie mówiło się: żony zaufania!!). Ktoś inny zorganizował i zajmował się 'biblioteką' i ogółem mówiąc, robiło się wszystko, aby wyrwać kobiety z drentwoty biernej niewoli.

Co dzień były dyżurne od rozdzielania i roznoszenia żywności. Część jednego baraku była na to przeznaczona. Jedzenie rozdzielano się na baraki, według stanu zamieszkania. Tak więc na śniadanie, przynoszono do naszej 18-tki pojemnik z gorącą (czasem!) wodą, koloru kawy czy herbaty i chleb - jeden bochenek podzielony na sześć porcji, jedna porcja dla każdej z nas. Wydaje mi się że na początku, czasem dostawaliśmy krążek margaryny lub trochę marmolady z buraków. W południe - obiad. Zupa z suszonej brukwi lub szpinaku - gorzka i nieapetyczna. Ledwie można ją było przełknąć. Na kolację, koło 16-tej - ~~kanary~~ pojemnik z napojem i resztką chleba przydzielonego rano - jeśli się ją zostawiło na potem. Przez jakiś czas, miałyśmy jeszcze zapasy z paczek, zwłaszcza paczek z kraju i tymi uzupełniałyśmy swoją dietę. Prawie nigdy nie było drzewa do rozpalania pieca w baraku (chyba, że się podebrało parę deseczek z pod sienników na przyczach!). Miałyśmy jednak swoje 'piecyki polowe' z puszek i na nich gotowałyśmy gęsta grochówkę, smaczną fasolę, czy kleik.

Każdego dnia, przed śniadaniem musiałyśmy się umyć, ubrać, uczesać, pościelić łóżka i stać na baczność przy pryczy w czasie wizyty żołnierza niemieckiego, sprawdzającego nasz stan ilościowy. W miarę przedłużania się zimy i zbliżającego frontu, strażnicy coraz mniej zwracali uwagę na nasze zachowanie, a źle się czujące dziewczęta zostawały nawet w łóżku. Po "apelu", siadałyśmy wszystkie razem do śniadania. Zwyczajem 18-tki, starałyśmy się jeść pomalutku, i rozmawiać ze sobą uprzejmie. Po śniadaniu, każda z nas mogła. robić co chciała, jeśli nie miała wyznaczonej jakiejś funkcji. Schodziłyśmy się wszystkie na następny posiłek.

Zawsze znalazło się coś do zrobienia, albo coś z gospodarczych zajęć, albo zorganizowane grupowe czynności, lub po prostu towarzyskie rozmówki. Pranie było ważne, bo chciałyśmy utrzymać się czysto, jak tylko się dało. Nie ulega wątpliwości, że zanik menstruacji (od jesieni pośród nas wszystkich ułatwiał zachowanie higieny. Najpierw niektóre dziewczęta się wystraszyły, że są w ciąży! Potem, gdy inne, 'niewinne' znalazły się w podobnej sytuacji, myślałyśmy, że nasza skromna dieta miała wpływ na nasze organizmy. Po wojnie słyszałam, że Niemcy dodawali jakieś hormony czy chemikalia, aby zmienić naszą fizjologię. A więc prądo się przede wszystkim bieliznę i bluzki, no i pończochy jak je ktoś miał. Mydło chyba dostałam w paczkach z Polski - domowej roboty mydło do prania, ale dobre w użyciu. Chodziłam do łazienki najchętniej w ciągu dnia, gdy względnie mało było "klientów". Można było sobie popracować w spokoju, umyć się gruntownie, czy umyć włosy. Gotowanie też zajmowało trochę czasu. Prowadziłam gospodarstwo z Wiką.

3/11/58

W baraku nr.18, pod wpływem naszej starszyny, życie było tak ułożone, by wspólnota mieszkania jak najmniej dokuczała bliźnim, raczej umiała czas. Dlatego jadło się pomału i prowadziło konwersację, dlatego w pewnych godzinach zachowywało się ciszę, dlatego też urządzało się wspólne czytania w długie wieczory zimowe. Książek było sporo w obozie, bo wiele kobiet przyniosło przynajmniej po jednej książce z Warszawy - jak moi "Chłopi". Stąd nawet można było zorganizować bibliotekę w Molsdorfie. W naszym baraku zwykle "Ina", czy "Zofka", ale i inne, zmieniały się w głośnym czytaniu. Zapamiętałam, na przykład wspólne czytanie "Popiołów" Żeromskiego. Podczas czytania, słuchaczki robiły rozmaite cnoty domowe, jak szycie czy cerowanie. Ja robiłam na drutach. Pamiętam, że zdobyłam gdzieś patyczki - na druty, a wełnę sprułam ze starej kamizelki. Teraz dłubałam szalik i rękawiczki, a przede wszystkim miałam zajęcie! "Jurga" wspomniała, że dziewczęta robiły 'druty' z patyczków miotły. Każdy barak został jedną miotłą do sprzątania. Możliwe więc, że ja też obrabowałam miotłę! Późnym wieczorem, gdy nie było światła - bo i świeczki trzeba było oszczędzać - często prosiłyśmy "Paulę", żeby nam coś zaśpiewała. "Paula" знаła moc piosenek, okupacyjnych, powstanczych i ludowych, a miała przyjemny głos. Czasem jej pomagałyśmy. Tu usłyszałam i nauczyłam się śpiewać, między innymi: Kujawiaczka ("Na Kujawach, na szerokich żyznych polach szara leży mgła, ... Kujawiaczek, kujawiaczek na kujawskiej ziemi zali się i płacze ..."), Kołysankę okupacyjną ("... Spij dziecińko, nic się nie odzywaj, spi w mogiłach zakopana broń ..."), "Hej chłopcy, bagnet na broń" i wiele innych piosenek. Pamiętam że z zapalem śpiewaliśmy "Jeden nas łączy smutek, jeden łączy ból ..." z entuzjastycznym zakończeniem: "Wrócimy tam, wszyscy razem, młodzi i starzy - napewno! Wrócimy tam, aby zerwać Ojczyźnie kajdany. Wrócimy tam, gdzie nasz dom, gdzie kraj kochany"!

Tymczasem, żywałam się szybko z mieszkankami baraku nr.18, zwłaszcza z najbliższymi sąsiadkami. Wika, jak za dawnych czasów, była zawsze serdeczna i opiekuncza. Nieraz przed spaniem gaworzyłyśmy, szepcąc aby innym nie przeszkadzać, do późnej nocy. Ciekawe, że o tym co było sercu najbliższe, o "legendzie" sierpniowej i późniejszej tragedii, mało mówiłyśmy. Natomiast Wika chętnie słuchała moich opowiadań o domu i rodzinie i sama wspominała swoje dzieciństwo i lata przedwojenne. Jej ojciec był inżynierem od dróg czy kolei (?) w Rosji. Tam przeżyli rewolucję i później wrócili do Polski. Matka jej wcześniej umarła, ojciec znow się ożenił. W 1944-45 roku, ojciec już nie żył, miała tylko macochę i pół-siostrę - obie wywiezione do ZSSR, a mąż był w obozie jenieckim w Niemczech. Może właśnie dlatego, że jej własna rodzina była tak nieliczna i rozsypana, Wika z przyjemnością słuchała o mojej rochanej Rodzinie, a mnie się wtedy wydawało, że nie byłam tak strasznie daleko od nich! "Janka" i "Rysia" na dolnej pryczy czasem włączały się do naszej 'wspólnoty', były dowcipne i inteligentne. (Możliwe, że były Żydówkami, ale o tym się nie mówiło.) "Ina" i "Zofka" były wszystkim życzliwe i dbały o dobro szczególnie młodej braci, ale też pilnowały pewnej dyscypliny (raczej dyscypliny ducha, nie wojskowej!) i nadawały ton naszemu współżyciu. "Jurga" trzymała się trochę na uboczu, potrzebowała samotności może więcej niż każda z nas. A obok była "Ciżemka" i "Sławka" (nie moja kuma z Powstania, "Sława").

Te dwie towarzyszki dołączyły były wspaniałe! "Ciżemka" lubiła żartować, a dla mnie była specjalnie serdeczna. Twierdziła,

3/1/59

za nadaje się na jej bratową i gorąco zachwalała swojego brata-powstańca, Jacka. (Spotkałam go we Włoszech, w 1946 r., za późno bo już znałam Staszka. A potem dowiedziałam się w Warszawie, że Witold Celler jest serdecznym przyjacielem Jacka, który obecnie mieszka w Stanach Zjednoczonych!) "Sławka" natomiast była naszym blaznem. Podczas alarmów, gdy samoloty alianckie przelatywały nad obozem, nie wolno nam było wychodzić na zewnątrz i musiałymy siedzieć w barakach, aż do odwołania alarmu. To zarządzenie miało pewne podstawy - zanim przyjechałam do Mulsdorfu, podobno odbywała się walka powietrzna nad obozem i gdy dziewczęta wybiegły na plac oglądać widowisko, "odpadki" z nieba zabiły jedną i poraniły kilka innych. Za moich czasów, parę rannych przebywało jeszcze w szpitalu niemieckim, w Erfurcie lub Weimarze. Otoż "Sławka", znudzona życiem obozowym, wybiegała podczas alarmów do latryny. Twierdziła, że musi. W konsekwencji, choć nie była przez Niemców zauważona, nasze własne władze obozowe potępiały jej wybryki. Za każdym razem była wzywana do raportu karnego. Wtedy my wszystkie w baraku, nawet nasze kapitan, starałyśmy się ją ubrać jak najbardziej po wojskowemu - każda miała jakąś wojskową część garderoby (furażerkę, pas, spódnice itp.), którą chętnie pożyczaliśmy 'skazanej' - i potem czekaliśmy z niecierpliwością na powrót "Sławki". Wraciała niby ze skruszoną miną, ale jak nam zdawała sprawę z przebiegu raportu, zasmiewaliśmy się do łez! "Ina" i "Zofka" były napewno bardzo zasłużone akaczki i oddane całym sercem naszej sprawie, ale nie uznawały zewnętrznych form wojskowych - bo takie były nie istotne w czasie konspiracji - i za to wspominam je czule.

Moje towarzyskie kontakty nie były zresztą zacieśnione do naszego baraku. Pamiętam, że odwiedzałam barak "ordynasów" i wśród rówieśniczek spotkałam miłe towarzyski. A poza tym, spędzałam z Myszką dużo czasu. Myszka mieszkała w baraku na północnym końcu obozu, koło bramy. To z jej baraku patrzyłam się tęsknie na zamek w oddali i tam marzyłam o wolności, rysując widoczek. Uczęszczaliśmy też gorliwie na wszystkie wykłady i pogadanki organizowane w obozie przez "Inę" i "Zofkę". Wkrótce zostałyśmy znaną parą słuchaczek, która latała od baraku do baraku żeby nic nie przeoczyć! Moje notesiki i karteluski z Silberne Rose bardzo się przydały na robienie notatek, bo brak papieru w obozie był ogólny. Czasem ja zapisywałam notatki, czasem Myszka, która zresztą miała dużo 'lepsze' pismo ode mnie! (Te notatki mam nadal w zbiorze pamiętek).

Większość kobiet-oficerów w Mulsdorfie to były osoby dojrzałe, wiele z uniwersyteckim wykształceniem o szerokim zasięgu - lekarze, nauczycielki, bibliotekarki, artystki i inne. Miały więc dosyć fachowych wiadomości, aby się z nami młodymi niemi dzielić. Według moich notatek, słuchaliśmy wykładów na różne tematy: z geografii, psychologii, ziemioznawstwa i chemii organicznej, z rolnictwa, historii Europy w XVII w., rozwoju szkolnictwa w Polsce (wiek XVII), a na jednej stronie notesika znalazłam nawet zapiski o organizacji armii polskiej. "Jurga" napisała w swoich wspomnieniach, że uderzyła ją bierność słuchaczek zorganizowanych pogadanek. W mojej pamięci, jednak, zakodowałam wielką wdzięczność i dużo przyjemności, które Myszka i ja odczuwaliśmy jako 'uczennice'.

3/11/60

W marcu zorganizowano widowisko dla całego obozu - śpiew, taniec i deklamacja. Moim udziałem było śpiewać w chórze i zbiorowe deklamowanie, z małą solo rolą. Śpiewaliśmy rozmaite piosenki ludowe, a potem "Jeszcze jeden mazur dzisiaj", gdy kilka par odtanńczyło właśnie mazura. (Pierwszy raz zobaczyłam mazura 'na żywo', choć zawsze słyszałam jak ładnie Mamusia tanńczyła go za dawnych lat!). Zatańczono również kujawiaka i krakowiaka, a chór śpiewał do tańca. Potem deklamacja. Wybrano "Moją piosnę wieczorną" Kasprowicza. (Zapisałam całość na arkuszu Kriegsgefangenenpost). Część deklamował chór, reszta była podzielona na indywidualne głosy. Ja byłam piszczalczką - "A grajże mi piszczalczko, a grajże mi graj ...". Smutek wiersza i malowniczy opis polskiego krajobrazu zrobił duże wrażenie na wszystkich. Po wielu próbach, nadszedł dzień wykonania widowiska przed publicznością. Barak był wypełniony po brzegi, tylko w środku zostawiono miejsce na 'scenę', a chór stał na ławach (pary poziomów) w kącie. Nawet obecność Hauptmana (komendanta obozu, który przyszedł pewno sprawdzić co robimy!) nie popsuł nastroju. Widowisko się udało, a dla nas które brałyśmy udział w przedstawieniu, stało się pamiętnym przeżyciem.

Tak więc dni miałam wypełnione pozytywnie i żyłam w przyjaznym gronie, ale noce były nieraz czarne - nie tylko pod względem braku światła. Rozmyślałam o domu, o losie mojej rodziny i tak tęsknilam do Mamy! Leżąc cicho rozpamiętywałam rodzinną przeszłość, myśląc o Mamie, Ojcu, Marku, Tereni, Jedrku i Janku ... Przykro mi było, że byłam niecierpliwa i koncentrowałam się na własnych planach pod koniec mego pobytu w domu. Tak bardzo chciałam teraz ich wszystkich uściskać i powiedzieć jak serdecznie ich kocham! A myśląc o przeszłości, zaczęłam sobie również zdawać sprawę z tego jak wiele szczegółów zatarło się w mej pamięci zwłaszcza z okresu okupacji i częściowo z czasu Powstania. Na przykład, nazwy ulic w Lublinie nie mogłam sobie przypomnieć, jak również wielu Pezetek z "Koszty". (Nawet po wojnie, w rozmowie z rodzeństwem, nieraz zauważałam, że pewne 'wspólne' przeżycia z Dąbia, pamiętałam jak przez mgłę, jeśli w ogóle). Widocznie silne wstrząsy w czasie Powstania, a potem dyfteryt w Zeithain, wymazały dużo z mej pamięci. Dzieciństwo w Górze i Wejherowie, zapamiętałam dużo lepiej. Czasem śniło mi się, że wracałam do Góry. Góra stała się symbolem wolności. W miarę upływu czasu, gdy nasze prywatne zapasy się skończyły, a zupki obozowe były coraz paskudniejsze i 'chudsze', sny stały się bardziej prozaiczne, o jedzeniu! Kiedys' przysnił mi się powrót do Dąbia. Zastałam całą rodzinę w kuchni i poczułam cudowny zapach smażonego boczku z jednym (!) jajkiem, dochodzący z patelni na rozpalonym piecu. I wtedy, pamiętam, Mamusia zwróciła się do wszystkich i powiedziała, że Hanka właśnie wróciła z obozu i to jajko powinno być dla niej. (Dzisiaj przepraszam Was wszystkich, bo w 1945 roku pewnie nieraz byliście też głodni!) Za nim zdarzyłam zjeść jajko z boczkiem, obudziłam się i cicho rozpłakałam. Nie tylko dlatego, że nie zaspokoiliam głodu, ale przede wszystkim, że nie było rodziny przy mnie!

Chociaż listy już nie dochodziły do nas w Molsdorfie, nie byłyśmy zupełnie pozbawione wiadomości ze świata. Najlepszym źródłem nowinek stała się "Jurga". Chadzała samotnie na spacery wzdłuż drutów i niebawem nawiązała kontakt ze starymi żołnierzami Wehrmachtu, którzy pilnowali obozu na zewnątrz. Znała niemiecki

T/1/6A

dobrze i nawiązała kontakt z Niemcami, którzy też już dosyć mieli wojny. Jakiś stary żołnierz pocieszał kiedyś "Jurge", że "Hitler kaput" i niedługo wszyscy wrócimy do domu. Z tego też źródła dowiedziała się o zbliżających się wojskach alianckich z zachodu. Jakoby Amerykanie przebili się klinem pomiędzy pozycje niemieckie i szli w naszym kierunku. Z drugiej strony, usłyszaliśmy także, że Czerwona Armia posuwała się szybko na zachód. "Jurga" dzieliła się z nami wszystkimi nowinkami, a my interpretowaliśmy je po swojemu. Ciągle nie byliśmy pewne, która armia nas wyzwoli. Wołaliśmy żeby to były zachodnie wojska. W naszej wyobraźni żołnierze alianccy byli prawie jak rycerze na białych koniach - szlachetni, dzielni, wspaniali! Nocami slychac było flotylle alianckich samolotów nisacych zagładę niemieckim miastom, a od 25 marca dochodziły z dala grzmoty dział armatnich (wdł. książki "Jurgi"). Koniec był blisko.

Pamiętam, że była Wielkanoc, ale prawie nic poza tym. Kiedyś przyjechał ksiądz i odprawił Msze Św. z ogólnym rozgrzeszeniem. Zaraz po Wielkanocy, 3 kwietnia (wdł. "Jurgi"), nastąpiła pierwsza pośpieszna ewakuacja obozu. "Jurga" pisze, że kazano nam wyjść tak jak stałyśmy, bez rzeczy i oddalić się od obozu do odległego lasu. Tam spędziliśmy całe popołudnie, zmarznięte i głodne, ależiza drutami! Widziałyśmy z miejsca postoju jak wysadzono most na szosie, a potem walkę samolotów nad obozem! Wieczorem pozwolono nam wrócić do obozu. Wiele baraków było uszkodzonych, łącznie z 18-tką. To nas zreszta nie zmartwiło. W nocy Niemcy kazali nam się spakować i przygotować do marszu. Nie posiadałam za wiele rzeczy więc pakowanie było łatwe. Ale niektóre koleżanki wybierały co zabrać ze sobą, a co zostawić w obozie. Ja znalazłam miejsce nawet na książki.

Tymczasem Niemcy rozdzielili paczki z Czerwonego Krzyża, których nam wcześniej nie wydali, na porcje dla wszystkich jenców. Stawiliśmy się w ogonku do stołów, na których leżały te porcje. Każda dostała swoją i zajęłyśmy miejsca w kolumnie gotowej do wymarszu. Z dala błyskały działa i nadzwyczajny huk dochodził od strony szosy. O 4-tej godz. rano, dnia 4 kwietnia, opuściliśmy Molsdorf na zawsze. (Wszystkie szczegóły z książki "Jurgi"). Nie oglądałyśmy się do tyłu. Żegnaj obozie, żegnajcie druty kolczaste! Wyzwolenie wydawało się tak blisko.

W DRODZE KU WOLNOSCI

Nasi opiekunowie poganiali, abysmy szły jak najprędzej. Chcieli byśmy doszły do bezpiecznego lasu w jak najszybszym czasie. Maszerowałyśmy w kierunku południa lub na południo-zachód. 'Mój' namiot został na północy - nie było mi dane przejść koło wymażonego symbolu wolności! Ale w miarę jak robiło się jasno na świecie, rozciągnęły się przed nami piękne widoki. Nie przypuszczałam, że Turynia była taka malownicza. Molsdorf, położony na południe od Erfurtu i Weimaru, nie odznaczał się pięknem okolicy. Teraz, szliśmy ścieżką ponad głębokim jarem, w korycie którego płynęła mała rzeczka, a dalej na horyzoncie widać było lasy na falistym terenie i od czasu do czasu pokazywał się średniowieczny zamek na szczycie wyższego pagórka. Trawa i krzewy przy ścieżce zieleniły

się wiosenną barwą. Słońce wyszło jasne i ciepłe, było jak w bajce!

3/11/62

Z początku maszerowaliśmy rażno, podniecone przygodą, świeżym powietrzem i widokami. Po jakimś czasie, zrobiło się dosyć gorąco, a tu i tam, zmęczone podróżniczki zaczęły zostawać w tyle. W końcu, Niemcy pozwolili zatrzymać się na krótki odpoczynek. Niektóre z towarzyszek raz jeszcze przejrzały swoje manatki i pozbywały się mniej potrzebnych rzeczy, aby zmniejszyć ciężar tobołków. Wtedy i Myszka zdecydowała się rozstać z jednym jaskiem, bo miała dwa i spytała czy ja bym chciała to zabrać. Zgodziłam się chętnie. Nie miałam poduszki, a w moim plecaku było dość miejsca na jasiak. (Ten jasiak służył mi przez wiele lat - do 1993 roku!) Ledwie trochę odsapnęliśmy, trzeba było iść dalej. Ścieżka prowadziła cały czas pod górę, więc nie posuwałyśmy się zbyt szybko.

Pewno już południe się zbliżało gdy doszliśmy do lasu. Tu mogłyśmy długo odpoczywać, bo dalszy marsz miał się odbyć wieczorem. My z 18-stki trzymałyśmy się razem. Zjadło się coś z 'żelaznej porcji', poczym niektóre wyciągnęły się na kocach, inne rozglądały się po koczowisku. Ja należałam do tych ostatnich. Znowu niespodzianka - przepiękny liściasty las, taki jaki zapamiętałam z okolic Góry, o bogatym zielonym podszyciu i całych dywanach kwitnących przyłasczek! Zrobiło mi się trochę gorzko na duszy, że Niemcy niszczyli nasze polskie lasy, a sami chronili swoje. Trudno jednak było markocić się za długo, gdy naokoło była tak piękna przyroda. Po raz pierwszy od lipca 1944 roku miałam okazję poczuć się blisko natury i po raz pierwszy od 1939 roku znalazłam się w tak uroczym lesie!

Kiedy ruszyliśmy dalej i jak długo szliśmy, zupełnie nie pamiętam. Wiem, że wreszcie doszliśmy do wsi, Hohen-Felden (wdk. "Jurgi") i zapędzono nas do dużej stodoły. Tu spałyśmy na cienko rozrzuconej słomie i żadko wychodziłyśmy na zewnątrz. Sądzę, że nasi 'opiekunowie' dostarczali nam cienką zupkę lub przynajmniej wodę do picia. Każda jeszcze miała resztki porcji żywności z Molšdofu. Zaradniejsze dziewczęta zaczęły handlować z ludnością miejscową. Za papierosy (ja swoje dawno rozdałam) można było dostać trochę mleka, jajek czy chleba. Pare dziwcząt posunęło się za daleko - po prostu ukradły jedną kaczkę i ukreciły jej głowę, by ugotować na obiad. Gdy się nasze władze o tym dowiedziały, była duża awantura (i słusznie!). Karny raport nie wystarczał. Zdaje się, winne 'zbrodni' musiały w jakiś sposób zapłacić gospodarzowi za nieszczęsną kaczkę. W stodole zatrzymałyśmy się na dzień czy dwa. Niebawem znow dostaliśmy rozkaz przygotowania się do marszu.

O ile tak żywo zapamiętałam pierwszą część drogi, wzdłuż rzeki i potem las, teraz byłam chyba tak samo głodna i zmęczona jak prawie wszystkie, a więc i niezdolną podziwiać świat. W każdym razie chyba nie zatrzymywałyśmy się już nigdzie na noc i po iluś tam godzinach dotarłyśmy do miejsca gdzie niskie domki były ustawione w podkowie, tuż koło lasu, a z drugiej strony - prawie na przedmiesciach miasteczka, Blankenheim. Podobno była to kolonia dla Hitlerjugend za 'lepszych czasów', do której przyjeżdżała młodzież na przeszkolenie rolnicze - sądząc po stosach książek na tematy

7/1/63

rolnicze jakie zastałyśmy na miejscu. (Dwie takie książki "zarekwirowałam później, wychodząc z założenia, że Niemcy dosyć wyniszczyli książek polskich!)

W środku był duży plac, obudowany z trzech stron domkami. Czwarta strona przytykała do szosy, która prowadziła z Blankenheim i gubiła się dalej w lesie. Teren był otwarty, bez płotu, czy drutów kolczastych. Niebawem przydzielono nas do różnych pomieszczeń. Pokoje były nie duże, więc tylko po kilka zamieszkało w jednym pokoju. Wika, ja i pare innych z 18-stki zamieszkałyśmy razem w lewym skrzydle, a okno z naszego pokoju wychodziło na łakę pod lasem. Drzwi i drugie okno były od strony placu. Spaliśmy na podłodze, na cienkich materacach, a innego umeblowania nie przypominam sobie w ogóle. Niemcy obchodzili 'obóz' z bronią w rękę i nie wolno nam było wychodzić poza środkowe podworko, ale nie przejmowałyśmy się zbytnio ich obecnością - wiedziałyśmy że wyzwolenie było blisko. Następne pare dni minęły dość monotonię, po prostu czekałyśmy ... i starałyśmy się odpocząć i zwalczać głód.

Odgłosy pobliskiej walki dochodziły do nas co dzień. Nie zdawałam sobie chyba zupełnie sprawy z grożącej nam dalszej ewakuacji. "Jurga" opisała ten niemiecki plan, ale jakoby dyscyplina wśród pilnujących nas żołnierzy już szwankowała. Jeden Wachman zwyczajnie oznajmił, że nie pójdzie dalej - i cały projekt został odrzucony. 12 kwietnia silny obstrzał z 'zachodu' dosięgnął naszej okolicy. Obroncy Blankenheim też nie spali. Wtedy nasza komenda zdecydowała się działać. Hauptman się nie sprzeciwiał. Gdy z lasu opodal wyszły alianckie czołgi, dwie reprezentantki jenców, z białą flagą, zostały wysłane im na spotkanie. Była to ppr. "Litka", jedna z niewielu która znała angielski, oraz por. "Jurga". (Biała flaga była pewno zrobiona z ręcznika?).

Co za przeżycie! Kazano nam leżeć na podłodze, by uniknąć obstrzału, ale nikt nie był w stanie odgonić nas od okien. Z naszego pokoju miałyśmy doskonały widok na to co się działo pod lasem, bo czołgi wyjechały na 'naszą' łączkę. Dwie Akaczki posuwały się wolno, wymachując flagą, czasem musiały upadać na ziemię, by schować się przed kulami. Wreszcie doszły do czołgów. Wtedy, według "Jurgi", zdołały wytłumaczyć aliantom, że przyszły z obozu jenieckiego i prosiły o nie atakowanie naszych domków. Po dłuższej naradzie i skomunikowaniu się z oficerem jednostki, zostały zawiadomione, że mogą wrócić bezpiecznie i że nasz obóz będzie oszczędzany w czasie walki. "Jurga" wspomniała, że pierwszy żołnierz z którym wszczęła rozmowę "Litka", powiedział, że jest Kanadyjczykiem. Może i był, ale w ogóle wojsko, które do nas doszło to był oddział amerykańskie. Trzeciej Armii, dowodzonej przez gen. Pattona - mojego bohatera! "Litka" i "Jurga" wróciły bez szwanku, witane przez nas wszystkie entuzjastycznie. Każda z nas chciała wiedzieć jak się odbyło ich pierwsze spotkanie z alianckimi żołnierzami.

13 kwiecień 1945 roku - dzień naszego wyzwolenia! (Od tego czasu numer 13 stał się moim szczęśliwym numerem.) Tego dnia rano mieszkańcy miasteczka Blankenheim wywiesili białą flagę i zaprzestali obrony. Niemcy, strażnicy obozu złożyli broń i wkrótce nadjechały pierwsze jeepy amerykańskie, pierwsi żołnierze-wybawiciele, których mogliśmy zobaczyć z bliska. Na placu przed domkami, niemiecka flaga została spuszczone z masztu, a polska

3/1/64

flaga wzniesiona wysoko, wysoko! Cudowny, wzruszający moment, na który czekało się tak długo. (Skąd się polska flaga wzięła? Może ktoś ją przemycił z Warszawy, a może została szybko uszyta z odpowiednich 'prześcieradek', czy coś podobnego - nie pamiętam.)
potem, sama radość i zamęt!

Żołnierze alianccy, Amerykanie, wyglądali trochę inaczej niż nasi wymarzeni 'rycerze na białym koniu', ale nie mniej cudowni. Byli to przeważnie wysocy, szczupli mężczyźni, ubrani niedbale w battledressy - jak to na froncie - i żujący gumę! (To ta guma do żucia wydawała się tak dziwna!) Ale twarze ich były przyjazne, oczy jasne i uśmiechy serdeczne. Wydawało się, że byli tak samo szczęśliwi, że nas wybawili, jak my byliśmy z nowo odzyskanej wolności. W dodatku, odrazu po zjawieniu się w naszym obozie, Amerykanie okazali się bardzo hojni w rozdawaniu swoich frontowych zapasów żywności! Każda z nas dostała do ręki puszkę fasoli, tabliczkę czekolady i podobne przysmaki. Pamiętam, że po odebraniu tej porcji, poleciałam na kwaterę, jak wszystkie koleżanki, żeby tam odgrzać puszkę fasoli na piecyku polowym i wreszcie zaspokoić głód! Teraz gotowe byłymy celebrować.

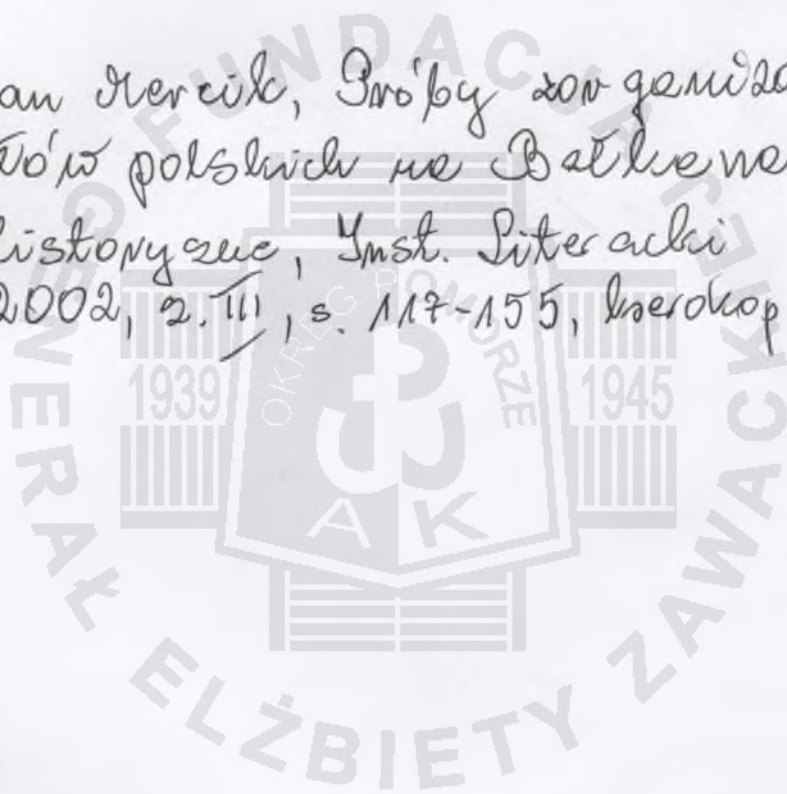
Po odejściu Niemców, z kolei jenców wojennych, największa sala w naszym osiedlu, pewno sala jadalna, była przez nas 'okupowana' i przemieniona w polską gospodę - gdzie miało się odbyć uroczyste uczczenie naszych wybawców. (Pewno i ja jako Peżetka brałam udział w dekorowaniu sali - już nie pamiętam.) Gdy sala była gotowa, otworzyliśmy drzwi dla gości. Tłok był niesamowity, bo każda Polka chciała partycypować, a Amerykanów też przyszło sporo. "Jurga" zapamiętała ten "nieprawdopodobny wieczór - ~~xxxxxxxx~~ Dziecinna wylewność i życzliwość tych ludzi, zachwyt nad naszą postawą, podniecone rozmowy, na stole butelki z alkoholem. Paula gra tanga i piosenki."* Tak, myśmy przygotowały urozmaicenia, Amerykanie przynieśli prowianty i widocznie alkohol. Jak się bractwo porozumiewało, nie mam pojęcia. Tylko pare z nas znało język angielski, ale może paru Amerykanów było pochodzenia polskiego? Przy dobrej woli, porozumienie się nie sprawiało widocznie trudności. Byliśmy 'towarzystwem wspólnej adoracji'! Sama pamiętam z tego wieczoru ogólny przyjazny zamęt i niczym nie zamaconą radość. W którymś momencie, ktoś zaproponował, żebym i ja coś zaspiewała. Wybrałam "Po nocnej rosie", ale, jak to bracia się śmieli, że mam "mysi głos", nie spiewałam dosyć głośno by przebić się przez ogólną wrzawę i "Paula" mi pomogła, czy nawet skończyła za mnie. Wcale mnie to nie obraziło. Byłam taka szczęśliwa! Przez te krótkie chwile zapomniałam o wszystkich troskach tego świata, Nie będzie już głodu, strachu czy upokorzeń - nowa nadzieja w lepsze jutro rosła w sercu.

Fragmenty wspomnień pt. "Po wyjeździe z domu napisane 9.07.1994
udostępnione przez Marię
Szaniędo, Karwał
Lilica Anne 13.01.2003 f

*Strategia Czekania, str.193.

III/1 Materiały dotyczące rodziny
Lylies Amny zam. Głoty:

1. "Staszek Głoty" - fragment z
książki "Polacy w Brytyjskiej
Kolumbii", Vancouver 1988, s. 234-235,
kserokop. k. 5 s. 1-8
2. Walerian Kercik, Próby zorganizowania
oddziałów polskich na Bałkanach,
Zesz. Historyczne, Inst. Literacki
Paryż 2002, 2. III, s. 117-155, kserokop. k. 41 s. 9-49



1
STASZEK HOLLY
(1914 — 1974)

— "Popatrz Hanka, tutaj musimy zbudować dom" — powiedział Staszek pochylając się nad nowo nabytą mapą Kanady rozłożoną na kuchennym stole i wskazując palcem okolice Salmon Arm w Brytyjskiej Kolumbii. — "Spójrz tylko — ciągnął dalej — góry, jeziora, w pobliżu Góry Skaliste... to idealne miejsce dla naszej rodziny."

234
Tekst Hani wspomnień
umieszczonych w książce:
"Palacy w Brytyjskiej Kolumbii"
Vancouver, B.C. Kanada 1988 r.

234

Książka została redagowana
przez Yvonne Kropim'ski, Vancouver



3
III/1/2

W tym czasie, Staszek i Hanka mieszkali w Londynie. Zaczęli myśleć o emigracji do Kanady na jesieni 1947 roku. Staszek napisał w swoim wojennym pamiętniku, że był zainteresowany wyjazdem do Kanady już w 1940 roku. Był wtedy w Jugosławii, w Zagrzebiu, i czekał na okazję zaciągnięcia się do Polskich Sił Zbrojnych na Bliskim Wschodzie. Po raz pierwszy poza ojczyzną, był zafascynowany możliwością zobaczenia świata. Kanadyjskie góry i lasy wydawały mu się wyjątkowo atrakcyjne; rozpoczął też wkrótce naukę języka angielskiego. W 7 lat później, polityczna sytuacja w powojennej Polsce uczyniła emigrację do Kanady realną.

X Żeby zrozumieć Staszka, trzeba pamiętać że był góraliem. Urodzony i wychowany w Zakopanem — sercu polskich Tatr, chciał zobaczyć szeroki świat, ale jednocześnie nie mógł być szczęśliwy żyjąc z dala od gór. Ciche obcowanie z naturą, wspinaczki i wędrówki po górach oraz narciarstwo, były zawsze częścią jego życia. Zawsze był ambitny i ciekawy świata. Mimo, że czasy były ciężkie dla jego rodziny w Zakopanem, zdołał ukończyć w 1937 r. 3-letnie studia w Państwowej Szkole Budownictwa w Poznaniu. Dyplom w dziedzinie architektury i budownictwa dopomógł mu w znalezieniu pracy w jego ukochanym mieście — Zakopanem. Przedtem jednak musiał odbyć służbę wojskową. Po roku podchorążówki w Jarosławiu wrócił do Zakopanego, do pracy przy nadzorowaniu budowy domu wypoczynkowego dla oficerów w Kościelisku.

Gdy 1 września 1939 r. wojska hitlerowskie przekroczyły granice Polski, Staszek bezskutecznie próbował dołączyć do swojej jednostki wojskowej, po czym wrócił do Zakopanego. Został kurierem; wielokrotnie przechodził przez Tatry, aż do czasu gdy Niemcy zainteresowali się jego osobą. Trzeba było uciekać. Po raz ostatni Staszek przeszedł przez Tatry 30 grudnia 1939 roku. Zmierzał do tworzącej się Armii Polskiej we Francji. Niestety, musiał zmienić plany z powodu aresztowania na Węgrzech. W końcu, przez Jugosławię, Grecję, Turcję i Syrię udało mu się dotrzeć do Palestyny, gdzie w sierpniu 1940 r. wstąpił do nowo utworzonej Brygady Strzelców Karpackich.

W latach 1940-42 Staszek uczestniczył we wszystkich trudach i

III/LA/3

zwycięstwach Brygady Karpackiej: brał udział w obronie Tobruku w 1941 r. i w kampanii afrykańskiej 1942 roku. Przeniesienie do Kurdystanu, jakie otrzymał w lipcu 1943 r., w charakterze instruktora wspinaczki wysokogórskiej, było korzystną zmianą otoczenia. Wprawdzie ciekawiły go obyczaje tamtejszych górali, ale i obowiązki instruktora również nie były pozbawione przyjemności. Góry i rzeki nie różniły się zanadto od tych w Zakopanem.

W sierpniu 1943 r. został Staszek przeniesiony do jednostki komandosów (British Special Forces). Po intensywnym treningu w Haifie, który obejmował techniki przetrwania w trudnym terenie i operacje poza liniami nieprzyjaciela, Staszek był gotów do akcji. Pod nazwiskiem Adam Kula (wymawianym przez Anglików "Koula") został zrzucony na spadochronie nad Grecją — niestety nie nad Polską, gdzie miał nadzieję walczyć. Jego pierwsza misja trwała od września 1943 r. do stycznia 1944 roku. Druga misja, też w Grecji, trwała od maja 1944 r. do stycznia 1945 roku. Do zadań Staszka należał sabotaż na tyłach nieprzyjaciela, kontakty z ruchem oporu, a także organizowanie dezercji żołnierzy-Polaków przymusowo wcielonych do armii niemieckiej oraz ucieczek z obozów pracy. Porozumiewał się kilkoma językami. Jego znajomość angielskiego była co prawda wciąż ograniczona, więc pomagał sobie francuskim, którego uczył się w szkole. Z czasem poznał język grecki na tyle, że nie musiał korzystać z pośrednictwa tłumacza. Przeważnie jednak musiał polegać na własnym sprycie, doświadczeniu górskim i umiejętności przetrwania z dala od cywilizacji, w obcym lub wrogim otoczeniu.

Po służbie w Grecji, ranny w rękę i wymagający zastężonego odpoczynku, został Staszek wysłany z Kairu do Włoch, na trzymiesięczny pobyt w szpitalu wojskowym. W maju 1945 r. służył w Marsylii jako oficer łącznikowy między jednostkami polskimi a wojskami sprzymierzonych. Potem ponownie Włochy i szpital. Musiał czekać aż do 1946 r. aby ponownie spotkać się ze swoimi "afrykańskimi" kolegami w 2 Korpusie, i właśnie z tą jednostką przeniesiony został do Anglii późnym latem 1946 roku. Rozpoczął swoją karierę wojskową jako kapral, a zakończył jako porucznik w Wojsku Polskim i kapitan w armii brytyjskiej. Zdemobilizowany został z wyróżnieniami 19 lipca 1948 r. w Halifaxie.

III/1/4

Swoją przyszłą żonę, Hanke (Annę Żylicz), Staszek poznał w lipcu 1945 r. kiedy stacjonował w Marsylii. Jako żołnierz Armii Krajowej, po powstaniu warszawskim, Hanka znalazła się w obozie jeńców wojennych w Niemczech. Wyzwolona przez Amerykanów udała się do Włoch, do pracy w polskich kantynach Y.M.C.A. W rok później wyjechała ze Staszkiem do Anglii, przeniesiona tam razem z całym personelem Y.M.C.A. W lipcu 1947 r. odbył się ślub i wkrótce potem zapadła decyzja o wyjeździe do Kanady.

Staszek i Hanka przybyli do Kanady w lipcu 1948 roku. Po przepłynięciu Atlantyku na pokładzie statku "Nova Scotia" mieli okazję do obejrzenia tego wielkiego kraju podczas długiej podróży pociągiem z Halifaxu do Edmonton. Wszystko było tak ciekawe i nowe, tak ogromne przestrzenie, a tak mało ludzi... ale wciąż nie było gór.

W Edmonton Hanka zajmowała się dziećmi (Barbarą urodzoną w 1948 r. i Jackiem urodzonym w 1950 r.). Staszek próbował pracy w wielu zawodach, większość z nich była jednak związana z budownictwem. Pracował jako kreślarz, jako stolarz w firmie dostarczającej materiały budowlane, a nawet próbował założyć własną firmę. Kiedy ciężko było znaleźć pracę, Staszek pojechał do pracy w kopalni węgla w Albercie. Po tej górniczej przygodzie zdecydował się na przeniesienie do Brytyjskiej Kolumbii. Jego przyjaciel mieszkający w Kelownie namawiał go do przyjazdu i zobaczenia na własne oczy jak żyją ludzie w Okanagan Valley. Poza tym, wydawało się Staszekowi, że jeśli będzie musiał przyjąć jakąkolwiek pracę żeby utrzymać rodzinę, nie będzie to takie przykre w krainie jego marzeń — krainie o klimacie znacznie cieplejszym niż w Albercie.

W połowie zimy 1951 r., nie mogąc już dłużej czekać, Staszek zdecydował się pojechać do Kelowny. Ciężkie warunki drogowe w Kaskadach oraz wypadek w drodze powrotnej nie zmniejszyły jego entuzjazmu. Wrócił do Edmonton przekonany, że nadszedł czas przeprowadzki do Brytyjskiej Kolumbii. W sumie Kelowna nie leży daleko od Salmon Arm, a wygląda tak samo obiecująco. W sierpniu 1951 r. Staszek wraz z żoną, dziećmi i dobytkiem wyruszył do "ziemi obiecanej".

Na początku lat pięćdziesiątych Kelowna była małym miastem, w którym nie było pracy. Staszek pracował w piekarni (w sezonie), razem

III
1/5

z żoną zbierał owoce i ciągle marzył, że któregoś dnia będzie mógł zacząć pracę w swoim zawodzie. Chris (Kuba), najmłodszy syn urodzony w 1953 r., miał zaledwie trzy miesiące gdy Staszek zdecydował się pojechać do Kitimat w poszukiwaniu pracy. Dostał pracę w firmie budowlanej jako kreślarz. Jednak wrócił do rodziny w Kelownie już w lecie 1954 roku. Wciąż nie mógł znaleźć pracy, mimo że próbował we wschodnim Kootenays, gdzie w Radium Hot Springs budowano hotel. Na jesieni tego roku Kitimat wydawał się przedstawiać większą szansę znalezienia zajęcia i Staszek powrócił tam do pracy w dziale robót miejskich. Rodzina przyjechała do niego na wiosnę 1955 roku.

Kitimat dopiero się rozwijał. Złe warunki mieszkaniowe oraz brak drogi, która łączyłaby to miasto ze światem, przyczyniły się do powszechnego uczucia izolacji. Cała rodzina tęskniła za Kelowną. Lasy i góry w okolicy były wprawdzie wspaniałe, ale dzieci były za małe, żeby uczestniczyć w długich wędrówkach; poza tym Kitimat nie mogło zrekompensować utraty przyjemności pływania w jeziorze Okanagan, jedzenia świeżych owoców, słońca i przyjaciół, którzy zostali w Kelownie. W styczniu 1956 r. Hanka z dziećmi wróciła do Kelowny, Staszek przyjechał w kilka miesięcy później.

24. Staszek Holly z rodziną, 1956.



III/1/6

Przez następne 3 lata Staszek pracował poza Kelowną. Prace jakie dostał w tym czasie pomogły mu w ustabilizowaniu jego zawodowej pozycji jako zdolnego i uznanego nadzorca budowlanego współpracującego z różnymi architektami na wielu budowach. Pierwszą z nich była w 1956 r. praca w Kootenays, u Paula Smitha, architekta z Trail. Był to budynek rządowy w Trail, szpital w Invermere i kilka szkół we wschodnim Kootenays. Potem była praca przy budynku rządowym w Dawson Creek zaprojektowanym w 1957 r. przez architekta z Vancouveru — F.T. Hollinswortha, a następnie budynek rządowy w Port Alberni, zaprojektowany przez architektów z Victorii — Wade, Stockdill, Armour i współników.

Od czasu do czasu rodzina Staszka przenosiła się z miejsca na miejsce na czas kilku miesięcy. Po każdej takiej przeprowadzce stawało się coraz bardziej jasne, że dla dobra dzieci trzeba wreszcie osiąść w jednym miejscu na stałe. Dwoje starszych dzieci było już w wieku szkolnym, a ciągłe zmienianie szkół stwarzałyby problemy. W styczniu 1957 r. Staszek kupił stary dom i 10 akrów ziemi tuż za granicami miasta Kelowna, w okolicach Okanagan Mission. Nazwany "Święte Domostwo", stał się wspaniałym miejscem dla całej rodziny. A po następnych dwóch latach Staszek znalazł wreszcie pracę w Kelownie!

W latach sześćdziesiątych Kelowna szybko się rozbudowywała, powstawały nowe szkoły, centra handlowe, budynki rządowe i kościoły. Staszek pracował na wielu z tych budów, początkowo u Johna Woodwarda i Keitha Davisona, potem u George'a Barnes'a — architektów z Kelowny. Na jednej z budów J. Woodwarda, Staszek poznał konstrukcję chłodni owocowych budowanych w kooperacji z firmą z Yakimy (ze stanu Washington), następnie został ekspertem w tej dziedzinie. W ciągu ostatnich sześciu lat życia zaprojektował kilka domów, stosując innowacyjne rozwiązania konstrukcyjne. Staszek zrezygnował z pracy w 1972 r., po zakończeniu pierwszej fazy budowy Orchard Park Shopping Centre w Kelownie.

Kiedy Staszek osiadł na stałe w Kelownie, prawie cały swój wolny czas przeznaczał na aktywny wypoczynek na świeżym powietrzu. Uwielbiał jazdę na nartach z synami, był doskonałym pływakiem, lubił wyprawy myśliwskie (bez zabijania zwierzyny), uwielbiał pracę w ogrodzie (słoneczniki i dalej były jego ulubionymi kwiatami) lub



25. Arch House w Kelownie, 1971. Słoneczniki i dalie.

camping z rodziną w Górach Skalistych. Jednocześnie lubił jeździć na ryby, zwłaszcza łowić je "na muchę" w licznych górskich jeziorach w pobliżu domu. Po pierwszym zawale serca w 1963 r. musiał zaniechać wielu z tych rozrywek, ograniczając się tylko do łowienia ryb.

Zawsze lubił przyrodę Brytyjskiej Kolumbii. Zaprojektował domek i zamierzał wybudować go na nowo nabytym kawałku ziemi w okolicy Beaverdell (ok. 90 km. na południowy wschód od Kelowny), z dala od miasta i blisko jego ulubionych gór i jezior. Beaverdell było ostatnią miłością Staszka, tam znalazł spokój i bliskość natury, których tak zawsze potrzebował. Chris, najmłodszy syn, właśnie zakończył budowę fundamentów pod domek w Beaverdell (pod nadzorem ojca), gdy Staszek zmarł.

Staszek zmarł w październiku 1974 roku. Budynki, których budowę nadzorował wciąż stoją. Pamięć jego osiągnięć i umiłowanie przyrody jest wciąż żywa. Przyjaciele będą pamiętali chwile, które spędzili razem ze Staszkiem w czasie wypraw wędkarskich. Byli pracodawcy i koledzy

po fachu poznali się na jego umiejętnościach, wielu z nich stało się jego przyjaciółmi, jak np. dr Loyd Hunter, prezydent firmy z Yakimy produkującej chłodnie dla farmerów w Okanagan Valley.

Członkowie rodziny też zawsze będą pamiętać, że Staszek żył pełnią życia w Kanadzie. Bywało ciężko, ale miał swój cel. Choć nigdy nie przestał kochać Polski i polskich Tatr, znalazł swe miejsce i cel w Brytyjskiej Kolumbii. Jego największą zasługą było nauczenie swojej rodziny czucia się w Kanadzie jak "u siebie w domu".

Barbara mieszka wraz z rodziną w Delcie, B.C. (ulubionymi kwiatami jej męża są dalie!).

Jack, po studiach na UBC został nauczycielem i mieszka wraz z rodziną w Kelownie, korzystając z każdej okazji aby uczyć swoje dzieci i dzieci w szkole doceniania wartości przebywania na świeżym powietrzu. Lubi także w wolnych chwilach jeździć na ryby.

Chris, po sześciu latach w Beaverdell, gdzie pracował i dokończył rozpoczęty przez ojca heksagonalny domek w lesie, ukończył studia w Albercie i teraz mieszka z rodziną w Edmonton. W jego planach jest dokończenie studiów z dziedziny administracji publicznej na Uniwersytecie w Victorii. Ponad wszystko inne, Chris marzy (tak jak jego ojciec przed laty) o przeniesieniu się do Brytyjskiej Kolumbii. Chce być blisko Beaverdell — blisko wszystkiego co spokojne i piękne w tej prowincji.

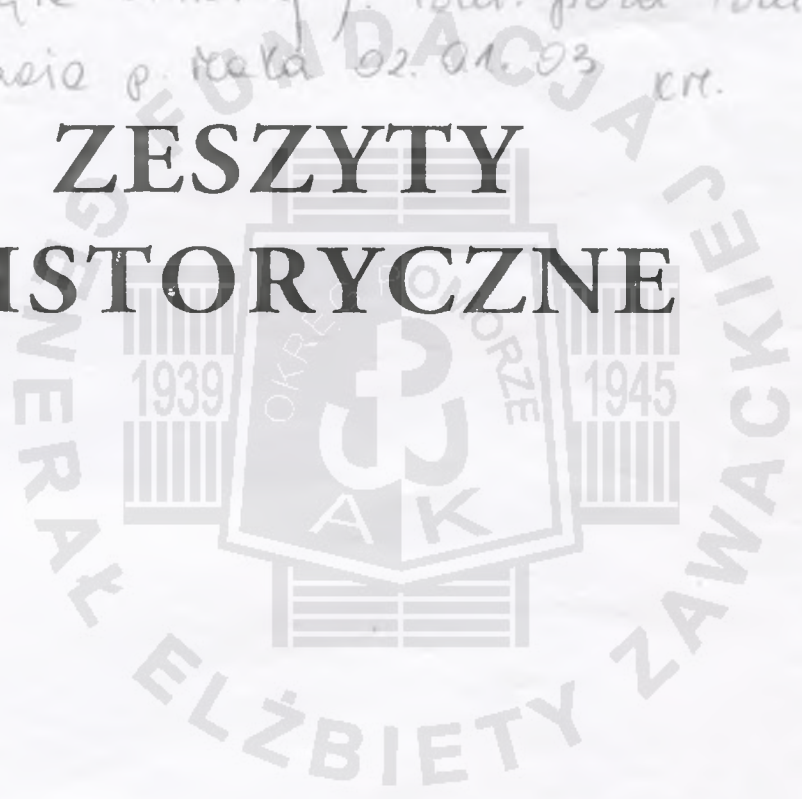
Hanka Holly

III/11/9

ZESZYT STO CZTERDZIESTY

Do pamięci Anny Żylicz (tekst dot. uśm. jej męża S. Hottly). Powr. pona Powr. przebieg p. 02. 01. 03 etc.

ZESZYTY
HISTORYCZNE



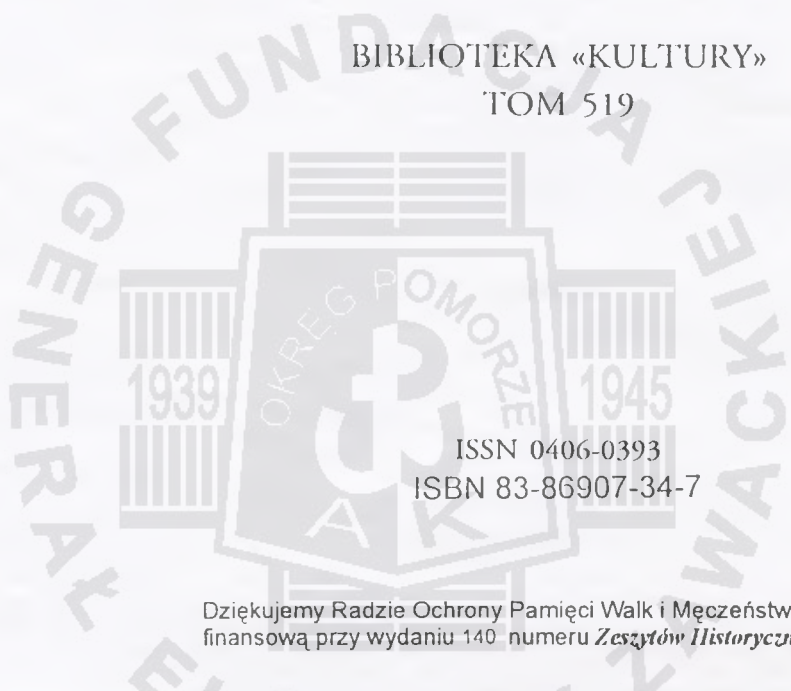
INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
2002

III/1/10

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 519



ISSN 0406-0393
ISBN 83-86907-34-7

Dziękujemy Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa za pomoc finansową przy wydaniu 140 numeru *Zeszytów Historycznych*

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Wydanie krajowe:
Towarzystwo Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 1, pok. 0103
tel./fax 8243588, tel. 8243800

Druk: Drukarnia «Efekt», ul. Lubelska 30/32, Warszawa.

III/1/11

DOKUMENTY

Pplk dypl. Walerian MERCIK

PRÓBY ZORGANIZOWANIA ODDZIAŁÓW POLSKICH NA BAŁKANACH* CZĘŚĆ III

W Grecji

Na wstępie – podobnie jak to uczyniłem w Części I i II („W Jugosławii” i „W Albanii”) – przedstawiam pokrótce sytuację polityczno-wojskową, jaka była w Grecji w czasie okupacji przez państwa osi (Niemcy, Włosi, Bułgarzy).

Sytuację tę scharakteryzowałem w mym raporcie pt. „Sytuacja powstańcza na Bałkanach” L. 553/43 z dn. 24 XI 1943, który złożyłem Naczelnemu Wódzowi w czasie jego pobytu na Środkowym Wschodzie – o czym wspomniałem już w cz. I.

Wydaje mi się, że najpraktyczniej będzie, jeśli odpowiednio ustępy z tego raportu tutaj powtórzę, gdyż był to taki obraz Grecji okupowanej, jaki wtedy sobie wyrobilem.

I. „W Grecji, podobnie jak w Jugosławii, ale jeszcze w większym stopniu, państwa osi nie opanowały całego kraju, ograniczając się do Peloponezu, wybrzeży i wysp, a na reszcie obszaru do linii komunikacyjnych oraz rejonów większej produkcji rolnej i przemysłowej¹.

* Ciąg dalszy relacji Waleriana Mercika zamieszczonej w *Zeszytach Historycznych* nr 139. Dokończenie nastąpi w numerze 141.

1. Jedynie Bułgarzy swój obszar okupacyjny spacyfikowali i obsadzili całkowicie.

III / 1 / 12

Istnieją więc wielkie połacie kraju, gdzie nie postać dotychczas noga żadnego z okupantów. Przyczyny takiego stanu rzeczy to:

- górski charakter kraju i bezdroża, co utrudniałoby niezmiernie zaopatrzenie garnizonów, nie mogących w górach żyć z eksploatacji miejscowej,
- gwałtowna reakcja górali greckich w stosunku do wysyłanych początkowo małych oddziałów,
- konieczność ograniczenia ilości wojsk okupacyjnych do niezbędnego minimum.

Ruchem wyzwoleniczym w Grecji kieruje organizacja polityczna EAM – złożona początkowo z przedstawicieli kilku stronnictw. Z czasem jednak komuniści, zorganizowani lepiej, bardziej bezkompromisowi i umiejący pracować w warunkach konspiracyjnych – ujęli ster w swe ręce, likwidując prawie całkiem przeciwników.

Wojskową siłę stanowią tzw. Andartes, którą to nazwą określają Grecy wszystkie oddziały walczące – bez względu na zabarwienie polityczne. Cała wolna Grecja popiera Andartes, którzy teoretycznie są organem wykonawczym EAM. Wśród nich jednak nastąpiło w ostatnich latach wyraźne rozdwojenie: na organizację wojskową: ELAS dowodzoną przez gen. Sarafisa – którą EAM oczywiście przede wszystkim popiera, i na organizację wojskową EDES o zabarwieniu narodowym, dowodzoną przez gen. Zarvasa. W porównaniu z ELAS są to siły niewielkie, grupujące się przede wszystkim w Epirze.

Podobnie jak do niedawna² w Jugosławii, tak i w Grecji obecnie, działalność wojskowa Andartes kieruje się nie tyle przeciw okupantom, ile przeciw oponentom, tj. ELAS przeciw EDES.

Leaderzy komunistyczni zdają sobie sprawę, że nie reprezentują ideologii większości społeczeństwa greckiego i starają się przez terror uchwycić władzę całkowitą w momencie ustępowania okupantów. Na ten moment przygotowani są lepiej niż jakikolwiek odłam polityczny i właściwie tylko oni posiadają swoją organizację tajną na obszarach okupowanych (miasta, porty, przemysł).

Co do okupantów to – największy terror stosują Bułgarzy (na obszarze przez nich zajętych nie może być mowy nawet o ja-

2. Pisałem to w czasie, kiedy między partyzantami a czetnikami w Jugosławii był pewnego rodzaju rozejm.

kiejkolwiek organizacji powstańczej), a najbardziej zniechęceni są Włosi, których pewna ilość pozostała wierna Mussoliniemu".

II. Do tych to „partyzantów” greckich ELAS władze brytyjskie w Kairze (SOE) wysłały swe liczne Misje celem opanowania i kierowania całym ruchem oporu w tym kraju.

Warunki geograficzne (bliskość do wybrzeży Afryki) w przeciwieństwie do Jugosławii, a ściślej do czetników – ułatwiały i umożliwiały obfite zaopatrywanie ELAS w broń i pieniądze (złoto). Zrzuty powietrzne były stosunkowo częste i obfite.

Miały one umożliwić działania dywersyjne przeciw okupantom, obliczane na wielką skalę przez ELAS. W rzeczywistości zarówno działania dywersyjne, jak i sabotażowe były bardzo nieliczne wymuszane na ELAS lub opłacane w złocie. Przeważnie zaś wypadki dywersyjne bojowe były organizowane i kierowane przez oficerów Misji Brytyjskich, a wykonywane rękami wszelkiego rodzaju zbiegów-dezertersów, grupujących się przy Misjach (Polacy, Czesi, zbiegli z niewoli jeńcy alianccy, Austriacy, Francuzi i Rosjanie).

Dowódcy oddziałów ELAS sabotowali usiłowania Misji w bardzo szczególny sposób. Oto nieraz, kiedy zorganizowany oddział dywersyjny zbliżał się do wyznaczonego obiektu – spotykał w drodze delegacje ludności z danej miejscowości, która prosiła dowódcę oddziału, by nie napadał na Niemców, gdyż później czekają ich za to represje w różnej formie. To oczywiście wiązało całkowicie ręce takiego dowódcy, gdyż niewątpliwie była w tym część prawdy – i wyprawa nie dochodziła do skutku. Było rzeczą jasną, że współpracujący z Brytyjczykami dowódcy ELAS prowokowali tego rodzaju „delegacje”.

W innych zaś wypadkach po prostu zdradzano Niemcom swe własne (wzgl. narzucone przez Brytyjczyków) zamiary tak wcześniej, że wszelki element zaskoczenia odpadał, wskutek czego musiano z akcji zrezygnować.

W późniejszej fazie działań wojennych (1944 r.) – kiedy widocznie władze brytyjskie w Kairze wiedziały już, że tzw. drugi front powstanie na Zachodzie i że większa operacja na Bałkany nie jest przewidziana – Misje Brytyjskie wysiłek swój skierowały głównie na penetrację (*subversion*) do oddziałów niemieckich, by przy pomocy elementów niemieckich wywołać bunt w odpowiednim momencie i opanować Bałkany przy jak najmniejszym udziale jednostek alianckich.

111/11/111

III. Impulsem do zainteresowania się terenem greckim były dla mnie – podobnie jak to miało miejsce w stosunku do Jugosławii – wiadomości, że wśród oddziałów niemieckich (Wehrmachtu i org. Todta) znajdują się Polacy. Z czasem doszły też wiadomości, że pojedynczy polscy dezercerzy znajdują się w niektórych oddziałach „Andartes”.

Wiadomości te otrzymałem z Wydz. SOE w Kairze, do którego zwróciłem się z prośbą o zapytanie o to swych Misji w Grecji – wychodząc z założenia, że jeśli Polacy są w Jugosławii – mogą być również w Grecji.

W owym czasie (czerwiec 1943 r.) tworzyłem placówkę „Drawa” w Jugosławii, która prócz zadań łączności z Krajem miała za zadanie wyszukiwanie i ewentualnie organizowanie Polaków przy czetnikach.

Miałem już wtedy za sobą okres dyskusji z Szefem Oddz. Spec. na temat tych zadań i było dla mnie jasne, że jedynie co Szefa Oddz. Spec. interesuje – to łączność z krajem.

Na utworzenie placówek łącznikowych Nr 2 (w pld. Serbii) i Nr 3 (w Albanii) nie miałem jeszcze zgody moich przełożonych. Zdawałem więc sobie sprawę z problematycznej użyteczności placówki łącznikowej w Grecji – jako zbyt odległej od „Drawy”.

Zę strony zaś brytyjskiej, która oczywiście interesowała się, po co poszukuję wiadomości o Polakach w Grecji – stawiano mi warunek, że ewent. wysłany tam polski oficer musiałby głównie szukać kontaktu z Polakami w Wehrmachcie, by ich wciągnąć w robotę sabotażową.

O takiej to sugestii zameldowałem mu depeszą L. 215 z dn. 23 VI 43 i uzupełniłem dalszymi informacjami w depeszy L. 221 z dn. 26 VI 43.

Otrzymałem odpowiedź odmowną (dep. L. 3171 z dn. 26 VI 43), o czym, rzecz prosta, powiadomiłem Wydz. SOE.

Doszedłem jednak do wniosku, że nie można całkowicie zneglizować faktu obecności Polaków w Grecji i że fakt ten powinien być w jakiś sposób wykorzystany, jeśli nie dla dalszych bezpośrednich polskich interesów (łączność z Krajem), to dla ogólnych celów wojny.

Wtedy to ustaliłem sobie ogólnie plan, o którym piszę w rozdziale „Jugosławia” – tj.:

– „by w momencie katastrofy ogólnej dla osi znaleźli się wszędzie nasi «emisariusze-konsulowie», którzy natychmiast zaopiekowaliby się tymi ofiarami losu (mowa o Polakach wziętych

III/11/15

przymusowo na roboty) i wystąpili z odpowiednim żądaniem w stosunku do ewent. wkraczających, zwycięskich wojsk alianckich, by nie dopuścić do jednakowego traktowania ich z Włochami, Chorwatami, Słowakami, Holendrami i innymi Ukraińcami”.

Nie uważałem też za niedopuszczalne użycie ich do wywołania na tyłach „fortecy” niemieckiej jakiegoś buntu – oczywiście w nakazanym z góry momencie.

Ten plan ogólny podałem Szefowi Oddz. Spec. w załączniku do sprawozdania L. 245/43 i w depeszy L. 258...

Na wszelki wypadek też rozglądałem się za kandydatami do tej pracy.

O zgodzie mych przełożonych dowiedziałem się przez Wydz. SOE, dowiedziałem się też, że zgoda ta nastąpiła na skutek interwencji Brytyjczyków.

IV. Prócz zgody Szefa Oddz. Spec. na samo wysłanie oficera do Grecji nie otrzymałem żadnych wytycznych co do jego zadań, a tylko zastrzeżenia jak: „bez własnego radia lub naszych szyfrów zabraniam zaangażowania się w robotę sabotażową”. (Sprawę łączności radiowej oficerów w terenie z Londynem wzgl. Kairem przedstawiłem w rozdziale „Jugosławia”).

Zdecydowałem się wysłać do Grecji ppor. S. Hollego, który już był wtedy na kursie spadochronowym w Haifie (początkowo przewidywałem go do Jugosławii).

Równocześnie prowadziłem starania o zgodę na rekrutację innych oficerów do tej pracy w czasie, jeśli zajdzie potrzeba i warunki na to pozwolą.

Ppor. S. Hollego (pod pseudonimem „Lt. Kula”) odprawiłem w dniu 6 IX 1943. Określając mu zadania, starałem się pogodzić tendencje i zastrzeżenia mych przełożonych z warunkami stawianymi przez SOE.

Podaję niżej wyciąg z protokołu odprawy (L. 615/43 z dn. 6 IX 1943):

„1. Po wylądowaniu wchodzi Pan w skład Misji Brytyjskiej, jako jej członek i pozostaje Pan pod rozkazami Szefa Misji.

2. Zadanie zasadnicze:

Występuje Pan jako referent Szefa Misji dla spraw polskich i w tym charakterze przeprowadza Pan badania jeńców i dezertierów Polaków z armii niemieckiej lub oddziałów robotniczych Todta. Przy tej okazji ustala Pan, jakie jest nastawienie,

III 11/16

szczerść i polskość tych ludzi z punktu widzenia bezpieczeństwa i możliwości ich użycia.

Prowadzi Pan wywiad celem ustalenia, gdzie i ilu Polaków znajduje się w armii niemieckiej i organizacji Todta. Po ustaleniu tych danych oraz ich nastrojów – stawia Pan wniosek przez Szefa Misji, czy to w kierunku zorganizowania tych ludzi w ramach dotychczasowych i w jakim celu, czy to w kierunku namawiania ich do dezercji. Decyzja będzie powzięta wspólnie przez władze polsko-brytyjskie w Kairze i zakomunikowana Szefowi Misji.

Szef Misji może żądać od Pana penetrowania w tym celu do obszarów, na których została stwierdzona obecność Polaków – czy to przez wybranych do tego ludzi spośród dezercerów, czy nawet osobiście.

Jeżeli zostanie ustalona możliwość i zostanie zdecydowane formowanie oddziału polskiego, złożonego z dezercerów, Pan wyznaczy dowódcę bezpośredniego spośród nich, sam pozostaje Pan reprezentantem ich interesów w ramach Misji. O ile możliwości będzie Pan żądał, by tego rodzaju oddziały podlegały bezpośrednio Szefowi Misji, a nie dowódcy oddziałów partyzantów greckich (np. jako oddział ochrony Misji).

Osobiście nie bierze Pan udziału w żadnych akcjach bojowych, nawet wtedy, gdy w niej bierze udział oddział polski. Natomiast może Pan brać udział w planowaniu i przygotowywaniu takich akcji. Wyjątek stanowi wypadek, że sytuacja zmusza do akcji całą Misję, lub też udział pański i całej Misji zostanie z góry nakazany.

3. Zadanie dodatkowe.

Jeżeli okoliczności będą tego wymagać, może Pan otrzymać zadanie ułatwienia przejścia emisariuszy, kurierów lub poczty z Kraju, przez obszar opanowany przez Misję Bryt., przy której Pan się znajduje. W tym celu powinien Pan się zorientować jak najrychlej, jak daleko sięgają pańskie wpływy i możliwości komunikacyjne w kierunku północnym i południowym z odchyleniami na zachód i na wschód. O tych możliwościach powinien Pan jak najrychlej meldować.

O przyjsciu człowieka lub poczty będzie Pan każdorazowo dość rychło uprzedzany. Za bezpieczeństwo kuriera i poczty w czasie pobytu na obszarze pańskich wpływów odpowiada Pan całkowicie.

4. Łączność z bazą TOK³ w Kairze utrzymuje Pan za pośrednictwem Szefa Misji, oddając mu do badania gotowe depesze z zaznaczeniem *for TOK*; depesze przeznaczone dla Pana będzie otrzymywał Szef Misji z zaznaczeniem *for Kula*".

(W dalszej części „instrukcja” omawia: sprawy materialne, wskazówki postępowania w niektórych wypadkach, a w „uwadze” zaznaczono: „Sposoby prowadzenia propagandy i penetracji do Polaków w wojsku i w organizacji Todta zostały szczegółowo przedyskutowane i ustalone”).

V. Por. Holly (awansował na porucznika z dniem zrzutu) odleciał w dn. 8 IX 43 z Kairu na lotnisko Tokra obok Derna (Libia) – a w nocy 13/14 IX 43 został zrzucony i lądował szczęśliwie w m. Kastania, obok miasta Trikala w Grecji Centralnej (Rumelia).

Z rozmów orientacyjnych z Szefem tamtejszej Misji Bryt. i d-cą partyzantów dowiedział się, że pewna ilość Polaków znajduje się w oddziałach partyzanckich w okolicy m. Karpnesion, kilkadziesiąt kilometrów na południe od Trikala. Po porozumieniu się ze mną wyruszył w podróż i w ciągu tygodnia dotarł do Misji Bryt. w rej. Karpnesion.

Wiadomości o znajdujących się tam Polakach okazały się prawdziwe, toteż por. Holly ustabilizował się przy tej Misji i stąd rozpoczął pracę.

Polaków znalazł w warsztatach partyzantów, w szpitalu, a w pobliskiej m. Makrakomi – w partyzanckim „batalionie śmierci”. Było ich razem ok. 40, przeważnie dezercerzy z organizacji Todta. Położenie materialne tych ludzi było ciężkie; resztki mundurów niemieckich na sobie – często tylko bielizna i i „luchy” cywilne. Toteż rozpoczął on natychmiast starania o skupienie tych ludzi przy Misji w myśl poruczonego mu zadania.

Już po kilku dniach swojej pracy spotkał się z oporem ze strony dowódców partyzanckich. Zarzucali mu propagandę niezgodną z ich interesami. W rzeczywistości propaganda por. Hollego polegała na uświadomieniu odnalezionych ludzi o sytuacji narodu polskiego – o istnieniu rządu RP i sił zbrojnych za granicą, o oporze w Kraju itp... Zdaniem „politikosów” (politruk) partyzanckich były to wiadomości fałszywe, gdyż żadnego rządu polskiego za granicą nie ma, a wojsko polskie

3. Baza własna – tą nazwą określaliśmy ją w stosunkach z SOE.

III/1/18

istnieje tylko w Rosji Sowieckiej.

Otrzymałszy od por. Hollego meldunek o zaistniałym konflikcie wydałem mu instrukcję, którą poniżej cytuję (załącznik do mego „sprawozdania” L. 5553/43 dla Nacz. Wodza):

A. „Polakom znajdującym się w oddziałach ELAS oświadczyć, jak następuje:

Zdezertowaliście z wojska niemieckiego i przyłączyliście się do powstańców greckich, by razem z nimi walczyć ze wspólnym wrogiem – Niemcami. Postąpiliście godnie. To Wam daje prawo powrotu do wolnej Polski⁴. Między żołnierzami greckimi, wśród których się znajdujecie, panuje wielka różnica zdań co do tego, jaki ma być ustrój społeczny i polityczny przyszłej Grecji. Jedni chcą króla, drudzy go nie chcą. Jedni pragną republiki demokratycznej, inni republiki komunistycznej itd.

Otóż pamiętajcie: o tym, jaka ma być przyszła Grecja, będzie decydować naród grecki. Wy nie macie prawa do tego się wtrącać. I odwrotnie, żaden Grek nie powinien zabierać głosu co do tego, jaka ma być przyszła Polska. Tę sprawę my sobie sami załatwimy.

Władze polskie interesują się Wami, chcą Wam pomóc moralnie i materialnie, byście godnie reprezentowali Naród Polski wobec Greków i byście wrócić mogli do Wolnej Polski. Wolno Wam mieć różne zapatrywania polityczne i społeczne. Ale na ścieranie się waszych zapatrywań będzie czas później, po powrocie do Kraju. Teraz musimy wszystkie siły skupić dla jednego celu – pobić Niemców”.

B. „Wobec dowódców ELAS stawiaj sprawę następująco:

Polacy przyłączyli się do nich, by walczyć z Niemcami, jako wspólnym wrogiem. Walcząc jednak o wyzwolenie Grecji – Polacy nie będą zabierać głosu, jaki ma być jej ustrój polityczny, monarchia, republika demokratyczna czy republika komunistyczna. O tym może decydować jedynie naród grecki, toteż dowódcy greccy nie powinni żądać od Polaków wypowiedzi na ten temat ani dzielić ich na sympatyków lub przeciwników danego ustroju.

Odwrotnie znów, o tym, jaki będzie ustrój Polski po jej oswobodzeniu, będzie decydować Naród Polski. Toteż prowadzenie jakiegokolwiek propagandy przez dowódców greckich wśród polskich żołnierzy jest zbędne i szkodliwe dla obu stron.

4. Byli to przeważnie „volksdeutsche” lub „Eingedeutsche”.

III/1/19

Wystarczy zupełnie jednolitość w zapatrywaniu, że należy pobić wspólnego wroga, po czym nasze drogi mogą się rozjeść.

Władze polskie interesują się tymi Polakami, by się nimi zaopiekować, udzielić im pomocy moralnej i materialnej, co zwiększy ich wartość bojową, a zatem leży w interesie oddziałów greckich, przy których się znajdują. Władze polskie nie chcą i nie będą prowadzić wśród tych Polaków żadnej propagandy za takim – lub innym ustrojem politycznym lub społecznym przyszłej wolnej Grecji”.

W szeregu rozmów odbytych z d-cami ELAS por. Holly stał ściśle na stanowisku określonym przez mnie w powyższej instrukcji przy pełnym poparciu Szefa Misji Bryt.

Rozmowy te dawały pozornie wyniki pozytywne; co jednak uznawali i na co godzili się dowódcy – to na drugi dzień anulowali „politikos”, dobrze widocznie instruowani przez kierownictwo polityczne EAM – działające w myśl wskazań Moskwy.

W pewnym momencie pertraktacji ustalono, że Polacy będą zbierani przy „batalionie śmierci” – przy czym jednak fachowcy-rzemieślnicy będą pracować w warsztatach d-twa brygady. Przyrzeczenia tego – jak się z czasem okazało – Grecy nie dotrzymani.

Osiągnąwszy ten pozorny efekt – por. Holly rozpoczął szukać kontaktów z Polakami w Wehrmachcie i innych organizacjach niemieckich, używając do tego celu dezertersów z poszczególnych formacji. Dla wykonania tego zadania por. Holly otrzymał konieczną pomoc ze strony d-ców greckich, którzy zaopatrzyli go w potrzebne przepustki i przewodników.

Por. Holly odbył szereg podróży po garnizonach zajmowanych przez Niemców.

Informacje uzyskane przez niego w tym okresie pracy wskazywały, że:

- największy procent Polaków znajdował się tzw. „Bauzugach” – tj. plutonach robotników kolejowych. Stan takiego plutonu wynosił około 80 ludzi – w tym około 50% Polaków wzgl. obywateli polskich,

- w oddziałach wartowniczych (na lotniskach i na liniach kolejowych), było około 20% Polaków, czasem więcej,

- w oddziałach robotniczych Todta procent Polaków był bardzo różny, ale za to byli to prawie wyłącznie Polacy z Gen. Guberni – podczas gdy w oddziałach wartowniczych i „Bauzu-

III / 1/20

gach” przeważali obywatele polscy z ziem wcielonych (Volksdeutsche i Eingedeutsche).

Oprócz tych informacji, podanych mi przez por. Hollego do Kairu, otrzymywałem stale wiadomości od Wydz. SOE gdzie, ilu i w jakich warunkach znajdują się Polacy w innych prowincjach Grecji.

Wiadomości te wskazywały, że Polacy, wzgl. obywatele polscy znajdują się we wszystkich formacjach niemieckich co najmniej w 10%; pewien procent stwierdzono nawet w jednostkach morskich w porcie Pireus. Co zaś do położenia Polaków znajdujących się u partyzantów – to oceny zarówno por. Hollego, jak i Szefa Misji Bryt. z innych rejonów były zgodne, że położenie to było ciężkie. Pochodziło to z dwu przyczyn: jedna – że w ogóle materialne położenie partyzantów – głównie jeżeli chodzi o wyżywienie i umundurowanie – było trudne, druga – że niektórzy z d-ców partyzanckich byli nastawieni do Polaków wręcz wrogo.

W połowie listopada 1943 r. otrzymałem od por. Hollego list – przywieziony przez jednego z oficerów brytyjskich, w którym prócz wiadomości o Polakach podał mi inną jeszcze przyczynę trudności, jakie napotyka, a o której w depe szach – kontrolowanych przez Szefa Misji – nie wspominał.

Mianowicie jeśli chodzi o pomoc Szefa Misji – to jakkolwiek początkowo była ona szczerą i dużą – to z czasem, w miarę, jak wysuwali swe obietnice d-cy partyzantów, Szef Misji skłonny był raczej do negliżowania pracy por. Hollego, by sobie nie utrudniać stosunków z partyzantami. Objawiało się to głównie w małej pomocy pieniężnej – bez której por. Holly nie mógł nie tylko doraźnie pomóc Polakom, ale nie mógł wybierać się w dalsze podróże.

Wysłałem mu wtedy dalsze wskazówki postępowania (patrz załącznik do mego „Sprawozdania” L. 553/43):

„Twój list otrzymałem; bardzo mnie ucieszył, gdyż wyjaśnił mi, sędzę, całą sytuację. Pomogła mi również wiele rozmowa z oddawcą. Sędzę, że depesza, którą ci wysłałem z dyrektywami postępowania z tubylcami i naszymi, dość jasno mą opinię wyrażała. Dodaję jeszcze: partner⁵ musi zrozumieć, że nasi ludzie uciekają do niego nie ze względu na ideę, którą on reprezentuje, lecz dlatego, by bić się ze wspólnym wrogiem, a że jego oddziały

5. ELAS.

M/1/21

były bliżej, to rzecz przypadku; u jego konkurenta⁶ też są nasi, ale byłoby błędem uważać ich za przeciwników. W interesie sprawy i jego własnym leży, by zgodził się na zorganizowanie naszych, bo wtedy doślemy broń, ekwipunek itp.

Słyszałem, że na północ od Was traktuje się naszych jako jeńców wojennych, uważając, że każdy jest wrogiem komunizmu i Rosji – sądząc, że to robota niemiecka, a tubylcy dali się nabrać, ku wielkiej ich radości⁷. Staraj się dostać do centralnej ich władzy i przekonać o głupocie takiego postępowania. Musisz też zaprotestować przeciw ewentualnemu udziałowi naszych w walkach bratobójczych, wskazując, że po tamtej stronie też są nasi⁸, którzy będą neutralni. Co do użycia w akcjach dywersyjnych, to chroń ich, gdzie się da – co najmniej w wypadkach, gdzie «skórka nie opłaca się za wyprawę».

W stosunku do tych, którzy jeszcze są po tamtej stronie⁹, to staraj się:

1/ wiedzieć, gdzie są, ilu, jakie wśród nich są nastroje,

2/ urobić ich, by w odpowiednim momencie zwiali. Jak długo tubylcy nie rozumieją własnego interesu, za odpowiedni moment uważać należy znalezienie się oko w oko z wojskami alianckimi. Posyłam Ci już drugą paczkę gazet – rozdawaj je jednak tylko tym, którzy są już po tamtej stronie – «tamnym» w żadnym wypadku, gdyż to mogłoby ich wsypać».

W czasie, gdy por. Holly odbywał swe podróże do okolicznych garnizonów niemieckich, nastąpiło:

– starcie między partyzantami ELAS a organizacją EDES,
– Niemcy przeprowadzili wyprawę na rejon Karpension, rozpraszając partyzantów i zmuszając Misje Bryt. do wycofania się w głąb gór.

– Polacy z „baonu śmierci” odznaczyli się, kryjąc odwrot partyzantów z m. Makrakomi.

W tym odwrocie partyzantów por. Holly prowadził grupę liczącą 56 ludzi w tym 39 Polaków – przeważnie nieuzbrojonych (ci z warsztatów). Odwrot trwał około 3 tygodni w nie-

6. EDES.

7. Myliłem się, była to czysta robota Moskwy; ale wtedy Wydz. SOE stanowczo twierdził, że ELAS nie jest kierowany przez Moskwę.

8. Mgliste wiadomości od SOE jakoby w organizacji EDES też byli Polacy.

9. Tzn. w formacjach niemieckich.

III/1/22

zwykle trudnych warunkach terenowych (góry) i klimatycznych (koniec listopada), bez żywności i odpowiedniego ubrania.

Niespodziewanie w m. Gardiki cała grupa wraz z por. Hollym została aresztowana. Stało się to podobno na rozkaz dowódcy 13 dywizji partyzanckiej, w której obszarze grupa się znalazła. Por. Holly został na interwencję Brytyjczyków zwolniony, lecz pozostał na miejscu aż do zwolnienia wszystkich aresztowanych, co nastąpiło dopiero w połowie grudnia.

Fakt aresztowania por. Hollego był dla mnie dużym ciosem. Podałem rewizji cały mój optymizm w stosunku do akcji na Grecję.

Doszedłem do wniosku, że:

- komuniści nie pozwolą, w żadnym wypadku na utworzenie zwartych polskich oddziałów, uważając je za potencjalną przeszkodę do osiągnięcia swych celów po wycofaniu się Niemców,
- władze brytyjskie udzielą mi tylko takiej pomocy, na jaką ELAS się zgodzi,
- jeden oficer polski na całą Grecję to tyle, co nic.

Mając zaś decyzję Naczelnego Wodza co do naszych ludzi w Jugosławii, że wobec trudności miejscowych należy ich ewakuować - zdecydowałem, że będzie to również po myśli Naczelnego Wodza i zażądałem od Wydz. SOE, by por. Hollego, wraz ze wszystkimi Polakami, jakich potrafi skupić koło siebie - ewakuowano do Egiptu.

O mojej decyzji zameldowałem Szefowi Oddz.Spec. w mej depešy L. 636 z dn. 16 XII 1943.

Władze brytyjskie dziwnie skwapliwie zgodziły się ze mną, a col. Simmonds („A-force”) przyrzekł uczynić wszystko, by Polaków z Grecji ewakuować.

Gen. Anders, któremu o tej sytuacji zameldowałem, przydzielił do „A-force” swego oficera łącznikowego. Ja miałem go informować odtąd, gdzie i ilu Polaków jest do ewakuowania, a oficer łączn. miał dopilnować, by „A-force” ewakuację przeprowadziła. Chodziło tu nie tylko o Polaków, których por. Holly zebrał w rej. Marmara, ale i o tych, o których istnieniu informował mnie Wydz. SOE i miał informować w przyszłości - po opuszczeniu Grecji przez por. Hollego.

Por. Holly w niezwykle ciężkich warunkach w ciągu - 4 dni i 5 nocy dotarł - idąc w poprzek linii komunikacyjnych - do m. Veneton na wybrzeżu Morza Egejskiego obok Olimpu,

skąd został przewieziony (staraniem „A-force”) kutrem rybackim do Smyrny – a stamtąd pociągiem do Kairu – dokąd przybył 3 I 1944.

Opuszczając swe m.p. por. Holly pozostawił:

– około 50 ludzi skoncentrowanych w Marmara pod opieką Szefa Misji Bryt.

– 41 ludzi w „batalionie śmierci”.

Ponadto wiedział – mając kontakty osobiste – o Polakach w „Bauzugach” w m. Lienakladi Larissa (około 100 ludzi) i w oddziale Todta w m. Larissa (25 ludzi). Ludzie ci byli gotowi do dezercji na wezwanie.

VI. Najważniejszym dla mnie tematem rozmów z por. Hollym, po jego przybyciu do Kairu – było ustalenie, czy istnieją warunki do kontynuowania naszej akcji w Grecji.

Z jego sprawozdania wynikało, że:

– Polaków jest stosunkowo wielu i w Wehrmachcie, i w „Bauzugach”, i w oddziałach robotniczych Todta,

– dostęp do nich jest dość łatwy,

– chętnie by dezercerowali.

Warunkiem zaś dalszej pracy jest:

a/ zgoda ELAS na formowanie oddziałów polskich – a jeśli nie – to przynajmniej na przyzwoite traktowanie dezercerów oraz danie im pomieszczenia i żywienia aż do czasu ich ewakuacji,

b/ pomoc władz brytyjskich w:

– nacisku na ELAS dla osiągnięcia ich zgody,

– finansowaniu podróży naszych oficerów i pobytu zebranych ludzi w większym zakresie niż dotychczas,

– wyekwipowanie i uzbrojenie ich, jeśli oddziały polskie miałyby być formowane,

– wyewakuowanie ich na Sr. Wschód wzgl. do Włoch, jeśli formowanie oddziałów odpadnie.

Nastąpił teraz okres „uzgadnian”. Szef Oddz. Szt. NW aprobował mą decyzję odwołania por. Hollego z tym, że pójść on ponownie w teren. Co do zadań, to na pierwszym miejscu stawiał ewakuację – a na drugim budowę szlaku do Kraju. Było też i dla mnie jasne, że na zgodę ELAS co do formowania oddziałów polskich nie mogą liczyć.

By zaś ewakuować dalsze partie, trzeba było najpierw dotrzeć do Polaków w formacjach niemieckich, spowodować de-

111/1/24

zercze i skoncentrować ich w punktach dogodnych do ewakuacji.

Dyskusja na temat zadań dla ewent. nowo wysłanych oficerów do Grecji była prowadzona przez dłuższy czas i to:

– między mną a Szefem Oddz. Spec.

– między Wydz. SOE w Kairze a Dep. SOE w Londynie.

Ponadto Szef Oddz. Spec. Sz. NW prowadził bezpośrednio rozmowy z Szefem Dept. SOE.

Stanowisko Wydz. SOE w Kairze było następujące:

a/ formowanie oddziałów polskich w Grecji było ich gorącym życzeniem. Niestety muszą z tego zrezygnować:

1) – wobec stanowczego oporu ELAS,

2) – gdyż nie byłoby w stanie wyżywić tych oddziałów w ubogich okolicach Grecji

b/ z tych samych względów (opór ELAS i trudność wyżywienia) nie mogą się zgodzić na organizowanie masowej dezercji Polaków z formacji niemieckich,

c/ wyewakuują jak najszybciej tych Polaków, których zebrał por. Holly,

d/ dalsza praca oficerów polskich będzie chętnie widziana, o ile ograniczy się do penetracji do jednostek niemieckich i organizowania „jacejek”, które gotowe byłyby do wykonania postawionych im w pewnym momencie zadań,

e/ nasze wysiłki dla budowania szlaku przez Grecję uważają za niepotrzebne i niebezpieczne, gdyż jakkolwiek praca nieujawniona przez ELAS może mieć przykre następstwa w razie „wspy” nie tylko dla Polaków, ale dla Misji w ogóle.

(W zamian za rezygnację z zadań budowy szlaków przez oficerów polskich w Grecji – zaproponowano mi wykorzystanie punktu zbornego zbiegłych jeńców bryt. w rej. Maribor – na pograniczu Styrii i Karyntii, w okolicy opanowanej przez Tito – skąd zbiegów ewakuowano samolotami. O tej propozycji oczywiście zameldowałem Szefowi Oddz. Spec.).

Równocześnie władze brytyjskie prowadziły rozmowy – za pośrednictwem Szefa Głównej Misji Bryt. w Grecji col. Woodehouse'a – z D-twem ELAS dla ustalenia warunków, na jakich będą mogli przybyć tam i pracować oficerowie polscy.

W mej depeszy L. 150 z dn. 18 II 44 meldowałem:

„ELAS zgadza się na ewakuację już skoncentrowanych Polaków i zwolnienie w tym celu tych, którzy jeszcze są w ramach ELAS. Nie zgadza się na formowanie oddziałów przy

Misjach Bryt. ani na używanie Polaków do jakiegokolwiek akcji bojowej poza ramami ELAS. To zabolalo Brytyjczyków i dalej się targują (my nie mamy powodów).

Szef głównej Misji Bryt. radzi nie przysyłać jeszcze Kuli, którego ELAS uważa za niebezpiecznego dla nich (jego czynią odpowiedzialnym – i słusznie – za odmowę walki z EDESEM i w ogóle rozdmuchanie sprawy Polaków).

Ogólnym zamiarem tut. SOE jest:

Wysłać pewną ilość oficerów alianckich (przede wszystkim Polaków) na Balkany dla zorganizowania w jednostkach jaczejek, które by podjęły do buntów, wykonywały sabotaże i przeszkodziły zniszczeniom, jakich Niemcy będą chcieli dokonać przed wycofaniem. Do dezercji – wobec trudności z ELAS i w utrzymaniu ludzi – namawiać nie chcą, dopiero w końcowej fazie po wykonaniu zadań przez jaczejki, by nie dały się wywieźć na inny front.

W tej sytuacji muszę się liczyć z koniecznością ustępstw w zadaniach wysłanych ofic. na rzecz pracy jak wyżej – w przeciwnym razie Misje Bryt. nie udzieli pomocy w ewakuacji i przestaną wyszukiwać Polaków wśród partyzantów. Proszę o Wasze zdanie”.

Dnia 22 II 1944 r. otrzymałem od Szefa Oddz. Spec. Szt. NW depezę L. 1369 następującej treści:

„Podajemy ustalone z Anglikami (Perkins) wytyczne:

1/ ewakuować wszystkich Polaków z Grecji. Żadnych oddziałów nie tworzyć. Zaopatrzenie dla ewakuowanych zapewnią Anglicy,

2/ ewakuować najpierw tych, którzy już są poza oddziałami niemieckimi, a w następnej kolejności organizować dezercję z oddziałów niemieckich i ewakuację ich,

3/ wysłać do Grecji 3-4 oficerów dla zapoczątkowania tej akcji. Pomoc pieniężną zapewnią Misje Bryt.,

4/ masową dezercję przeprowadzić dopiero w momencie wycofywania się oddziałów niem. z Grecji.

Wobec tego:

1/ ustalcie z SOE szczegóły ewakuacji, a więc:

a/ zaopatrzenie w ubranie itp. sprzęt ludzi nadających się do ewakuacji,

b/ zaopatrzenie ich w pieniądze,

c/ sposób i środki transport. do ewakuacji.

Ty 1/26

2/ Dopiero po ustaleniu tych szczegółów wysłacie Barta, Kurasiewicza i Kulę. Tego ostatniego wysłacie wtedy, jeżeli zagrożenie jego w ELAS zmniejszy się i umożliwi mu jego działalność. Niech nie opuszcza Głównej Misji Bryt. i koordynuje całość akcji.

3/ Szef Głównej Misji Bryt. (wzgl. SOE) jest już powiadomiony o powyższych wytycznych i nie będziecie mieli trudności wzgl. konieczności czynienia «ustępstw».

4/ Odprawiając Kulę, B. i K. stosujcie się ściśle do powyższych wytycznych”.

Wydawało się więc, że na szczeblu Londynu wszystkie rozbieżności zostały już usunięte. Tymczasem, gdy mjr Howarth – oficer łącznikowy SOE przysłał mi odpis rozkazu, który on od swych władz w Londynie otrzymał – musiałem natychmiast nadać depezę L. 172 z dn. 26 II 44:

„W związku z Waszą 1369:

Równocześnie nadeszły decyzje dla tut. SOE i Howarth dał mi je w odpisie.

Daje się zauważyć jedna wyraźna różnica: Wy przewidujecie dezercję w pkt. 2, a oni nie. Poza tym według Howartha – Szef tut. SOE wyraził żal, że z góry odrzucacie możliwość organizowania jacejek dywersyjnych w wojsku niemieckim. Jego zdaniem należałoby przynajmniej próbować. Przypuszczam, że w tej sprawie będzie jeszcze demonstrował”.

Było dla mnie rzeczą jasną, że władze brytyjskie nie udziela nam pomocy, jeśli niczego w zamian nie będziemy chcieli dać.

Dalsze rozmowy wykazały, że w redagowaniu „wytycznych, ustalonych z Anglikami” popełniono nieścisłość, gdyż Anglicy nie tylko nigdy nie zgodzili się na organizowanie dezercji, ale dalej naciskali, by oficerowie polscy wysyłani do Grecji jednak jacejki w formacjach niemieckich organizowali.

Prócz por. Hollego („Kula”) miałem w owym czasie do dyspozycji (wyszkolonych) oficerów:

- por. Waletko („Bart” – początkowo przewidziany do Jugosławii na zastępcę śp. kpt. Maciąga),
- por. Kurasiewicz („Romer”).

Ze szkolonych na kursach brytyjskich odpadli z różnych powodów:

- por. Sidorowicz – pęknięcie kolana po skoku ćwiczebnym,

- kpt. Trondowski – zbyt mała znajomość jęz. angielskiego,
- ppor. Morciszek – zdyskwalifikowany towarzysko.

W mojej depeszy L. 186 z dn. 28 II 44 melduję i proszę Szefa Oddz. Spec. (wyciąg):

„Jest zgoda ELAS na wysłanie oficerów polskich dla ewakuacji... Proszę Was o przydział 3 oficerów od Okulickiego; muszą mówić po angielsku i przylecieć do mnie na odprawę jak najszybciej. Proszę o odpowiedź czy mogę na to liczyć i kiedy”.

(W tym czasie cały prawie 2 Korpus już był w Italii – toteż nie mogłem już liczyć na znalezienie odpowiednich kandydatów w Egipcie wzgl. Palestynie – i dlatego prosiłem o wybór spośród oficerów z „Bazy przerzutowej” w Italii).

Otrzymałem odpowiedź, że „przydział nowych oficerów nie wcześniej jak za 2-3 miesiące” (dep. Szefa Oddz. Spec. L. 1694 z dn. 3 III 44).

Jakkolwiek SOE uznał formowanie oddziałów polskich za niemożliwe (przyczyny podane wyżej) – to jednak Szefowie Misji Bryt. w terenie wywierali ze swej strony nacisk, by pozwolono im na organizowanie i utrzymywanie przy sobie małych polskich oddziałów ELAS, a utrzymywanych i zbrojonych przez Misje. Były więc targi na ten temat – między Szefami Misji Bryt. a Wydz. SOE – a potem między Misjami a ELAS (w mojej depeszy L. 150 z dn. 18 II 44 – zacytowanej powyżej, melduję, że Brytyjczycy „dalej się targują”).

Z naszego punktu widzenia, skoro przyjęliśmy jako główny cel ewakuację, te ich starania były nam nie na rękę.

Toteż w mej depeszy L. 204 z dn. 3 III 44 melduję do Londynu:

„Jak meldowałem w 150 – «Brytyjczycy dalej się targują» – i utargowali. Mają zgodę ELAS na utworzenie oddziału polskiego przy Głównej Misji – na jej utrzymaniu i do jej dyspozycji. W tej chwili oddział ten liczy 20 ludzi, rzekomo ochotników spośród skoncentrowanych już i przeznaczonych do ewakuacji (około 50 ludzi jest w ruchu – partiami – w kierunku wschodniego wybrzeża – na północ od Volos – skąd zostaną podjęci przez motorówki) – będą zaopatrzeni w odznaki polskie. Jest to wbrew Waszej 1369 pkt. 1, a również wbrew instrukcji Perkinsa¹⁰, która mówi: «We

10. Mowa o instrukcji Dep. SOE, o której wspominam wyżej, że otrzymałem ją w odpisie od mjr. Howartha.

III/1/28

must therefore make it our policy to evacuate them to the Middle East, as they will otherwise either die or be murdered».

Oświadczyłem więc, że nie leży w mojej kompetencji aprobowanie tego faktu dokonanego i o zgodę muszę się zwrócić do Was. Moja opinia: jeśli zgodzicie się, będę mógł żądać informowania mnie o sytuacji i działalności tego oddziału, będę mógł go zaopartywać w pisma i książki; będę mógł kontrolować to wszystko przez Kulę lub innego oficera, może nawet dosłać stąd dowódcę. Jeśli się nie zgodzicie, Brytyjczycy może lojalnie rozwiążą ten oddział i wyewakuują go, ale podejrzewam, że utworzą jeden lub więcej, do których się nie przyznają i do których nie będziemy mieć wglądu. Moje przypuszczenie opiera się na tym, że dla nich mały oddziałek polski przedstawia wielką wartość i niełatwo zrezygnują z możliwości jego posiadania, dowodem długie targi z ELAS, aż do uzyskania zgody.

Howarth zwrócił się do Perkinsa z prośbą o interwencję u Was. Odjazd Kuli i towarzyszy przewiduję na 8 bm¹¹.

Nie mając żadnej odpowiedzi na mój meldunek o różnicy między naszymi zamiarami a opinią SOE melduję ponownie Szefowi Oddz. Spec. (dep. 226 z dn. 10 III 44):

„Nie mogę odprawić Kuli wobec różnicy zdań między mną (chcę zastosować ściśle Waszą 1369) a tut. SOE, mianowicie:

1/ My chcemy ewakuować wszystkich Polaków – oni utworzyli oddział 20 ludzi (twierdzą, że więcej nie mają zamiaru wobec trudności zaopatrzenia).

2/ My chcemy organizować dezercję – oni się sprzeciwiają.

3/ My nie chcemy tworzyć jednostek dywersyjnych w oddziałach niemieckich – oni są zdania, że należy przynajmniej spróbować.

Oświadcza, że jeśli ich cele nie zostaną w naszych instrukcjach uwzględnione, wysyłanie polskich oficerów jest zbędne, bo ewakuację mogą przeprowadzić własnym aparatem, a ELAS udzielił zgody na przejazd polskich oficerów nie dla organizacji dezercji, lecz dla dywersji wśród Niemców.

W konsekwencji nie mogę też uzgodnić z nimi rejonu lądowania ekipy, bo będzie to ściśle zależało od zadań. Jedynie na temat zorganizowania «meliny» (gdzieś na linii kolejowej Saloniki-Ateny) w tajemnicy przed ELAS – co uważam za najważniejsze – nie mam z ich strony żadnych trudności¹¹.

11. Trudności te pojawiły się później.

III/1/29

Odlot ze względu na księżyc może się jeszcze odwlec, ale nie na długo.

Jeśli byście aprobowali fakt dokonany – jak pkt 1 – zapewnijcie im przez Perkinsa prawo opieki nad tym oddziałem. Proszę o decyzję”.

W kilka dni później otrzymałem tę decyzję w depeszy Szefa Oddz. Spec. L. 2025 z dn. 13 III 44, mianowicie:

„Po wczorajszej konferencji z Anglikami ustaliliśmy wysłać natychmiast Barta, Kurasiewicza i Kulę z pomocnikiem z zadaniem:

a/ zbudowania szlaków ewakuacyjnych do Was ewent. do Albanii dla Polaków, którzy są przy ELAS lub Misjach Bryt. i tych, którzy wskutek wykonania dywersji muszą uchodzić z terenu,

b/ zorientowania się w możliwościach nawiązania kontaktów z Polakami w armii niem. i org. Todta, celem zorganizowania ich dla celów bądź dywersji na miejscu.

Anglicy obstają przy montowaniu dywersji natychmiast, stawiając ewak. na dalszym planie. Sprzeciwiam się temu kategorycznie, gdyż dywersję można robić tylko Polakami znajdującymi się na miejscu (w armii niem. lub org. Todta) i jedynie w wypadku uprzedniej dokładnej organizacji w terenie, zapewniającej dostarczenie ludziom na czas rozkazów, pieniędzy, butów, ubrania, materiałów i zapewnienia ewakuacji dla spalonych lub nienadających się do roboty. Jest to robota na długą falę. Naszym celem jest zachowanie i ewakuacja ludzi wzgl. masowa dezercja w momencie wycofywania się Niemców z Bałkanów – Anglicy chcą natychmiastowej dywersji. Nie mogę im odmówić otwarcie, bo mogą robotę zupełnie położyć. Dlatego proszę Anglikom podać tylko:

1/ zadania jak pod «a» i «b», podając, że najważniejszym punktem roboty jest «b», co uzależniam od pomocy materialnej,

2/ żądać kategorycznie pomocy materialnej (pieniądze, buty, ubrania, materiał). Pomoc tę tutaj wczoraj obiecali. Skoczkom podać całość depeszy zobowiązując słowem do nieujawniania treści, naświetlić im sytuację i ustalić szyfry i sposób porozumiewania się z nami.

Podkreślam ważność zachowania w tajemnicy treści tej depeszy. Ponadto proszę zaznaczyć przyjaciółom, iż gen. Wilson w rozmowie z NW w Londynie dnia 4 I 44 zgodził się na ewakuację wszystkich Polaków z Bałkanów”.

III/1/30

Decyzja ta stawiała mnie w ryzykownej sytuacji wobec władz brytyjskich, w stosunku do których dotychczas nie potrzebowałem niczego ukrywać. Poza tym wynikała z nieznaności technicznej strony ewakuacji; budowa szlaków ewakuacyjnych była zbędna, bo ewakuację podejmowała się przeprowadzić „A-force”, która miała swoje drogi i swoje sposoby, byleby tylko wskazać skąd i ilu ludzi ma podjąć. Organizacja ta wyewakuowała tysiące, a co najmniej setki zbiegłych jeńców i zestrzelonych lotników alianckich. Przykład ewakuacji por. Hollego wskazywał, że działa ona szybko i sprawnie.

Istota więc naszej roboty leżała moim zdaniem w zwiększeniu ilości ludzi do ewakuacji – nawet wbrew woli Anglików.

Toteż ustępstwo Szefa Oddz. Spec., że zgodził się na penetrację naszych oficerów do jednostek niemieckich, było dla mnie najcenniejsze, bo tylko w ten sposób można było powodować dezercję – choćby tylko indywidualną, co można było zawsze usprawiedliwić „wsypą” a więc koniecznością.

Decyzja ta nie podawała jednak, jak mam się ustosunkować do formowania oddziału polskiego (20 ludzi) przy Głównej Misji Bryt.

Zwróciłem się ponownie do Oddz. Spec. w dep. L. 234 z dn. 16 III 44 (wyciąg):

„Zrzut w tym miesiącu już nie nastąpi. Pozwoli mi to na usunięcie wszystkich rozbieżności w opiniach naszych i tut. SOE.

Sprawy materialnie nie stanowią na tut. terenie zasadniczych trudności – inna rzecz strona techniczna (dostawa). Jak meldowałem w mej 230 transporty już idą bez specjalnej umowy materiałowej.

Nie wiem, jak sobie tłumaczyć, że w 2025 nic nie mówicie na temat oddziału polskiego – jak prosiłem w mej 226 pkt 1 i zdanie ostatnie. Proszę koniecznie o decyzję w tej sprawie”.

W depezy L. 230, o której wspominam powyżej, meldowałem, że grupa 45 ludzi zebranych w grudniu przez por. Hollego jest w drodze do wybrzeży Morza Egejskiego.

Partia ta przybyła do Kairu 18 III 44. Maszerowali przez 11 dni do m. Veneto – w okolicy wspomnianego wyżej miasta Volos – a stąd zostali przewiezieni kutrami rybackimi do Smyrny. Organa „A-force” podały ich władzom tureckim za uchodźców greckich. Po kilku dniach, w czasie których otrzymali ubrania i bieliznę – zostali przewiezieni pociągiem do

Aleppo w Syrii. Stąd odebrał ich polski oficer łącznikowy przy „A-force” i przewiózł do m. Meadi pod Kairem do obozu brytyjskiego. Oczywiście zostali poddani szczegółowym badaniom przez bryt. *Security* i przez nasz Oddz. II.

Meldowałem w dep. L. 253 z dn. 27 III:

„Dostali od PCK po £ 5 na drobiazgi. Mają się dobrze, są między nimi chorzy na malarię, dużo świerzbu, nasz lekarz się nimi zajmuje”.

Później zostali wcieleni do JWSW.

W trakcie „uzgadniania” celów wyprawy wynikła sprawa szczupłości ekipy. Jak wyżej wspomniałem, dalszych trzech oficerów obiecywał mi Szef Oddz. Spec. dopiero po 2-3 miesiącach. W końcu jednak zgodził się, by dobrać kilku ludzi odpowiednich spośród przybyłych właśnie z Grecji.

To niestety nie rozwiązywało zagadnienia, bo wybranych trzeba było przecież przeszkolić (nie mówiąc już o daniu im pewnego odpoczynku) na skoczków – a tak długo ekipa nie mogła czekać. Skoro to wyjaśniłem, pozwolono, by por. Holly dobrał sobie kilku ludzi do pracy na miejscu w Grecji. Nie zmieniało to faktu, że do właściwej pracy w terenie było tylko 3 odpowiedzialnych ludzi na obszar, który wymagał co najmniej drugie tyle.

Odpowiedź Szefa Oddz. Spec., na moje pytanie, jak mam się ustosunkować do formowania przez Brytyjczyków oddziału polskiego przy Głównej Misji – otrzymałem w depeszy L. 2245 z dn. 21 III 44.

Odpowiedź ta brzmiała:

„Przewidywaliśmy na d-cę oddziału jednego z dostanych ofic., a potem ewak. całego oddziału. Prawo opieki oczywiście macie automatycznie nad Polakami”.

Wy tłumaczyłem sobie tę odpowiedź w ten sposób, że Szef Oddz. Spec. przyjmuje do wiadomości fakt dokonany, ale już nie przewiduje, że jeden z oficerów będzie tym oddziałem dowodził i ewakuował go.

Skoro już miałem projekt instrukcji dla ekipy greckiej opracowany – wybuchła na nowo sprawa „melin” – czyli szlaku kurierskiego do Kraju.

Oto przybył do mnie jeden z referentów sekcji greckiej

III/1/32

Wydz. SOE (tzw. „Force 133”) mjr Doblej i oświadczył mi, że:

– ich stosunki z partyzantami są stale napięte; są to ludzie tępi, a niesłychanie podejrzliwi i mściwi; z chwilą gdyby zorientowali się, że coś się dzieje poza ich plecami – nie uwierzą żadnym wyjaśnieniom, lecz będą to uważali za akcję przeciw nim; grozi to nie tylko zerwaniem stosunków, ale nawet śmiercią członków Misji; wobec tego prosi, by zaniechać zamiarów organizowania szlaku kurierskiego, bo to nie jest dla nas absolutnie konieczne – a może położyć całą pracę Misji. Proponuje ponownie wykorzystanie ich placówki przerzutowej w Maribor (o czym już wspomniałem powyżej).

Por. Holly potwierdził tę opinię. Ostatecznie stanęło na tym, że oficerowie ekipy będą meldować do mnie, czy na miejscu mają warunki organizowania „meliny” i szlaku – a dopiero zależnie od tego zdecyduję w porozumieniu z SOE – czy należy ten zamiar realizować.

VII. Ostatecznie więc instrukcja zawierała dwie części: jawną (tj. znaną SOE) i tajną (w myśl życzenia Szefa Oddz. Spec.).

Protokołów odprawy i instrukcji niestety nie odnalazłem w aktach. Mogę ją jednak łatwo w streszczeniu odtworzyć.

W części jawnej, zadaniem ekipy było:

1. Dopilnowanie, by rzeczywiście wszyscy Polacy znajdujący się poza jednostkami niemieckimi zostali wyewakuowani; należy ich więc szukać, czy gdzieś nie zostali zatajeni (z wyjątkiem oddziału 20 ludzi przy Głównej Misji Bryt.).

2. Nawiązywać kontakty z Polakami w jednostkach i organizacjach niemieckich, uświadamiać ich co do sytuacji ogólnej na świecie i w sprawach polskich; organizować ich grupy; żądać od nich na początek tylko wiadomości; jeśli Brytyjczycy żądali wykonania jakiegoś poważniejszego zadania – opracować dobrze plan, zapewnić bezpieczeństwo ludziom po wykonaniu; o każdym takim zamiarze meldować mnie. Ludzi nastawiać na masową dezercję na rozkaz, indywidualnej dezercji nie zalecać, wyjaśniając przyczyny (trudność utrzymania), jak sobie tego życzą Brytyjczycy.

~~W pracy tej oficerowie ekipy podlegać będą Szefom Misji~~
~~Pracę tę – podobnie jak i ewakuację – finansują~~
w całości władze brytyjskie.

138 W pracy tej oficerowie ekipy podlegać będą Szefom Misji Bryt., przy których będą umieszczeni i im meldują o wynikach i trudnościach. Pracę tę – podobnie jak i ewakuację – finansują w całości władze brytyjskie.

GENERAL
1939

III/1/33

3. Badać możliwości znalezienia „melin” przy głównych liniach komunikacyjnych (Belgrad-Ateny, Ateny-Saloniki) – i meldować o wynikach. Na pracę tę mają otrzymać kredyt do rozliczenia z naszymi władzami.

W części tajnej (tzn. nie ujawnionej przed SOE):

a) prowadząc robotę jak w pkt 2 powyżej – zezwalać i pomagać w dezercji poszczególnym ludziom, pewnym co do patriotyzmu i innych wartości, usprawiedliwiając to przed Brytyjczykami i partyzantami ich kompromitacją w pracy; dopilnować, by zostali wyewakuowani,

b) godzić się na użycie zorganizowanych polskich jacejek do sabotażu, lub podobnych ryzykowanych zadań, tylko w wypadkach, gdy wykonanie zadania daje rzeczywiście duże korzyści, a ryzyko minimalne. Żądać, by po wykonaniu zadania ludzie zostali wyewakuowani. W każdym wątpliwym wypadku żądać możliwości porozumienia się ze mną.

Łączność ekipy ze mną została ustalona na tych samych zasadach, jakie obowiązywały naszych oficerów w Jugosławii i por. Hollego w czasie pierwszej jego wyprawy.

Wszyscy jednak zostali nauczeni specjalnego szyfru, by mogli przekazywać mi wiadomości „niecenzuralne” za pośrednictwem ewakuowanych.

Dnia 3 IV 44 w depeszy L. 275 meldując:

„Ekipę grecką odprawiłem. Odlot zależy od pogody. Protokół, który Wam wyślę przez Perkinsa, jest spreparowany tak, że mogą go czytać bez obawy zarzutu niełojalności. Dodatek tajny mogę Wam przesłać depeszą, jeżeli sobie tego życzyć”.

Ekipa (przypominam skład: por. S. Holly („Kula”) – jako szef, por. T. Kurasiewicz („Romer”) i por. J. Waletko („Bart”) – odleciała do Italii w dniu 15 IV 44 – skąd miała być wywieziona i zrzucona w Grecji, staraniem władz brytyjskich – gdy tylko warunki atmosferyczne na to pozwolą. Zrzut nastąpił w nocy 5/6 V 44; wszyscy lądowali szczęśliwie, stracili jednak swój ekwipunek osobisty, który zrzucony w „containerach” w dużym promieniu od ich lądowania – został skradziony przez partyzantów wzgl. ludność cywilną.

Zostali rozmieszczeni:

– por. Holly – przy Głównej Misji Bryt. (col. Wood-

III/1/34

house) – z rejonem działania Lamia-Lavadia-Teby,

– por. Kurasiewicz – w rejonie działania Volos-Kardica-Larissa,

– por. Waletko – w rejonie działania Agrinien i garnizony przybrzeżne (Adriatyk).

Jak widać, ekipa objęła swoją działalnością tylko Grecję środkową, najbardziej na południe sięgał por. Holly (Teby), a na południowy wschód por. Kurasiewicz (Volos).

Na Peloponezie i pograniczu albańsko-greckim i jugosłowiańsko-greckim nie było nikogo. W szczególności odczuwałem brak kogoś w rejonie Salonik. Niestety ekipa była zbyt słaba liczebnie – by objąć całą Grecję. O tym zaś rozmieszczeniu ekipy zdecydował fakt, że por. Holly miał tam już kontakty i że miał kierować pracą pozostałych członków ekipy, co wymagało pewnego skupienia.

Nie mogąc objąć swoimi ludźmi reszty Grecji – zapewniłem sobie w SOE, że będę informowany o wszystkim, co mogłoby mnie interesować w meldunkach tych Szefów Misji Bryt., przy których nie było naszych oficerów.

Takich wyciągów z meldunków, przeważnie gdzie i ilu Polaków w jednostkach niemieckich się znajduje – otrzymałem wiele. Szczególnie ciekawa była wiadomość, że kompania wartownicza na lotnisku niem. pod m. Edessa jest prawie całkowicie złożona z obywateli polskich.

(Sprawę obecności Polaków na Krecie i innych wyspach – przedstawiam w ostatniej części).

Z niektórych meldunków wynikało, że pewne Misje posiadają przy sobie małe oddziały o składzie „międzynarodowym” – z pewnym procentem Polaków (dezertersów), o których wyrażano się jak o najpewniejszym i najdzielniejszym elemencie.

Żałuję, że tych meldunków nie odnalazłem w aktach, były bowiem nieraz interesujące. Jeden z meldunków Szefa Misji – gdzieś z pogranicza serbskiego – był o następującej treści: „Nie mogę wykonać nakazanego mi zadania. Nawet gdybym użył całej kompanii greckiej – nie potrafią tego zrobić. Zrobiliby to na pewno Polacy – ale straty byłyby tak duże, że wyprawa nie opłacałaby się, szkoda byłoby tych ludzi – proszę mnie zwolnić od tego zadania”.

Nie dowiedziałem się ani na czym zadanie polegało, ani czy prośba owego Szefa Misji została uwzględniona. Ale dowie-

działem się, że przy owej Misji – oddziałek polski jest.

Oczywiście zażądałem, by w myśl umowy, ludzi tych – jak też i z innych Misji – wyewakuować, co mi rzecz jasna przyrzeczono, ale nigdy nie mogłem sprawdzić, czy wśród wyewakuowanych później byli właśnie ludzie, o których była mowa w powyższym i innych meldunkach.

VIII. Z meldunków z terenu greckiego podawanych mi do wiadomości przez SOE dowiedziałem się, że penetrację w oddziałach (organizacjach) niemieckich mającą na celu organizowanie jacejek prowadzą Brytyjczycy z pewnym powodzeniem i że wykorzystują swe kontakty dla dokonania dywersji.

W jednym z takich napadów dywersyjnych na formację niemiecką wziął udział oficer polski, specjalnie w tym celu do właściwej Misji Bryt. wysłany.

W całości naszej akcji na Balkanach udział tego oficera w tym przypadku jest jedynie epizodem, toteż tylko pokrótce o tym wspomnę.

W początkach czerwca 1944 r. Szef Wydz. SOE zwrócił się do mnie z prośbą:

Szef Misji Bryt. przy organizacji EDES, w okolicy małego portu Preveza (nad Adriatykiem) – na płn. od wysepki Levkas – chciałby dokonać napadu na niemiecką baterię przybrzeżną, której obsługę stanowią częściowo Polacy. Pragnąłby on mieć do swojej dyspozycji oficera polskiego, który nawiązałby stosunki z tymi Polakami i nakłonił ich do współdziałania. Po wyprawie zarówno ów oficer, jak Polacy z tej baterii zostaliby wyewakuowani. SOE prosi mnie o takiego oficera.

Propozycja ta była dla mnie interesująca głównie dlatego, że dawała mi okazję do sprawdzenia, czy i ilu Polaków znajduje się na obszarze organizacji EDES (monarchiści).

Nie dysponowałem jednak w owym czasie żadnym oficerem, wyszkolonym do tego rodzaju pracy, a przede wszystkim jako skoczek.

Zwróciłem się więc do bazy „Capri” o wyszukanie odpowiedniego kandydata. „Capri” miała większe możliwości – gdyż obok znajdowała się baza przerzutowa z dużym zapasem skoczków – zasadniczo przeznaczonych do Kraju. Oczywiście zameldowałem o tym Szefowi Oddz. Spec.

Ochotnik do tej wyprawy znalazł się w osobie ppor. Aleksandra Domaszewicza.

III/11/35

III/1/36

Według jego sprawozdania (zal. o L. 2783/tjn.45) przebieg akcji i wyniki były następujące:

- Został zaokrętowany w porcie Monopoli (na pld. od Bari) w dniu 16 VI 44, a około północy w dn. 17 VI wylądował w Grecji. Był to statek zaopatrujący Misje Bryt. i Amerykańskie, operujące na pograniczu albańsko-greckim. Skierowano go do m. Kato-Skafidoti, gdzie było m.p. Szefa Misji, który go zapotrzebował (pplk Thorrance).

- Dowiedział się, że chodzi o napad na garnizon niemiecki w m. Kastosiia na wybrzeżu, złożony z baterii przybrzeżnej (4 działa 105 mm); obsługę stanowiło 70 ludzi, w tym 12 Polaków.

- Usiłował nawiązać kontakt z tymi Polakami wysyłając listy przez Greka - przewodnika. Listy te nie zostały jednak doręczone (co stwierdził później).

- Napad został pomyślany w ten sposób, że dokona go batalion grecki (EDES) z udziałem ppor. Domaszewicza, 2 oficerów i 1 podof. bryt. Dla ochrony akcji rozstawiono zasadzki na drogach doprowadzających, z udziałem żołnierzy amerykańskich.

- Akcja nie osiągnęła celu: ów baon (zaledwie około 100 ludzi) okazał się niewyszkolony i tchórzliwy. Dobre wyniki miały tylko zasadzki, które zniszczyły kilkadziesiąt ciężarówek, wiozących pomoc - padło 150-200 Niemców, 65 ciężarówek z dwoma oficerami wzięto do niewoli.

- W czasie napadu na baterię zdezerterowało z własnej inicjatywy wzgl. znalazło się między jeńcami zaledwie 4 Polaków (zostali wyewakuowani do Włoch).

Ppor. Domaszewicz nie poprzestął na tym słabym wyniku, lecz wyruszył w przebraniu do m. Janina, gdzie stał większy garnizon niemiecki i d-two 22 Korpusu.

Jego usiłowania udały się o tyle, że mógł stwierdzić, że w ramach 22 Korpusu Polacy do niedawna byli, lecz zostali wywiezieni, nie było w tym rejonie ani „Bauzugów”, ani oddziałów org. Todta.

Przed powrotem ppor. Domaszewicz uzyskał obietnicę tak od Szefa Misji Bryt., jak i od d-twa EDES, że w przyszłości Polscy jeńcy lub dezterterzy będą traktowani wyjątkowo i że zostaną natychmiast wyewakuowani do Włoch.

Powrócił do Italii w dn. 18 VIII 44 drogą morską.

Tymczasem od ekipy por. Hollego nadchodziły stosunkowo

skąpe wiadomości. Było to wytłumaczalne tym, że w zadaniach penetracji do jednostek niemieckich podlegali oni bezpośrednio właściwym Szefom Misji i im składali raporty o wynikach swej pracy. Wydział SOE zawiadamiał mnie krótko, że ekipa pracuje dobrze.

Bezpośredni meldunek otrzymałem jednak po czterech tygodniach od por. Hollego, że istnieje możliwość wykorzystania urlopników z oddziałów Todta jako kurierów do Kraju. Tę możliwość braliśmy pod uwagę w rozmowach odprawowych ekip i właśnie por. Holly meldował o wyniku podając adresy, pod które urlopnicy udawali się do Kraju. Wracając – mogli bądź to przywieźć przesyłkę im tam przez odpowiednie czynniki powierzoną – bądź odstąpić swe dokumenty podróży właściwym kurierom. Zawiadomiony o takiej możliwości Szef Oddz. Spec. nie skorzystał z niej – czy to, że miał lepsze i szybsze sposoby przekazywania poczty, czy też z braku zaufania do tych urlopników.

Z końcem czerwca zostałem zawiadomiony przez SOE, że współpraca por. Kurasiewicza z Szefem Misji Bryt. mjr. Mulganem układa się źle i że prosi o jego odwołanie.

Zażądałem ścisłego sprecyzowania zarzutów, ale nie czekając na nie zdecydowałem się odwołać por. Kurasiewicza. Doszedłem bowiem do wniosku, że skoro już raz tak sprawa została postawiona, to choćby nawet mjr. Mulgan nie miał racji – dalszy pobyt por. Kurasiewicza przy nim jest niemożliwy, a jest też nieprawdopodobne, by inni Szefowie Misji chcieli z nim pracować po zapoznaniu się z przyczynami złych stosunków między mjr. Mulganem a por. Kurasiewiczem.

Por. Kurasiewicz przyjechał z końcem lipca 1944 r. Równocześnie otrzymałem pismo od mjr. Mulgana, w którym tenże zarzuca por. Kurasiewiczowi nieróbstwo, wygodnictwo i krnąbrność.

Ze sprawozdania, jakie złożył pisemnie por. Kurasiewicz, wynika, że posiadał on szereg kontaktów z Polakami, że odbył szereg podróży i mógł mieć dobre wyniki, gdyby nie niechęć i brak zaufania, z jakim do niego odnosili się zarówno mjr. Mulgan, jak i inni oficerowie brytyjscy. Przypuszczalnie ten brak zaufania pochodził stąd, że por. Kurasiewicz raczej nieostrożnie starał się namawiać Polaków do indywidualnej dezercji (wbrew oficjalnej części instrukcji zgodnej z żądaniami SOE), natomiast wskazywał na trudności i niecelowość organizowania jacejek.

III/1/38

Na pewnego rodzaju brak zaufania skarżył się też – za pośrednictwem por. Kurasiewicza – por. Holly. Był to okres ogólnego kryzysu zaufania do Polaków ze względu na ich wrogi stosunek do Rosji i komunizmu – i nie ulega wątpliwości, że poszczególni Szefowie Misji obawiali się komplikacji w swych stosunkach z ELAS, które mogli spowodować oficerowie polscy.

Jak zaznaczyłem we wstępie do niniejszej relacji – w lipcu 1944 r. otrzymałem rozkaz likwidacji bazy w Kairze i w związku z tym przekazania spraw greckich (jugosłowiańskie przekazałem już wcześniej) kierownikowi bazy „Capri” w Bari.

Wprowadziłem w to zagadnienie kpt. Mitkę, kierownika „Capri” osobiście – gdyż w tym celu przyleciał on do Kairu.

Kierownik bazy „Capri”, będąc odąd odpowiedzialny za akcję na Grecję, znalazł się wkrótce w trudnej sytuacji, gdyż okazało się, że odpowiednia sekcja SOE („Force 133”) nie przenosi się do Italii, lecz pozostaje w Kairze. By więc „Capri” mogła z nią współpracować, Szef Oddz. Spec. był zmuszony stworzyć we wrześniu 1944 r. pewnego rodzaju ekspozyturę „Capri” o nazwie „Sekcja Operacyjna” w Kairze. Na czele tej sekcji stanął kpt Włodzimierz Buryn, a w skład jej weszli:

- a) oficerowie znajdujący się już w terenie, tj. por. Holly, por. Waletko i przejściowo ppor. Domasiewicz,
- b) oficerowie nowo przydzieleni z przeznaczeniem do pracy w Grecji wzgl. na wyspach greckich. Szef Oddz. Spec. realizował w ten sposób zapowiedź, że do pracy w Grecji przydzieli nowych oficerów po 2-3 miesiącach.

Byli to:

- ppor. Michał Makowski
- ppor. Jerzy Skolimowski
- ppor. Stanisław Lukas
- ppor. Kazimierz Szantyr
- ppor. Kazimierz Bereda
- sierz. pchor. Jerzy Lisowski
- plut. pchor. Antoni Zaleski

Rozkaz organizacyjny L. 437/B/44 tjn. wydany przez kpt. Mitkę w dn. 1 IX określa w ten sposób zadania „Sekcji Operacyjnej”:

„a. Przygotowanie odprawowe i opieka nad wyznaczonymi do operacji ludźmi.

III/1/39

b. Przygotowanie elementów do planu działania w wypadku ewakuacji Grecji przez Niemców.

W związku z tym do obowiązków dowódcy Sekcji należy:

a. Utrzymanie ścisłego kontaktu z Brytyjską Sekcją Grecką w Kairze, celem stałego i bezpośredniego orientowania się w sytuacji.

b. Przesyłanie wniosków i projektów do Bazy¹², odnoszących się do wysyłania ludzi na operację i charakteru samej operacji.

c. Uwzględnianie terminów operacji pomiędzy Bazą a Bryt. Sekcją Grecką w Kairze.

d. Stałe komunikowanie Bazy o sytuacji w terenie i wszelkich zmianach, przy pomocy depeusz i tygodniowych sprawozdań.

e. Współpraca z placówką łącznikową Oddz.Spec. w Kairze (łączność, sprawy gospodarcze, przygotowanie i zaopatrzenie operacji, zaopatrzenie w terenie)".

Rozkaz powyższy przewiduje, że w miarę rozwoju sytuacji Sekcja przeniesie się na teren Grecji.

Łączność przewidziana w przyszłości z terenem Grecji do „Capri” ma się odbywać przez Misję Bryt. i Kair – później, w momencie ewakuacji Grecji przez Niemców – bezpośrednio własnym sprzętem: Szef Sekcji Operacyjnej – baza „Capri”.

Skoro „Sekcja Operacyjna” została zmontowana, rozpoczęły się nowe dyskusje na temat zadań dla niej – między kpt. Mitką (kier. „Capri”) a bryt. ppłk. Delbeyem z Wyzdz. SOE. W wyniku tych rozmów została przyjęta do wykonania instrukcja, opracowana przez SOE pt. „Brief for Polish Liason Officers proceeding to the Greek Mainland”.

Toteż kiedy dwaj pierwsi oficerowie polscy zostali wysłani do Grecji – otrzymali do wykonania i potwierdzili to w protokole z dn. 10 IX 44 tę właśnie instrukcję.

Byli to:

– ppor. M. Makowski – który jako bryt. kpt. Benn udawał się na miejsce odwołanego por. Kurasiewicza,

– ppor. J. Skolimowski – który jako bryt. kpt. Denn udawał się na miejsce ppor. Domaszewicza.

(Nie znalazłem w aktach uzasadnienia, dlaczego wysłano

12. Tj. do „Capri”.

III/1/40

oficera na obszar, na którym, jak stwierdził ppor. Domaszewicz – Polaków prawie nie było).

Instrukcja dla tych oficerów świadczy o całkowitym zwycięstwie zapatrywań SOE na pracę polskich oficerów w terenie. Sądzę jednak, że lepiej, iż ustąpiono, zamiast ciągle się targować – jak to było przed wysłaniem por. Hollega i towarzyszy.

Brzmi ona (w tłumaczeniu):

„Ogólnie.

1. Będzie Pan miał status alianckiego oficera łącznikowego i będzie Pan podlegał pod każdym względem Szefowi Misji, na którego terenie Pan się znajduje.

2. Pozostaje Pan członkiem PSZ, ale będzie Pan miał dokumenty brytyjskiego oficera i brytyjski mundur – o ile nie występuje Pan w ubraniu cywilnym.

3. Będzie Pan odpowiedzialny w sprawach finansowych przed Szefem Misji – jak to zostaje określone w zał. «A».

4. Otrzyma Pan odpowiednią «legendę» dla uzasadnienia swej obecności w Misji.

5. Będzie Pan otrzymywał instrukcje z Kairu za pośrednictwem Szefa Misji – i jemu też będzie Pan oddawał swą korespondencję dla przekazania do Kairu.

Zadanie.

6. Będzie Pan oddziaływał na Polaków i nie-Niemców w armii niem.:

a) by obniżyć ich morale,

b) by zebrać tych ludzi razem dla wywakuowania ich – po załamaniu się Niemców,

c) by zorganizować kontrsabotaż (nie dopuścić do zniszczeń w razie odwrotu),

d) by zdobyć kontakty w Niemczech lub w innych krajach okupowanych – do wykorzystania w przyszłości.

Pouczenie.

7. Przed opuszczeniem Kairu otrzyma Pan informacje co do warunków pobytu w Grecji, co do rozmieszczenia i zadań Misji Alianckiej, na której obszarze będzie Pan pracował, co do zidentyfikowania wojsk niem. na tym obszarze oraz co do środków, jakimi dysponujemy dla penetracji i ewakuacji.

Metoda pracy.

8. Po przybyciu na miejsce powinien Pan stwierdzić:

a) w jakich jednostkach niemieckich na Pańskim obszarze pracy znajdują się elementy niemieckie,

III/1/44

b) czy dana Misja Aliancka ma z tymi elementami kontakty i jakie,

c) ilość i rozmieszczenie tych elementów,

d) ich morale i warunki bytu,

e) czy znajdują się w tych jednostkach jakieś antynazistowskie grupy i czy mają kontakty z takimiż organizacjami w Niemczech,

f) jakie są słabe punkty; główne przyczyny niezadowolenia z Niemców,

g) nazwiska najbardziej brutalnych podoficerów, oficerów i SS-manów,

h) czy Polacy i inni nie-Niemcy mogliby przeszkodzić i jak zniszczeniu, zamierzonym przez Niemców przed wycofaniem się.

9. Nie będzie Pan zachęcał do dezercji żołnierzy jednostek liniowych – chyba że będzie to nam potrzebne dla zdobycia wiadomości, lub gdy trzeba będzie kogoś ratować ze względu na kompromitację.

10. Powinien Pan być w ścisłych stosunkach z innymi członkami Misji, mającymi za zadanie organizowanie kontr-sabotażu, by wasze wysiłki koordynować.

11. W sprawach propagandowych powinien Pan radzić się i współpracować z właściwymi członkami Misji; będą oni mogli dostarczyć Panu odpowiednich materiałów z Kairu.

12. Może Pan sobie zwerbować osoby (Polaków i nie-Polaków), które Panu będą mogły pomóc w Pańskiej pracy nad zorganizowaniem i kierowaniem komórkami w jednostkach niemieckich”.

Podpisał:

Lt.Col. D.A. Affleck-Graves

Na podkreślenie w tej instrukcji zasługują punkty dotyczące penetracji do oddziałów niemieckich – przed czym poprzednio tak oponował Oddz. Spec., oraz rezygnacja z obciążenia wysyłanych oficerów zadaniem budowy szlaku do Kraju. Ta rezygnacja da się wytłumaczyć tym, że Szef Oddz. Spec. powziął zamiar wysłania do Grecji specjalnego zespołu z wyłącznym zadaniem budowy szlaku do Kraju (o czym niżej).

Wymienieni niżej oficerowie udali się w dniu 10 IX 44 do Włoch, skąd nastąpił zrzut w przewidzianych rejonach w Grecji.

III/1/42

Był wrzesień 1944 r.

Drugi Front na Zachodzie działał już z pełnym powodzeniem. Wojska amerykańskie przekroczyły granice Niemiec.

Nadszedł czas na uderzenie aliantów od południa.

Z tą chwilą działalność SOE została całkowicie podporządkowana dowództwu operacyjnemu AFHQ w Salerno. Dla kierowania pracą dywersyjną na tyłach utworzono przy nim tzw. „Force 140”.

Sprawa polska zajmowała widocznie jakieś miejsce w planach operacyjnych i dało się to wkrótce odczuć.

W rozdziale „W Jugosławii” wspomniałem o treści mej depeszy L. 17 ze stycznia 1944, że: „Anglicy sądzą, że z chwilą powstania nowego frontu na zachodzie Niemcy sami ustąpią z Balkanów”.

Ta hipoteza odbijała się wyraźnie na zadaniach dla naszych oficerów – przy uzgodnieniu ich z Brytyjczykami. Przyjęto, że „Niemcy sami ustąpią”, i wobec tego żądano, by nasi oficerowie wzywali Polaków do masowej dezercji nie wcześniej, jak właśnie w momencie ustępowania.

We wrześniu 1944 – ujawniła się inna hipoteza: niemieckie oddziały w Grecji będą kapitulować.

Przyjęcie tej hipotezy – prawdopodobnie przez dowództwo wojsk alianckich, przeznaczonych do operacji na Grecję (gen. Scobie) znalazło odpowiednie echo.

Oto:

Szef Wydziału Wojskowego – Ministra – Delegata Rządu RP¹³ do Spraw Polskich na Wschodzie płk dypl. A. Szymański – nadał do Naczelnego Wodza i Ministra Obrony w Narodowej depeszę Nr 160 z dnia 7 IX następującej treści:

„a) Melduję Panu Generalowi, że 7 IX przybył do mnie oficer „VI” brytyjskiej por. Robson „Force 133” Kair z radcą poselstwa Szczeniowskim z prośbą o natychmiastowe przedstawienie Panu Generalowi następującego pilnego meldunku, który w zbliżonym brzmieniu wysła równocześnie tut. poselstwo do Pana Ministra Spraw Zagranicznych Romera:

1) Ma nastąpić szybka okupacja Grecji: wymienia się termin około 8 dni.

2) Anglicy przewidują kapitulację wojsk niemieckich w Grecji.

13. Min. Strassburger – Kair.

III/1/43

3) Przypuszczają, że wśród niemieckich wojsk w Grecji może być około 10 000 Polaków, których chcą natychmiast ewakuować.

4) Anglicy gotowi są zabrać z pierwszymi rzutami polskich oficerów, których zadaniem byłoby zajęcie się Polakami.

5) Tutejsze dowództwo brytyjskie potrzebuje upoważnienia Foreign Office przyznania *priority* Polakom, przed innymi aliantami. Tut. AFHQ Kair oczekuje niezwłocznie – jutro-pojutrze od Foreign Office takiej instrukcji.

6) Anglicy zapytują, czy należy wydzielić wszystkich Polaków, czy tylko kategorię pewnych. Sugerują ewakuowanie wszystkich Polaków.

7) Anglicy chcą przez radio i ulotki skłaniać Polaków, ażeby w wypadku kapitulacji Niemców nie opuszczali swoich oddziałów niemieckich, w wypadku przeciwnym mogą sobie stworzyć ciężkie warunki wobec możliwości wewnętrznych greckich rozruchów.

8) Anglicy podkreślają niezwykłą pilność decyzji Foreign Office i jej przekazania do brytyjskiego dowództwa w Kairze z uwagi na konieczność najbardziej szybkich zarządzeń i przygotowań.

b) Ponadto melduję, że por. Robson jest w kontakcie z naszą placówką O.VI i w razie potrzeby zamierza się odnieść do gen. Tokarzewskiego o dodatkowy przydział naszych oficerów.

c) Choć dział ten należy do mnie, podobnie jak wiadomości amerykańskich lotników ze Lwowa, nie mogę w takich wypadkach nie przyjmować interwencji.

d) Na wyraźne żądanie tutej. dowództwa brytyjskiego przekazuję temuż w parafrazie i brzmieniu angielskim niniejszy mój meldunek dotyczący punktów 1-8.

Podpis: Szymański, plk”

A więc z hipotezy o kapitulacji wynikło nowe podejście do zagadnienia Polaków w jednostkach niemieckich: już nie masowa dezercja – jak przy hipotezie o wycofaniu – ale pozostanie w ramach armii niem. po to, by wszyscy dostali się do niewoli alianckiej, i by dopiero później byli wycelowani i ewakuowani. Ażeby zaś Polacy mogli być wycelowani przed wszystkimi innymi (chyba jeńcami innych narodowości), potrzebna jest zgoda Foreign Office. Dla przeprowadzenia eliminacji potrzebna jest większa ilość oficerów polskich.

III/1/44

Narzuca się pytanie, dlaczego por. Robson – oficer „Force 133” udał się z tą sprawą do płk. Szymańskiego, skoro był w stałym kontakcie z kpt. Burynem, kierownikiem „Sekcji Operacyjnej”.

Ze rozmawiał z nim na ten temat, widać z depeszy kier. „placówki łącznikowej” w Kairze (pozostaje po likwidacji Bazy) – z dnia 10 IX 44 L. 638, w której melduje Szefowi Oddz. Specj., że por. Robson rozmawiał z kpt. Burynem, a następnie udał się do płk. Szymańskiego. Należy przypuszczać, że por. Robsonowi chodziło o jak najrychlejszą interwencję naszych władz w Foreign Office – a droga przez płk. Szymańskiego wydała mu się szybsza aniżeli droga: kpt. Buryn – kpt. Mitko – Szef Oddz. Spec. – Szef Sztabu NW itd.

W wyniku depeszy płk. Szymańskiego Szef Oddz. Spec. nadał do kpt. Buryna depeszę L. 7308 z dnia 9 IX 44, która brzmi:

„Zameldować się u płk. Szymańskiego. Przedstawić nasze możliwości i zamiary. Uzgodnić współdziałanie z 3 korpusem. W razie potrzeby zapotrzebować przez Esema¹⁴ dodatkowo ludzi z Elby¹⁵. My rozpoznajemy i przeprowadzamy z przyjaciółmi operację na Grecję, a 3 korpus winien zorganizować przyjęcie ewakuowanych. Stale informujcie o sytuacji. Szef Sztabu przywiązuje do spraw dużą wagę”.

W wyniku interwencji naszych i brytyjskich wojskowych władz:

- Foreign Office przekazał sprawę *priority* dla Polaków do War Office wg kompetencji,
- War Office nie powziął żadnej decyzji, lecz odstąpił ją AFHQ, czyli dowództwu oper. w basenie Morza Śródziemnego, do własnego uznania.

Dowódca 2 Korpusu polskiego – którego formowanie na Śr. Wschodzie było w owym czasie przez nasze władze zamierzone – gen. Tokarzewski, już wcześniej interesował się zagadnieniem ewakuacji Polaków z Bałkanów. Było to bowiem jedno z możliwych źródeł zdobycia uzupełnień.

W tej sprawie gen. Tokarzewski zabiegał wielokrotnie w

14. Kpt. Mitko.

15. Baza przerzutowa w Italii.

III/1/45

Dow. Wojsk Środkowego Wschodu (gen. Paget), by uzyskać zgodę na oddanie wszystkich Polaków, ewakuowanych w przyszłości z Balkanów – do 3 korpusu.

Z czasem jednak wyjaśniło się, że formowanie 3 korpusu nie leży w zamiarach War Office, wobec czego zdecydowano, że ewakuowani Polacy mają być użyci wyłącznie na uzupełnienia dla 2 korpusu. Upadł więc zamiar organizowania przez gen. Tokarzewskiego „Obozów Zbornych” w Grecji, które władze bryt. uznały za zbędne. Obozy takie – z przeznaczeniem nie tylko dla Polaków – zostały później zorganizowane z Grecji przez brytyjski 3 korpus (gen. Scobie).

Jak wyżej przedstawiłem, Sekcja Operacyjna w Kairze składała się wyłącznie z oficerów przeznaczonych do pracy w Grecji. Sekcję tę wzmocniono z czasem o 10 szeregowych, wybranych spośród ewakuowanych z Grecji – jako znających teren i mogących stanowić dużą pomoc dla oficerów.

Ludzi tych zebrano w obozie oddziałów 3 korpusu, gdzie przechodzili wstępne wykszolenie przed wysłaniem ich na kurs spadochronowy. Wypadki jednak potoczyły się tak stosunkowo szybko, że ludzi tych nie tylko nie zdążono użyć, ale nawet wyszkolić na skoczków, tym bardziej że wymagało to wysłania ich do Włoch do bazy przerzutowej, gdyż brytyjski ośrodek wykszolenia spadochronowego w Haifie już był zlikwidowany.

Inwazja brytyjska na Grecję rozpoczęła się w dniu 3 X 1944 r.

Było to typowe wypychanie przeciwnika, który dawno na to czekał i wcale nie miał zamiaru stawiać poważnego oporu. Liczenie na to, że partyzanci Tito utworzą zaporę, wobec której Niemcom nie pozostanie nic innego, jak kapitulować, okazało się mylne. Oddziały niemieckie odpływały spokojnie i planowo na północ. Oddziały ELAS tylko w bardzo nielicznych wypadkach objawiły napastliwość – zasadniczo czekały na opróżnienie danej miejscowości wzgl. obszaru, by go potem, z wielkim szumem „uwolnić” wprowadzając natychmiast ustrój „demokratyczno-ludowy”.

Jaczejki – o ile nawet w niektórych jednostkach niemieckich były rzeczywiście zorganizowane – nie ujawniły swej działalności, gdyż wobec odmarszu bez nacisku ze strony wojsk przeciwnika, byłaby ona całkowicie oderwana i łatwa do stłumienia. Ponadto

III 1/1/46

– co zostało bez wątpliwości stwierdzone – Niemcy już na kilka miesięcy przed inwazją aliancką na Grecję usuwali ze swych jednostek element nieniemiecki, wysyłając go na północ. Element ten nie mógł dezertować gdyż:

– tam gdzie był z kontakcie z Misjami Brytyjskimi, czekał na zapowiedziane hasło do dezercji masowej,

– tam gdzie tego kontaktu nie było, dominowała obawa przed złym traktowaniem dezertatorów przez Andartes a nawet ludność cywilną. Wypadki zbrodniczego ich traktowania były Niemcom wiadome i zostały zrzęcznie wykorzystane dla odebrania ochoty do dezercji nawet najbardziej antynazistowsko usposobionym żołnierzom względnie robotnikom.

W skład Kwatery Głównej 3 bryt. korpusu – pod dowództwem gen. Scobie – uderzającego na Grecję, weszła „Force 140” (z ALHQ w Salerno) jako organ Dowódcy dla wykorzystania przygotowań „Force 133” w użyciu Andartes i jacejek na tyłach.

Kiedy więc w ostatnich dniach przed inwazją i później – kpt. Buryń żądał stanowczo zmian w Briefingu dla następnej grupy oficerów polskich, która miała się udać do Grecji – okazało się, że „Force 133” (w Kairze) już w tej sprawie zabiera głos nie może.

Chodziło zaś o zniesienie zakazu wzywania do dezercji zawartego w Briefingu wydanym dla ppor. Makowskiego i Skolimowskiego, a który chciano zastosować również do reszty wysyłanych oficerów polskich.

Szef Oddz. Spec. słusznie bowiem żądał, że należy brać pod uwagę obydwie hipotezy o zachowaniu się Niemców i tam, gdzie Niemcy będą się spokojnie ewakuować – wezwać ich do natychmiastowej dezercji.

Wreszcie 14 X 1944 Szef Oddz. Spec. otrzymał z Dep. SOE w Londynie pismo (MTTP/PD/777 z dn. 12 X 44), według którego sprawa Polaków w Grecji została ostatecznie uregulowana, mianowicie:

1. Polacy mają pierwszeństwo przy ewakuacji z Grecji.
2. Polacy, którzy zbiegli z armii niem. przed D-dniem (dzień wkroczenia armii bryt.), powinni koncentrować się w rejonach, znajdujących się pod kontrolą Zervasa celem szybkiej ewakuacji i to za pośrednictwem „A-Force”.
3. Nie będzie się nadal odmawiać od dezercji Polaków w jednostkach niem. ewakuujących się do innych teatrów wojen-

nych. Wprost przeciwnie, Polacy ci powinni dezertować.

4. Do „Force 140” będzie przydzielony plk. Threalfall, jako doradca w sprawach polskich. Będzie on równocześnie spełniał funkcje łącznika między oficerami łącznikowymi polskimi w polu a „Force 140”.

Na podstawie tych zasad, które już wcześniej były wiadome w Kairze – została przeprowadzona w dniu 19 X 44 odprawa pozostałych do wysyłki 3 oficerów polskich.

Byli to:

– ppor. A. Zaleski (pseud. „Sten”), który został zrzucony w okolicy Preveza dn. 26 X; stamtąd udał się do rej. Janina, gdzie spotkał ppor. Makowskiego („Benn”); w tym czasie oddziałów niem. w tym rejonie już nie było.

– ppor. K. Lissowski („Fox”) został zrzucony w rej. Salonik 25 X 44.

Natomiast ostatni z nich popor. K. Szantyr („Lake”) przybył dopiero 5 I 45 do Aten, gdzie pozostał w dyspozycji kpt. Sojki (patrz niżej).

Jeszcze przed odlotem tych oficerów z Kairu do Włoch (skąd startowali do Grecji) został przyjęty wniosek kpt. Mitki, by do „Force 140” (przy dow. 2 bryt. korpusu) został przydzielony polski oficer łącznikowy, który byłby zarazem przełożonym wszystkich polskich oficerów łącznikowych przy Misjach Bryt. na terenie Grecji.

Na stanowisko to został wyznaczony kpt. Edward Sojka z bazy przerzutowej we Włoszech. Przybył on 17 X 44 do Aten, gdzie już było d-two 2 bryt. korpusu.

Kpt. Sojka natychmiast po przybyciu do Aten nawiązał łączność z oficerami już w tym czasie przebywającymi w terenie (Holly, Waletko, Makowski) zawiadamiając ich o swej roli. Uczynił to również w stosunku do oficerów później przybyłych – tak, że jego kierowanie pracami tych ludzi faktycznie miało miejsce.

Okazało się, że do oficerów już będących w terenie rozkaz o zezwoleniu na wezwanie Polaków do dezercji – jakkolwiek wydany w Kairze już 6 X 44 wcale nie doszedł – a w większości rejonów, na których oficerowie ci pracowali – Niemców już w dniu, kiedy im to podał kpt. Sojka do wiadomości – nie było.

Nastąpił okres gorączkowej pracy całego zespołu polskich oficerów łącznikowych. Udawali się oni wszędzie, gdzie zbierano

III/1148

jeńców wojennych by wyluskać Polaków. Szukali ich również w oddziałach ELAS. Kpt. Sojka spowodował rozkaz gen. Scobie do partyzantów, by meldowali o pobycie w ich oddziałach o jakichkolwiek elementach narodowości nie-greckiej. Spowodował też rozkaz dowódcy ELAS gen. Serafisa w tym samym duchu.

Rozkazy te nie były respektowane: o obecności Polaków d-cy oddziałów nie tylko nie meldowali, lecz wręcz zaprzeczali wbrew dowodom o ich obecności. Kpt. Sojka zastosował wtedy metodę szukania Polaków bezpośrednio wśród partyzantów – i to dawało pewne wyniki, lecz brak środków lokomocji nie wszędzie pozwalał docierać. Poza tym powoli rosło napięcie między ELAS a władzami brytyjskimi nakazywało naszym oficerom daleko idącą ostrożność, by tych stosunków nie zadrażniać.

Dnia 3 XII rozpoczęła się wojna domowa w Grecji: komuniści przeszli do ostatecznego ataku, by zlikwidować jakąkolwiek opozycję i objąć rządy w kraju.

Wszelka praca naszych oficerów na obszarach opanowanych przez ELAS stała się niemożliwa: groziło im to śmiercią lub w najlepszym razie więzieniem. Toteż między 4-6 grudnia kpt. Sojka skoncentrował wszystkich z wyjątkiem ppor. Lissowskiego w Atenach. Ten ostatni miał jeszcze możliwość utrzymania się i dalszej pracy w Salonikach.

Eliminowanie i ewakuacja Polaków odbywały się do tego czasu w dobrym tempie nawet samolotami (np. 54 Polaków z Aten, gdy rozpoczęła się walka uliczna między monarchistami a komunistami).

W sumie jednak zdążono wyłowić i wyewakuować zaledwie około 700 ludzi do końca grudnia 1944 r.

Podczas gdy wycofanie się z Grecji nie stanowiło dla Niemców żadnych specjalnych trudności i udało się znakomicie – to inaczej przedstawiało się opuszczanie wysp.

Na temat Krety i Rodos – będę pisał w osobnym rozdziale.

Co do innych wysp Morza Egejskiego, gdzie oddziały niemieckie pozostały – kpt. Sojka zdecydował się wysłać wolnych już od wtedy od innych zadań, ppor. Zaleskiego i Skolimowskiego na Leros i Kos, gdzie miało być około 1000 Polaków.

Skoro jednak okazało się, że wyspy te nie leżą na obszarze operacyjnym 3 bryt. korpusu, odesłał tych oficerów do Kairu, by tam mogli być odprawieni przez kpt. Buryna w porozumieniu z „Force 133” wzgl. właściwym dowództwem operacyjnym.

Wyprawa ta nie doszła do skutku z przyczyn trudnych do wyjaśnienia na podstawie akt. Polacy ci – jak i wielu innych – powędrowali z masą jeńców niem. do Płd. Afryki.

Kpt. Sojka w ciągu grudnia i pierwszej połowy stycznia rozwiązał zespół oficerów łącznikowych, odsyłając ich do bazy „Capri”. Na dość wczesną likwidację pracy na terenie Grecji wpłynęły z jednej strony małe widoki na jeszcze jakieś wyniki (jeńcy zostali już przeglądnięci – a do oddziałów ELAS nie było możliwości dojścia), z drugiej fakt, że „Force 140” uległa również likwidacji – stąd nacisk dowództwa 2 bryt. korpusu na rychłą likwidację spraw polskich.

W terenie pozostał tylko dłuższy czas ppor. Lissowski („Fox”) w Salonikach, a to w związku z zadaniem budowy szlaku do Kraju. Kpt. Sojka wrócił do Włoch z końcem lutego 1945 r.

Wspomniałem już wyżej, że Szef Oddz. Spec. godząc się na takie zadania dla ppor. Skolimowskiego i ppor. Makowskiego, jakie zostały ustalone (narzucone) przez SOE (Briefing), zrezygnował z obciążania ich zadaniem budowy szlaku do Kraju, mając zamiar powierzyć to zadanie specjalnemu zespołowi.

Otóż z chwilą oswobodzenia Grecji, gdy zaistniała możliwość wysłania do Aten naszego Poselstwa (amb. R. Raczyński) – do personelu Attaché Wojsk. (plk. dypl. J. Machalski) została przydzielona placówka łącznikowa „Hellada” w składzie: por. Leon Wujek, kierownik oraz radiotelegrafista i kierowca. Ponadto do składu placówki wszedł ppor. Lissowski („Fox”) w Salonikach.

Rozmieszczenie tej placówki w składzie Poselstwa nie odbyło się bez wielu trudności formalnych (zgoda MSZ, zgoda rządu greckiego na skład ilościowy Poselstwa RP itp.) i fizycznych (transport).

Ostatecznie Poselstwo – wraz z placówką „Hellada” – przybyło dopiero 18 III 45 do Grecji.

O wynikach pracy tej placówki – zgodnie z moją zapowiedzią na początku niniejszej relacji – nie będę tutaj pisał. Placówka zakończyła swą pracę z chwilą, gdy rząd grecki uznał rząd warszawski – wobec czego Poselstwo RP było zmuszone ten kraj opuścić.

koniec cyfry III

IV/1. Korespondencja rodziny A. Żyliń
zam. Hottly

1. List Henry Kropiński do Teresy z d.

Żyliń z 16.04.1936 - m. im. Stanisław
Jankowski, Agatom, E. Zawacko, s. 1

rekl. ksero oryg.

k. 1 s. 1



Opis treści: Teresa - adreśatka jest skrośz zmaniej
Anny Zylicz - Hocky - Auto Kce - kisku srewn - kroyajisk
z Vancouveru, zaprzyjaźmone z "Hawcok Holly."
z AGATONEM.

Wochona Pauli Teresa

201. Zylicz

16/VII-96r.

Mad. Frau Kropinski
Vancouver

Dowiedzi jui i dolebr, krajor. nawey - wigez stroy dotyżer
ollolie Dżbia.

Jednoczenie chęz zamiadanie i korespondujz z p. Stanisławem
Jankowskim - Agatonem - Cichociemny i Delegat na kraj. Taki się
ntajto i ja ich smatam (jego rodz. Hawcok - swoj osobz, w
typie estamella b. zbliżona do Harej) Hania Jankowska i cała jej
rodzina (pp. Wojtkowic) smatam od jej dzieciństwa, bardzo się przy-
jaśniłam z jej starszą siostrą - Kysią (latki smatam) jej w gimn. od 4-
klasy.) Miałam Dziadków i wujostwie Ciołki - a potem "gadajemy się"
ze sobą uwal i Hanie i Stanisła! Tak więc nawet mam "ich" w mediach
Hawcok - zwała na rwał w przenie roli (jencie się z nią widać
Wize korespondujz z p. Stanisławem - bezdnoje emjece się samotni!
Chyba tam jemu wspomnienia Hani. Jest sobie wchwycece wola
ponieć je do "Archiwum Pomorskiego A.K." On twierdzi że to jest
najlepsze Archiwum na świecie i moje wplac: adres:

"Fundacja - Archiwum Pomorskie A.K." ul. Wielkie Garbary 2; Toruń
Kod 87-100. tel: 971-86.

Teraz 16 listopada będzie tam Seminarjum "Sturba wojenna Polak II Woj. Świ
tam kieruje tam Prof. Elżbieta Sawacka "ZO" (jedyna kobieta "Cichociemni"
"Agaton" tam będzie myślanat Referat. ełolie ktoś z Was - by się odemnat
do tego Archiwum - tam natyż tonye te jej wspomnienia. I moje wydac
w tym Cyklu: "Sturba wojenna Polak"? To jest tak smietnie napisane!
Ja mu myślałam tylko strowie o powitaniu (wistety tu to jest
kontrowe - 25€ kopja + 10-15\$ myśka) Wz macie cały telt - myśac ^{o powitan} Ter
Hania Jankowska - była w mielu Hani, te mają 3 dzieci z synów i córki
też był zawał. et gdy ja ostatnio odmiębilam - specjalnie mnie
odpromadrate żeby się narodzić co do rdzenia użia (on mo
poczęli Rollinsau i jui ma 89 lat - pierwej tonye wiecey rabili)
Tak więc tak nane z Haniez drogi ai, rabawnie się kroyawaty!
Piggle jest mi bardzo smutno, pusto, smilam ludzi - to
wysłko "nie tony"!!! I tak właśnie sobie uominu z P. Stanisławem
i... narzyeli Hawcok niema!
ełdż "syn myścipi z propozycją żeby skierowzulli poryciały do mnie

J: K-720/1694 Pom.

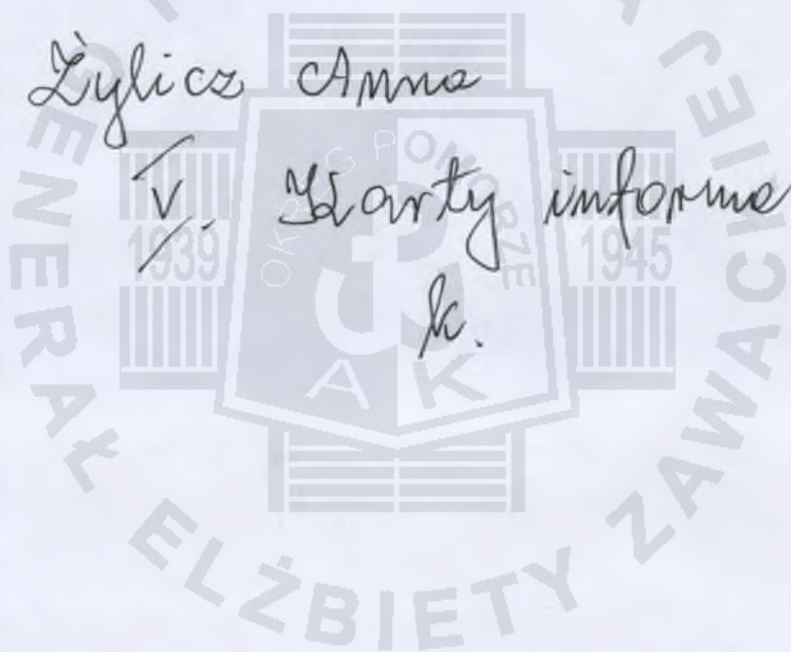
poza
Pom.

Lylics Anna

v.
1939

Warty informacyjne
sk.

1945



W dniu 3 marca 1996 roku zmarła nagle w Vancouver
i tamże zostanie 8 marca 1996 roku pochowana

SPP

z ŻYLICZÓW
ANNA HOLLY

Wdowa po „cichociemnym” por. Stanisławie Hollym.
Urodzona w Górze ziemi wejherowskiej, w 1925 roku.

Uczestniczka Powstania Warszawskiego („Katrina”):
PŻ - Batalion Kilińskiego - Koszta. Awansowana
na podporucznika AK. Więzień obozów w Niemczech.

Osiadła w Kanadzie wraz ze swoją rodziną
kanadyjską utrzymywała stałą więź z Polską.

Absolwentka Uniwersytetu w Edmonton.

była administratorką Polskiego Domu Opieki

Spółecznej „Kopernik” w Vancouver.

Msza święta w intencji Zmarłej odbędzie się

w Warszawie w niedzielę 10 marca 1996 roku o godz. 9.00

w kościele pod wezwaniem Matki Boskiej

Częstochowskiej przy ul. Zagórnej 5.

O cym zawiadamiają popiądzeni w sercu

ciasto z mężem i bracia z żonami wraz z dziećmi

wnuczkami i wnuczkami oraz cała rodzina w kraju

i za granicą

W dniu 3 marca 1996 roku zmarła nagle w Vancouver
i tamże zostanie 8 marca pochowana

ś.†p.

z ŻYLICZÓW
ANNA HOLŁY

Wdowa po "Cichociemnym" por. Stanisławie Holłym.

Urodzona w Górze, ziemi wejherowskiej, w 1925 roku.

Uczestniczka Powstania Warszawskiego ("Katrina"):

PZ – Batalion Kilińskiego-Kosza. Awansowana na
podporucznika AK. Więzień obozów w Niemczech.

Osiedlona w Kanadzie, wraz ze swoją Rodziną
kanadyjską utrzymywała stałą więź z Polską.

Absolwentka Uniwersytetu w Edmonton,

b. Administratorka Polskiego Domu Opieki Społecznej
"Kopernik" w Vancouver.

Msza św. w intencji Zmarłej odbędzie się w Warszawie
w niedzielę 10 marca o godz. 9-tej w kościele pod
wezwaniami Matki Boskiej Częstochowskiej
przy ul. Zagórnej 5.

O czym zawiadamiają pogrążeni w smutku
Siostra z Mężem i Bracia z Żonami,
wraz z Dziećmi, Wnuczkami i Wnukami,
oraz cała Rodzina w kraju i za granicą.

Żyłowa Anna

pozo. Pom.
AK 3

zob. Kulawis Teresa - mel. - poze
Pom.

AK III/15

*Żylica Anna
- Moty*

